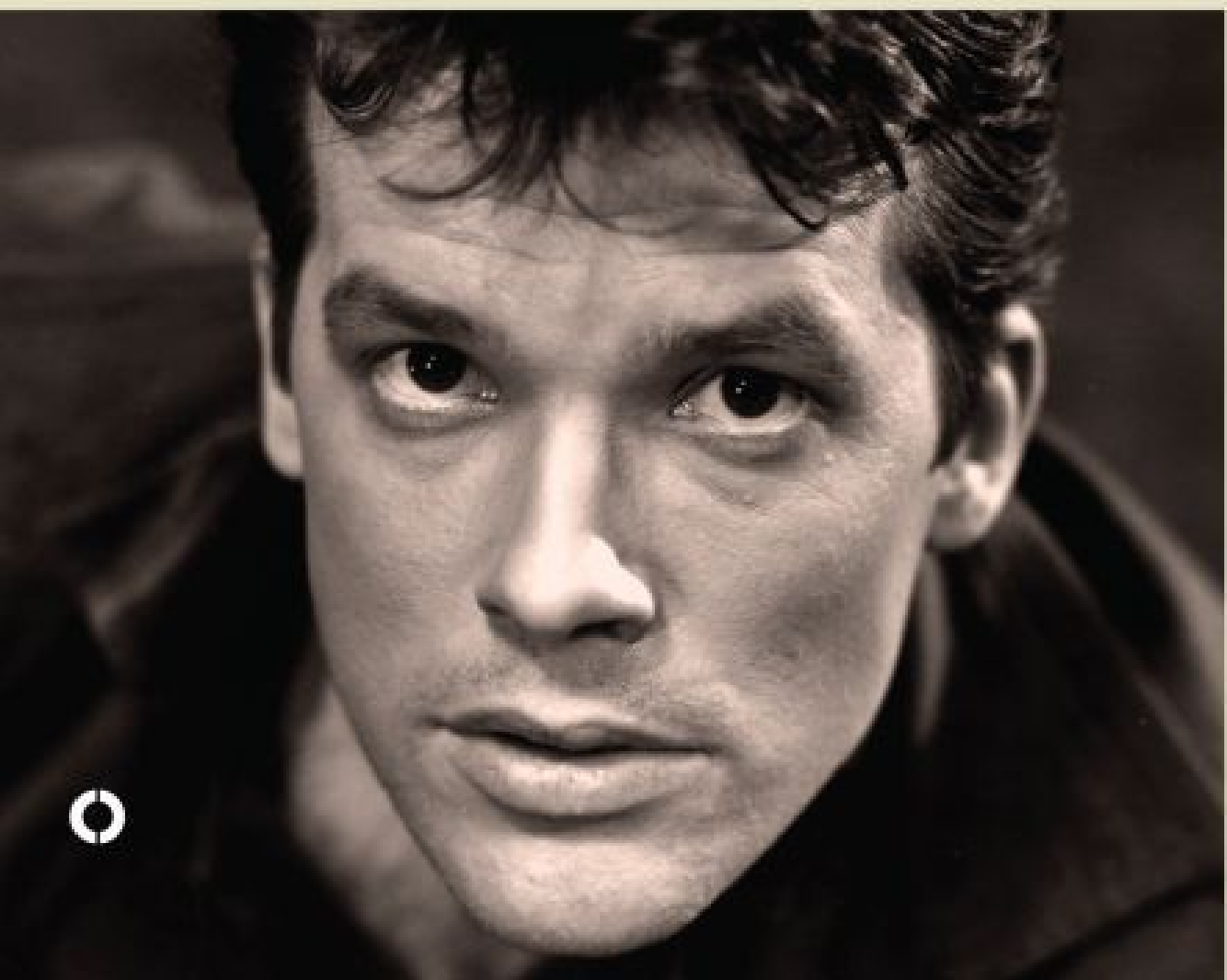


SŁAWOMIR KOPER

STRACONE
POKOLENIE
PRL



STRACONE
POKOLENIE PRL



Sławomir Koper

Warszawa 2014

Spis treści

Od autora

ROZDZIAŁ 1 Zbyszek

AKTOR, KTÓRY NIE LUBIŁ SCENY

CZARNE OKULARY

ARS AMANDI MAĆKA CHEŁMICKIEGO

ELA

CENA SŁAWY

KSIĘSTWO WARSZAWSKIE

ZA ŻELAZNĄ KURTYNĄ

ULUBIENICY BOGÓW UMIERAJĄ MŁODO

ROZDZIAŁ 2 Przypadek Andrzeja Brychta

KRYMINALNA MŁODOŚĆ

POKOLENIE „WSPÓŁCZESNOŚCI”

NASTĘPCA MARKA HŁASKI

FINANSE I CZYTELNICY

NA SZCZYCIE

RAPORT Z MONACHIUM

WIETNAM

TW „GERARD” W AKCJI

UCIECZKA

KANADA

KIEROWCA ANDRZEJ BRYCHT

POWRÓT

DO KOŃCA WIERNY SOBIE

ROZDZIAŁ 3 Demony Edwarda Stachury

FENOMEN STEDA

RODZINNE PROBLEMY

LUBLIN

NA SZEROKIE WODY

PRZY KARCIANYM STOLIKU

ZYTA

ŻYCIOPISANIE

KREACJA

NIE TYLKO ZYTA

DROGA W DÓŁ

MARTA KUCHARSKA

BEDNARY

ŚMIERĆ POETY

„OSTATNIA NARZECZONA”

ROZDZIAŁ 4 Aktorka największych nadziei

DZIEWCZYNA Z WOLI

PIERWSZA SESJA

NIEUDANY DEBIUT

BIAŁY NIEDŹWIEDŹ

MODA POLSKA

MARGUERITTE

PANNA TUSZYŃSKA SIĘ BAWI

ADAM PAWLIKOWSKI

TARPANY

PROBLEMÓW CIĄG DALSZY

OSTATNI ZRYW

ŚMIERĆ ADAMA

NA DNIE

ROZDZIAŁ 5 Bruno

PIEWCA POLSKI POWIATOWEJ

PRZEDMIEŚCIA

IRENA POLAKOWSKA

PĘKNIĘCIA

ZAWSZE POD PRĄD

DROGI I BEZDROŻA ŚWIATA POEZJI

ROZPAD

SZORSTKA PRZYJAŹŃ POETÓW

BOŻENA

JEZIORO DUŻE

ROZDZIAŁ 6 Koniak i poezja

WIELKOPOLANIN Z URODZENIA

WROCŁAW

MAGDA

REDAKTOR NACZELNY

FOBIE

SADYBA

POETA I KOBIETY

POLITYKA

ALKOHOL

MARYSIA

LĘKI PORANNE

ULICA CZERNIAKOWSKA

ROZDZIAŁ 7 Maski Wiesława Dymnego

MAŁY LEONARDO

PLASTYKA
CIEMNA STRONA MOCY
ZAUŁKI KRAKOWA
OPOWIADANIA ZWYKŁE
PIWNICA POD BARANAMI
SCENY Z ŻYCIA PIWNICY
BARBARA NAWRATOWICZ
FILM
ANIA

Zakończenie

Ważniejsza bibliografia

Od autora

„Ulubieńcy bogów umierają młodo” – powtarzał na krótko przed śmiercią Zbyszek Cybulski i ten cytat z Fryderyka Nietzschego mógłby być właściwym mottem tej książki. Kolejna pozycja z cyklu o elitach PRL przedstawia bowiem losy ludzi, którzy z różnych powodów nie zrobili karier, do jakich byli predysponowani, i którzy odeszli z tego świata przedwcześnie, często w tragicznych okolicznościach, by dopiero po śmierci stać się ikonami kultury masowej.

W biografii bohaterów tej książki doszukać się można wielu podobieństw. Praktycznie każdy z nich rozpoczynał od ogromnych sukcesów, by potem utracić niemal wszystko. W życiu każdego dużą rolę odgrywał alkohol, rozpadały się ich związki uczuciowe, cierpieli z powodu niezrozumienia przez środowisko. I co charakterystyczne – przyczyn ich niepowodzeń życiowych nie sposób doszukiwać się w sprawach natury politycznej, bo choć wszyscy funkcjonowali w specyficznych warunkach epoki PRL, to jednak polityka nie odegrała w ich życiu większej roli. Powodami ich porażek były raczej wady charakteru, prywatne słabości, nadmierna wrażliwość, a czasami nieumiejętność przystosowania się do otaczającej rzeczywistości.

Większość bohaterów tej książki szybko dotarła na szczyt powodzenia. Ze Zbyskiem Cybulskim identyfikowały się tysiące młodych ludzi, Teresę Tuszyńską okrzyknięto ideałem kobiecej urody, Andrzej Brycht zaś uchodził za następcę Marka Hłaski. Edward Stachura stał się wieszczem dla niemal całego młodego pokolenia, natomiast Stanisława Grochowiaka uważano za kandydata do literackiej Nagrody Nobla. I tylko Ryszard Milczewski-Bruno i Wiesław Dymny uchodzili za outsiderów, ale nawet oni nie mogli narzekać na brak uznania i nagród potwierdzających ich niepospolite talenty.

Pracując nad tą książką, zdałem sobie sprawę z jej pokrewieństwa z inną pozycją mojego autorstwa, czyli ze *Skandalistami PRL*. Pisałem tam o Marku Hłasce i Rafale Wojaczku, którzy równie dobrze mogliby zagościć na kartach książki o straconym pokoleniu. Podobnie zresztą jak Ireneusz Iredyński – jeden z bohaterów mojej pracy *Alkohol i muzy*.

Zdaję też sobie sprawę z faktu, że pomiąłem wielu artystów, którzy idealnie wpiszywaliby się w temat straconego pokolenia. Andrzej Bursa, Małgorzata Hillar, Kazimierz Ratoń, Józef Gielo, Andrzej Babiński czy Marian Ośniałowski to twórcy, którzy również powinni znaleźć się w tej książce. Niestety, każda pozycja wydawnicza ma określony rozmiar, a ja zawsze wychodziłem z założenia, że nie można pisać o wszystkich. W takim bowiem przypadku otrzymalibyśmy encyklopedyczne notki pozbawione życia i ograniczone do suchych, skrótowo przedstawionych faktów. Nie wykluczam jednak, że w

przyszłości powrócę jeszcze do tego tematu.

Pragnę też uspokoić Czytelników obawiających się pewnych powtórek z mojej strony. Co prawda zajmowałem się już osobą Zbyszka Cybulskiego, ale w niniejszej książce podjąłem opowieść o jego losach od miejsca, w którym kiedyś przerwałem narrację. I przedstawiłem go tutaj nie jako młodzieńca stojącego u progu wielkiej kariery, ale jako dojrzałego aktora, którego talentu i możliwości polska kinematografia nigdy właściwie nie wykorzystała – jako człowieka, który umierając w 39. roku życia, miał poczucie życiowej klęski.

Podczas pracy nad tą książką zdecydowanie rzadziej korzystałem ze źródeł zgromadzonych w archiwach IPN. Nie był to jednak mój własny wybór – po prostu moi bohaterowie na ogół byli ludźmi całkowicie apolitycznymi i w przypadku większości z nich zachowały się wyłącznie wnioski paszportowe. Wyjątkiem od tej reguły był Andrzej Brycht, ale akurat on różnił się od pozostałych postaci również pod wieloma innymi względami.

Motywnym przewodnim *Straconego pokolenia* jest alkohol, bo rzeczywiście w czasach PRL wódka płynęła szeroką strugą. Ale nie sposób nie przypomnieć w tym miejscu opinii Janusza Głowackiego, według którego w tamtych latach „po pijaku lub na kacu” powstało o wiele więcej wybitnych dzieł „niż obecnie na trzeźwo”. I to jest jeden z największych paradoksów tamtych lat.

Nie byłbym sobą, gdybym przy okazji nie zweryfikował niektórych mitów związanych z bohaterami tej książki, bo przecież w rzeczywistości Zbyszek Cybulski wcale nie był aktorem rozchwytywanym przez reżyserów, Stachura dość dobrze radził sobie pod względem finansowym, a Milczewski-Bruno nie popełnił samobójstwa. Opisując losy moich bohaterów, nie szczędziłem mało znanych informacji na temat ich życia prywatnego i podejrzewam, że niektóre z nich mogą być dużym zaskoczeniem dla Czytelników. Ale to właśnie dzięki nim przedstawiany obraz nabiera cech życia, albowiem nic tak nie zubaża biografii jak ograniczenie się wyłącznie do opisu działalności publicznej. Na wizerunek artysty składa się zarówno jego dzieło, jak i życie prywatne i dopiero z połączenia tych elementów możemy uzyskać w miarę pełny obraz interesującej nas postaci. A nic tak nie służy autentyczności portretu człowieka jak nadanie mu zwykłych, ludzkich cech, ze wszystkimi zaletami, wadami i słabościami.

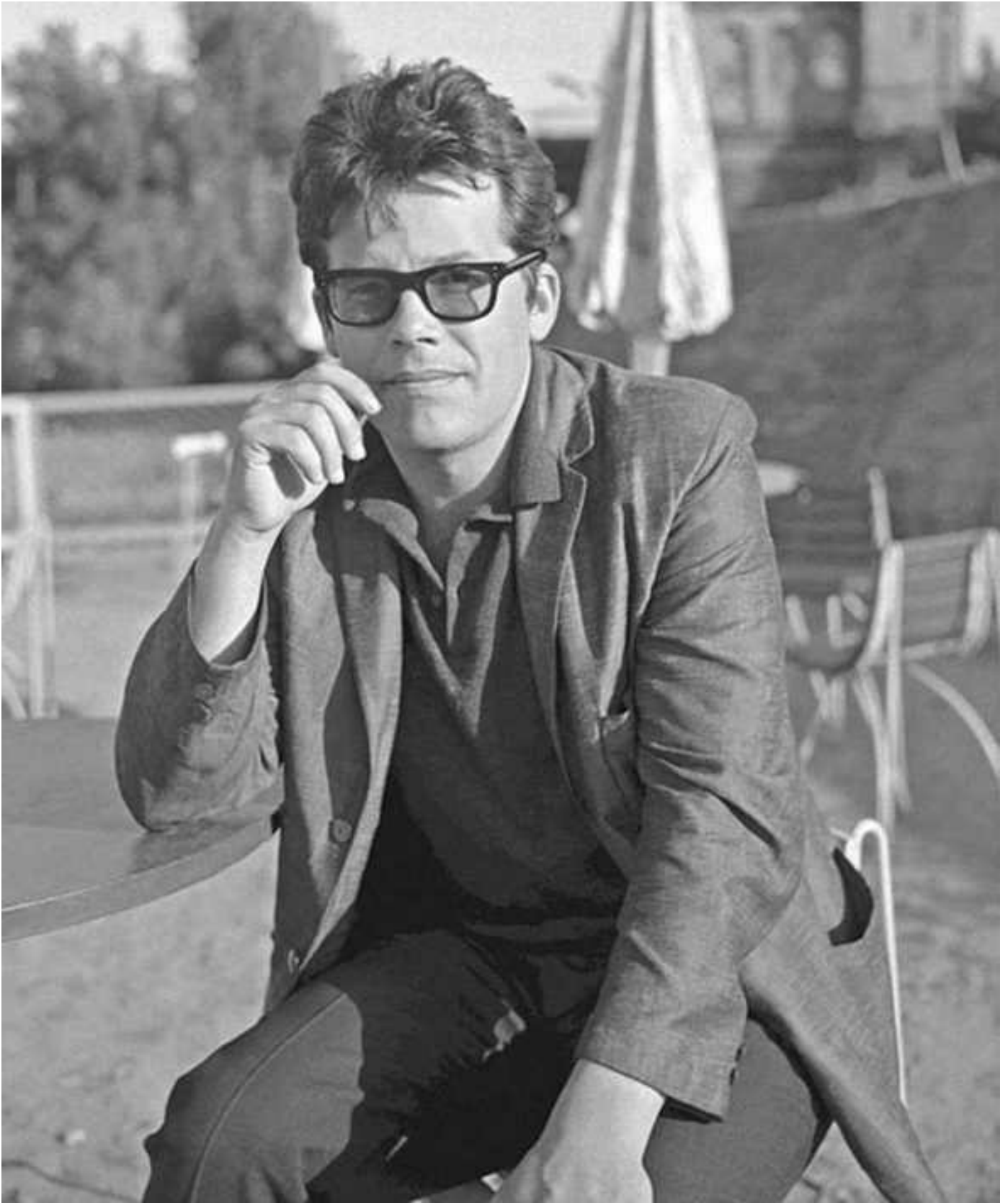
Sławomir Koper



ROZDZIAŁ 1

Zbyszek





„Zbyszek Cybulski wpadł do Klubu Marynarza. Naturalnie na rauszu.

Podszedł do stolika i ze słowami:

»Cybulski jestem« wypił wódkę stojącą przed roslým wilkiem morskim. Zdrętwiałem.

Facet w pierwszym momencie zerwał się do bójki. Popatrzył na Zbyszka, twarz mu się rozpogodziła i powiedział:

- Będzie mi bardzo miło wypić z panem.*
- Zaprosił nas do stolika*

Jacek Domański

AKTOR, KTÓRY NIE LUBIŁ SCENY

Zbigniew Cybulski nie przepadał za grą w teatrze, twierdził bowiem, że tam najbardziej widoczne są jego ograniczenia. Miał problemy z dykcją i nie dysponował silnym głosem, a to na scenie stanowiło poważny problem. Podczas występów na żywo nie było również możliwości zamaskowania wad jego sylwetki, a Cybulski nie był zadowolony ze swojego wyglądu.

„Był idolem młodzieży – wspominał aktor Jacek Domański – a jednocześnie miał kompleksy: duża głowa i duża pupa. Opowiadał mi, że kiedyś na basenie zobaczył wspaniałą dziewczynę. Olśniła go, zapomniał, gdzie jest, zrobił krok w jej kierunku – okazało się, że jest niższy! Ogromnie go to speszyło. Potem przez długi czas nosił w butach wkładki”^[1].

Kompleksy gwiazdora były tak poważne, że wstydził się rozebrać na plaży. Dlatego z reguły przychodził „ubrany po szyję”, odsłaniał wyłącznie klatkę piersiową, po czym „natychmiast zakopywał się w piasku tak, by ukryć nogi”.

Reżyserzy teatralni za nim nie przepadali, uchodził bowiem za aktora dość kłopotliwego we współpracy. Zawsze spóźniał się na próby, a czasami nawet na przedstawienia. Zdarzało się, że przyjeżdżał do teatru kilka minut po ostatnim dzwonku, by w kompletnej ciszy przejść przez widownię i natychmiast rozpocząć grę.

W ciągu kilkunastu lat kariery aktorskiej wziął udział tylko w dziesięciu inscenizacjach, a prowadząc kabaret Bim-Bom, zadowalał się wyłącznie rolą animatora całego przedsięwzięcia. Nie miał zresztą najlepszej opinii o współczesnej sztuce teatralnej i nie popierał nowych form inscenizacji.

„Nie znoszę wydziwiania w teatrze, które wynika z naszego kompleksu intelektualnego – tłumaczył. – Chcemy w ten sposób udowodnić, że jesteśmy inteligentni. A widzów odstrasza to od teatru. [...] Denerwuje mnie przekonanie, że Polska jest pępkiem świata, denerwuje mnie doszukiwanie się aluzyjności np. u Becketta, który pisząc *Czekając na Godota*, rzekomo miał na myśli Polskę, albo też Gardn ze sztuki Sartre’a *Przy drzwiach zamkniętych* to polski dziennikarz z Domu Dziennikarza na Foksal”^[2].

Cybulski nie był zresztą człowiekiem, który potrafiłby dziesiątki razy odtwarzać tę samą rolę, ponieważ uważał, że rutyna zabija to, co w sztuce najważniejsze. Dlatego w każdym przedstawieniu starał się dodać coś od siebie.

„Jak się z nim grało? – pytał retorycznie Jerzy Goliński. – Przede wszystkim nigdy nie umiał tekstu do końca, ale nie był bezradny. Każdy spektakl potrafił zagrać inaczej i to właśnie uważam za jego największą zasługę. Dla partnerów nie musi to być uciążliwe, jeśli tylko poczują »tego samego bluesa«. Zbyszek wyprzedził swoją epokę. Wyszedł z harcerstwa, z artystycznych happeningów,

jakby to dzisiaj powiedziano. Improwizował do końca”[³].

CZARNE OKULARY

Potrafił jednak wykorzystywać nawet swoje słabości. Miał wadę wzroku i do normalnego funkcjonowania potrzebne mu były mocne szkła. A przez zupełny przypadek zaczął nosić ciemne okulary które miały się stać jego znakiem rozpoznawczym.

„Pod koniec lat czterdziestych siostra przysłała mi ze Szwecji piękne, czarne okulary – wspominał kolega z uczelni Jarosław Drycz. – Zbyszek przez pół roku chodził za mną i prosił, bym mu je sprzedał. Uległem w końcu, choć nie pamiętam, czy je sprzedałem, czy zamieniłem na fajkę. Zbyszek palił fajkę – miał śliczną, o lekko zagiętym w dół cybuchu. Przy czarującym uśmiechu i pięknych zębach, w ciemnych okularach było mu z nią bardzo do twarzy”[⁴].

Czasami jednak na scenie nie mógł założyć szkieł, co przynosiło zaskakujące efekty. Cybulski bowiem na ogół nie pamiętał całego tekstu i ratował się notatkami. A jako krótkowidz musiał je czytać z małej odległości.

„Zwykle zapisywał tekst sztuki na meblach, ścianach, wiszących kalendarzach i podłodze – opowiadał Jerzy Gruza. – Później krytycy pisali o ciekawej interpretacji, że pół aktu Zbyszek grał na kolanach z twarzą przy ziemi”[⁵].

Zdecydowanie bardziej odpowiadała mu praca w filmie, ale tam początkowo również nie odnosił sukcesów. Zadebiutował w *Pokoleniu* Wajdy, jednak po ingerencji cenzury z jego roli pozostał epizod, na który większość widzów nie zwróciła większej uwagi. Jeszcze gorzej było w przypadku *Kanału*, bo mimo poparcia ze strony asystenta reżysera w ogóle nie dostał angażu.

„Czyniąc przygotowania do realizacji – wspominał Janusz Morgenstern – podjąłem próbę obsadzenia Zbyszka w jednej z głównych ról, a mianowicie Koraba. Wajda jednak nie dał się przekonać, wołał Janczara.

U Zbyszka przeszkadzały mu okulary, mówił, że ma małe oczy bez wyrazu. Ostatecznie chyba dobrze się stało. Janczar zagrał bardzo dobrze powierzoną mu rolę”[⁶].

Wreszcie zaproponowano mu główną rolę – zagrał Rafała we *Wrakach* Ewy i Czesława Petelskich. Nie był to jednak wybitny film, a sam Cybulski po latach miał gorzko wspominać pracę nad nim:

„[...] było zimno, wiał wiatr, woda w morzu lodowata. Musiałem parokrotnie skakać do wody. Gdy wyciągano mnie na pokład, za każdym razem dostawałem szklanek wody i z powrotem do wody. Nikt nie pytał, jak się czuję, czy mam dosyć, czy mi to odpowiada, czy też nie”[⁷].

Wydawać się mogło, że nad jego karierą filmową ciążyło jakieś fatum, albowiem gdy dostał główną rolę w adaptacji *Ósmego dnia tygodnia* Hłaski, to ze względów politycznych film nie wszedł na ekrany. Jego premiera odbyła się dopiero po upływie ćwierćwiecza, gdy reżysera, scenarzysty i odtwórcy głównej roli męskiej nie było już wśród żywych.

Cybulski cierpliwie czekał i wreszcie dostał dużą, odpowiednią dla siebie rolę. Zawdzięczał to w dużej mierze Januszowi Morgensternowi, który zawsze był wielbicielem jego talentu.

„[...] powiedziałem Wajdzie, że bardzo mi zależy na tym, aby Zbyszek zagrał Maćka w *Popiele i diamentach* – wspominał reżyser po latach. – Zdjęcia próbne ze Zbyszkiem wyszły, w moim przekonaniu, tak znakomicie, że Wajda zdecydował się go obsadzić. Pojawiła się jednak inna przeszkoda. Otóż kierownikiem artystycznym filmu był Kawalerowicz i do niego należało zatwierdzenie obsady głównych ról. Kawalerowicz miał wątpliwości, gdyż po obejrzeniu *Ósmego dnia tygodnia* uznał, że Zbyszek wypadł słabo. Ja jednak powiedziałem Wajdzie: niech wybiorą – albo Zbyszek gra rolę Maćka, albo ja rezygnuję z dalszej współpracy. Wajda zgodził się pod warunkiem, że ja będę przygotowywał próby, pracował ze Zbyszkiem nad tekstem, gdyż już wtedy mówiło się, że nie uczy się roli i przychodzi na zdjęcia nieprzygotowany. Przyjąłem te warunki”^[8].

Cybulski przed kamerą był sobą, nie zdejmował nawet ciemnych okularów, co zresztą znalazło logiczne uzasadnienie w filmie. Maciek Chełmicki miał bowiem cierpieć na nadwrażliwość na światło, której nabawił się, wędrując kanałami podczas Powstania Warszawskiego. A Wajda poszedł na całość i zgodził się, aby Cybulski nie używał przygotowanych dla niego kostiumów.

„[...] Zbyszek ubrany był tak jak zawsze – wspominał reżyser – w [...] jeansy, zieloną, wyjściową kurtkę, przez ramię przewieszony wojskowy chlebak, sznurowane trzewiki. Oczywiście, uprzejmie przymierzył on w garderobie wszystkie przygotowane kostiumy, ale w końcu ubrał się we własne ubranie. Szedł na zdjęcia absolutnie przekonany, że zrobił to, co do niego należy.. Był sobą i chciał oddać się filmowi *Popiół i diament* cały, razem z butami i blaszaną manierką, którą nosił w chlebaku. Czyż jako reżyser mogłem nie zrozumieć tego wyzwania?”^[9].

Aktor wniósł również wiele do scenariusza – to właśnie on zaproponował swoją wersję sceny śmierci Szczuki, gdy po oddaniu strzałów zabójca i ofiara „padają sobie w objęcia”. A to wszystko na tle wybuchających fajerwerków odpalanych z powodu zakończenia wojny.

„Zbyszek był również gorącym orędownikiem mojego pomysłu – apelu poległych, czyli zapalania przy barze przez bohaterów kieliszków spirytusu – opowiadał Morgenstern. – Wajda nie zamykał się tylko we własnych

wyobrażeniach dotyczących przyszłego filmu, miał tę wspaniałą zaletę, że potrafił nakłonić najbliższych współpracowników: asystentów, aktorów, operatora, do twórczego działania”^[10]].

Sukces filmu przeszedł najśmielsze oczekiwania, a Cybulski z dnia na dzień stał się prawdziwą gwiazdą. Ulice polskich miast zaludniły się jego sobowtórami – tysiące młodych ludzi zaczęły zakładać ciemne okulary i ubierać się tak jak on. Został pierwszym aktorskim idolem epoki PRL.

„Oto po kilku latach stalinowskiego terroru – wspominał Jacek Fedorowicz – po mordowaniu i opluwaniu bohaterów, po popadnięciu z jednej niewoli w drugą [...], po latach krzyczącej niesprawiedliwości, kiedy największych patriotów sądy nazywające się polskimi skazywały za współpracę z hitlerowcami, po tym wszystkim nagle widzowie zobaczyli na ekranie AK-owca, który jest – jak to się wtedy klasyfikowało – bohaterem pozytywnym. Ta pozycja zarezerwowana była dotąd wyłącznie dla dzielnych komunistów. Widzowie wreszcie zobaczyli chłopaka, z którym się chętnie identyfikowali, który pasował do ich – nieco już pewnie wyidealizowanych – wspomnień, ucieleśniał tęsknotę za niepodległym państwem i dawał cień satysfakcji za doznane upokorzenia”^[11]].

O sukcesie filmu zdecydowała jednak nie tylko polityka, gdyż Cybulski stworzył postać, z którą mogło się identyfikować wielu młodych widzów. To nie był bohater z pomnika ani bojownik, który czuł odpowiedzialność wobec Boga i historii. Był zwykłym, zmęczonym wojną chłopakiem, który tęsknił do osobistego szczęścia i tak naprawdę niewiele różnił się od swoich współczesnych rówieśników.

„Cybulski nie grał postaci historycznej należącej do czasów, jeśli nawet nieodległych, to jednak bezpowrotnie minionych – pisała historyk filmu Alicja Helman. – Grał kogoś współczesnego każdemu młodemu człowiekowi, który kiedykolwiek zasiądzie przed ekranem, by obejrzeć *Popiół i diament*. Do pewnego stopnia poprzez Chełmickiego Cybulski gra uniwersalny dramat młodości w ogóle”^[12]].

Ogromny sukces filmu miał się stać w przyszłości największą tragedią zawodową Zbyszka. Przez kolejne lata kariery filmowej chciał odejść od postaci Maćka Chełmickiego i właściwie nigdy mu się to nie udało. Żadna inna jego rola nie wzbudziła podobnego entuzjazmu, ale z drugiej strony *Popiół i diament* zapewnił mu stałe miejsce w annałach sztuki filmowej. I to zarówno w kraju, jak i za granicą.

ARS AMANDI MAĆKA CHEŁMICKIEGO

Zbyszek Cybulski był typem romantyka, który zawsze poważnie traktował

sprawy uczuć i erotyki. Odróżniał się pod tym względem od swojego najbliższego przyjaciela, Bogumiła Kobieli, który dążył do celu najprostszymi sposobami i często odnosił sukcesy. Natomiast Zbyszek przychodził na randki z kwiatami i recytował wiersze, co nie zawsze było doceniane.

W trakcie studiów aktorskich w Krakowie zakochał się w koleżance z uczelni Ewie Lassek. Nie było to jednak najlepiej ulokowane uczucie.

„To było na drugim i trzecim roku studiów – wspominała aktorka Lidia Rybotycka. – Ewa była śliczną, trochę tajemniczą, zgrabną, świetnie ubraną dziewczyną. Poza tym była znakomitą aktorką i w życiu, i na scenie. Pracowała już w teatrze w Katowicach, a my jeszcze studiowaliśmy.

Ze Zbyszkiem przyjaźniłam się, Ewę też dobrze znałam, więc zostałam ich »kurierem«. Wozilałam listy, przywoziłam suszone kwiaty..”[¹³].

Ewa lekceważyła jednak Zbyszka, a koleżankom powtarzała, iż „nie może zapominać, że jest z domu Lassek”. Jakiś tam Cybulski to było dla niej zdecydowanie za mało i w efekcie nie traktowała adoratora zbyt poważnie. Zbyszek cierpiał i zwierzał się przyjaciołom, odwiedzał ich, „kładał się na kanapie i mówił o Ewie”. A chociaż autentycznie ją kochał, to dziewczyna nie widziała dla niego miejsca u swego boku.

Problem przestał istnieć, gdy Cybulski przeniósł się na Wybrzeże. Szybko zdobył tam popularność, co dla panny Lassek było sygnałem, że podjęła niewłaściwą decyzję. Wydelegowała nawet do byłego amanta swoją matkę, która „prosiła, by wrócił do jej córki”. Na próżno, albowiem „już wygasło dawne uczucie”, a poza tym cała ta sprawa przysporzyła Cybulskiemu zbyt wiele bólu i goryczy.

W Trójmieście miewał przelotne flirty i romanse, wytrwale starał się też o względy sprinterki Barbary Lerczak. Wyznał jej nawet miłość, ale chyba nie był zaskoczony tym, że ich znajomość zatrzymała się na fazie przyjaźni.

„To było czysto platoniczne, piękne uczucie – opowiadała sportsmenka. – Dużo mu zawdzięczam, gdyż otworzył mi oczy na literaturę i film. Był to okres neorealizmu włoskiego. Oglądało się wówczas *Cud w Mediolanie*, *Złodziei rowerów*, czytało Małego *Księcia*. Nie zawsze te rzeczy docierały do mnie. Zbyszek został moim nauczycielem. Czasem tłumaczył mi pewne metafory. Cierpliwie, z czułością”[¹⁴].

Przyjaźni tej nie zakłóciły nawet przeprowadzka Barbary do Krakowa ani jej kolejne małżeństwa. Zbyszek często ją odwiedzał, zawsze pamiętał o wysyłaniu kartek ze swoich podróży, czasami pisał dłuższe listy. Zawsze zresztą czuł się odpowiedzialny za swoje sympatie, a ich ewentualne zamążpójście niczego w tej kwestii nie zmieniało. Z drugiej jednak strony miał ogromną liczbę wielbicielek, wobec których starał się być szarmancki, a mimo to jego wrodzone roztargnienie

czasami brało górę.

„Zbyszek bez przerwy zakochiwał się – opowiadała Lucyna Winnicka. – Były to chwilowe zauroczenia. Panience na pocztę zanosił bukiet kwiatków, mówiąc, że jest piękna i cudowna, po czym... zapominał o całym zdarzeniu i o dziewczynie. A panienska była szczęśliwa, bo dostała kwiaty do Cybulskiego!”^[15]

ELA

Wreszcie spotkał tę, z którą postanowił dzielić życie. Elżbieta Chwalibóg była studentką szkoły plastycznej i uchodziła za jedną z najładniejszych dziewcząt na uczelni. Z Cybulskim poznała się przy okazji drugiego programu Bim-Bomu i początkowo nic nie zapowiadało małżeństwa.

„Nie potrafię powiedzieć, kiedy tak naprawdę zaczęliśmy chodzić ze sobą i staliśmy się parą – wspominała po latach. – Krótko, rok czy półtora, mieszkaliśmy w Sopocie we trójkę: Zbyszek, Bobek i ja. Potem już sami w Gdańsku przy Bramie Straganiarskiej.

Pobraliśmy się dopiero po paru latach – w sierpniu 1960 roku”^[16].

Ich ślub (opisywałem go w jednej ze swoich poprzednich książek) był wielkim wydarzeniem towarzyskim Trójmiasta. Potem jednak przyszła codzienność, nie najłatwiejsza dla obojga małżonków. Pomimo to lata spędzone nad Bałtykiem były najszcześniejszym okresem ich związku.

„Dopóki nie wzięliśmy ślubu – mówiła pani Elżbieta – żyliśmy bardzo dobrze i zgodnie [...]. Dlatego najmilej wspominał lata spędzone na Wybrzeżu. To był najpiękniejszy okres w naszym wspólnym życiu. W Warszawie zaczął się prawdziwy koszmar”^[17].

Kiedy Cybulscy przenieśli się do stolicy, Ela była w ciąży. Warszawa, jako centrum życia kulturalnego kraju, stwarzała o wiele lepsze perspektywy rozwoju. Nie dysponowali jednak mieszkaniem ani pieniędzmi, a Zbyszek nie zawsze miał pracę.

„[...] mieszkaliśmy najpierw w dwóch wynajętych pokojach na ulicy Baśniowej na Ochocie – opowiadała pani Elżbieta. – Właścicielka wyrzuciła nas przed samymi urodzinami Maćka. Zostaliśmy bez mieszkania i kiedy Maciek się urodził, nie miałam dokąd pójść. Trochę czasu spędziłam u Kawalerowiczów, a potem – z maleńkim Maćkiem – pojechałam do Katowic, do państwa Cybulskich. Zbyszek w tym czasie załatwił nam mieszkanie na Browarnej. Później przenieśliśmy się na Czerniakowską”^[18].

Podstawowymi problemami w ich związku były jednak charakter i przyzwyczajenia Cybulskiego. Zbyszek mógł być doskonałym przyjacielem i

świetnym partnerem w nieformalnym związku, ale kompletnie nie nadawał się na ojca i męża. Wprawdzie zaczął wreszcie dużo zarabiać i mógł zapewnić rodzinie stabilizację finansową, ale w domu bywał jedynie gościem. Poza tym miał duszę wagabundy i nigdy nie potrafił przebywać dłużej w jednym miejscu. Po pewnym czasie Elżbieta zaczęła uważać to za rzecz najzupełniej normalną i „w końcu przestała reagować”. Doszło nawet do tego, że kiedy umarł ojciec Zbyszka, aktora poszukiwano przez radio, bo nikt nie wiedział, gdzie może akurat przebywać...

Taki tryb życia musiał się odbić na kontaktach Cybulskiego z synem. Aktor był wprawdzie bardzo dumny ze swojego potomka, ale zupełnie nie umiał tego okazać.

„Kiedy nocą Zbyszek wracał do domu zmęczony, Maciek się budził i chciał bawić się z ojcem. Zbyszka to drażniło. Kochał syna, ale nie potrafił się nim zająć” [19].

Właściwie nigdy nie potrafił się porozumieć z najbliższymi. Był dobrym przyjacielem i powiernikiem, ale zupełnie nie sprawdzał się w roli ojca rodziny. I chyba faktycznie nigdy nie powinien wiązać się na stałe, bo nie dość, że nie był do tego przygotowany, to jeszcze najwyraźniej nie było mu to w ogóle potrzebne.

„Jako mąż musiał być bardzo uciążliwy – przyznawał Michał Roniker. – Taki człowiek nie powinien się żenić. Był bardzo dobry, uczciwy, życzliwy, tyle że jego rodzina nie miała okazji, by się o tym przekonać. Sam zresztą żartował, że gdy przychodzi do domu, syn pyta: – Mamo, kim jest ten pan?” [20].

CENA SŁAWY

„Czasem mówił mi o swoich miłościach – mówiła Elżbieta Chwalibóg. – [...] Miał mnóstwo chwilowych narzeczonych, jak marynarz. Dziewczyny go uwielbiały. Dostawał setki listów od wielbicielek” [21].

Popularność przekładała się na codzienne życie, więc gdy tylko pojawiał się w jakimś lokalu, wszyscy chcieli z nim wypić kolejkę. Wprawdzie początkowo unikał alkoholu, ale z czasem zasmakował w takim trybie życia. Nigdy też nie potrafił odmawiać licznym wielbicielom i dlatego na ogół wolał imprezy towarzyskie w mieszkaniach prywatnych.

„Kiedyś piliśmy razem w większym towarzystwie w jakimś wesołym domu – wspominał Jerzy Urban. – Znudziło mi się, wyciągam go stamtąd do baru w pobliżu. On się opiera, tłumacząc, że tam tłum zacznie na niego napierać. Drwię z niego, że mu się w głowie przewróciło, aktorzyzna, co zagrał raptem w dwóch filmach. Wyszliśmy na Marszałkowską, natychmiast pojawili się ludzie z prośbą

o autograf. Weszliśmy do baru, a za nami tłum coraz liczniejszy, każdy chce mu stawić. Przyduszony przez ten tłum do bufetu wpadłem w panikę, że stamtąd żywy nie wyjdę. Jakoś uciekłem, zostawiając Cybulskiego na pastwę wielbicieli”[²²].

Nie był też skąpcem i nigdy nie oszczędzał, kiedy wychodził z przyjaciółmi do lokalu. Płacił za siebie i za innych i „nie cechowało go sknerstwo, tak charakterystyczne dla wielu aktorów”. Inna sprawa, że nigdy nie przywiązywał większej wagi do pieniędzy. Żył dniem dzisiejszym i nie myślał, aby oszczędzać i zachować coś na później. Uważał, że zarabia pieniądze po to, by je wydawać.

Chyba nie zauważał też, że funkcjonuje na specyficznych prawach, które zapewniła mu rola Maćka Chełmickiego. Dla pana Cybulskiego zawsze był najlepszy stolik, nigdy też zbyt długo nie czekał na obsługę.

Personel knajpy poczytywał sobie za zaszczyt, że aktor bywał właśnie w tej restauracji.

„Często chodziliśmy do nocnych lokali, chociaż z pieniędzmi było krucho – wspominała aktorka Lucyna Legut. – Razu pewnego kelner w Grand Hotelu bardzo niechętnie nas obsługiwał, bo zamówienie było nikczemne, po prostu niewarte obsłużenia. Zbyszek wtedy siedział przy innym stoliku, gdzie go suto raczyli jego wielbiciele, ale spostrzegł zachowanie kelnera i zrobił okropną awanturę o to, że źle się traktuje artystów tylko dlatego, że mają mało pieniędzy. Gdyby ktoś z nas zrobił taką awanturę, po prostu by nas wylano z sali, ale Zbyszka sam pan kierownik przeproszał”[²³].

Powszechnie znano go i lubiano, a przecież miało to miejsce w czasach, gdy telewizory w domach były rzadkością. Zbyszek zresztą bardzo rzadko pojawiał się na ekranie, zagrał tylko kilka ról w przedstawieniach Teatru Telewizji. Ale do kina chodzili wówczas wszyscy, a praktycznie każdy Polak oglądał *Popiół i diament*.

„[...] Zbyszek wpadł do Klubu Marynarza – opowiadał aktor Jacek Domański. – Naturalnie na rauszu. Podszedł do stolika i ze słowami »Cybulski jestem« wypił wódkę stojącą przed roslym wilkiem morskim. Zdrętwiałem. Facet w pierwszym momencie zerwał się do bójki. Popatrzył na Zbyszka, twarz mu się rozpogodziła i powiedział: – Będzie mi bardzo miło wypić z panem. – Zaprosił nas do stolika”[²⁴].

Cybulski pił coraz więcej, w Warszawie krążył nocą „szlakiem licznych knajpek” po Krakowskim Przedmieściu. To było jego naturalne środowisko, otoczenie, bez którego nie mógł funkcjonować. Lubił się przysiąść do znajomych i nieznajomych, wypić kieliszek czy dwa, a kolejne już gdzieś indziej. Podobnie działo się podczas kręcenia filmów, bo w wolnym czasie Zbyszek zniknął, aby włączyć się po knajpach. Jacek Domański na długo zapamiętał

realizację filmu *Jutro Meksyk*.

„Wszystkie próby inicjowane przez Zbyszka, aby przeżyć dzień bez alkoholu, nie rokowały nadziei. Któregoś wolnego od zajęć dnia wybraliśmy się razem z Ewą Warwas na spacer po Sopocie. Włóczyliśmy się uliczkami, objadając się ciastkami i lodami. Zbyszek opowiadał interesujące historie ze swego życia. [...] Wyszliśmy z kawiarni w nadziei miłego zakończenia spaceru. Aby dojść do kolejki, musieliśmy przejść obok Uła, miejsca spotkań sopockiej bohemy. Niestety wpadliśmy w objęcia polskiego barda Tadeusza Chyły. Dalszy ciąg był do przewidzenia”^[25].

Nic dziwnego, że wiele osób współczuło jego rodzinie, uważając, że „na co dzień musiał być potworem”. Na domiar złego w domu zachowywał się jak „jego bohater z filmu *Giuseppe w Warszawie*: leniwy i bezproblemowy, zawsze trochę nieprzytomny”. Nigdy nie pamiętał, gdzie coś położył czy schował, a kiedy wychodził, kilka razy sprawdzał, czy okna i drzwi są zamknięte. Natomiast na ulicy „wiecznie coś deptał lub podnosił”. I nawet gdy znalazł tylko papierek, to zawsze „obchodził go ze wszystkich stron, deptał, podnosił, oglądał”. Wyglądało to jak „etiuda aktorska”, ale Zbyszek po prostu taki był. Miał całą masę dziwacznych przesądów i przyzwyczajzeń, z których nie chciał i nie potrafił zrezygnować.

Mimo to przyjaciele (w odróżnieniu od rodziny) zawsze mogli na niego liczyć. Nigdy o nich nie zapominał i zawsze starał się pomagać. Często w bardzo skuteczny sposób.

„Kiedy znana sportsmenka Barbara Janiszewska dostała odmowę wizy angielskiej – wspominał Michał Roniker – namówił mnie (sam nie znał języka), bym pojechał do Ambasady Brytyjskiej i porozmawiał z attache kulturalnym. Zapewniałem więc, że Cybulski gwarantuje swoim autorytetem, iż pani Janiszewska wróci do Polski. Załatwił wizę. Jego nazwisko działało jak magnes”^[26].

KSIĘSTWO WARSZAWSKIE

Po *Popiele i diamentach* zagrał tylko jedną główną rolę na miarę swojego talentu. Było to w *Do widzenia, do jutra* – debiucie reżyserskim Janusza Morgensterna. Dla Cybulskiego był to film wyjątkowy, ponieważ realizowano go w gdańskich plenerach, wplatając doń fragmenty przedstawień Teatru Dziesięciu Rąk i Bim-Bomu. W ten sposób Zbyszek zegnał się z Trójmiastem i najszcześniejszym okresem swojego życia.

Z perspektywy czasu może się to wydawać niewiarygodne, ale po przeprowadzce do Warszawy dostawał bardzo niewiele propozycji filmowych. Wprawdzie zagrał główne role w *Jak być kochaną*, *Salcie* czy w *Ich dniu*

powszednim, ale właściwie tylko *Giuseppe w Warszawie* był filmem na miarę jego talentu.

Największe zdziwienie wywołuje jednak postawa Andrzeja Wajdy, bo niemal całkowicie ignorował on aktora, któremu zawdzięczał gigantyczny sukces *Popiołu i diamentu*. W rolach właściwych dla Zbyszka obsadzał innych, czasami z nie najlepszym skutkiem. Nawet w *Niewinnych czarodziejach* zaproponował mu tylko epizod, a główną rolę powierzył Tadeuszowi Łomnickiemu. W efekcie nakręcił dobry film, ale zapewne powstałby znacznie lepszy, gdyby w postać Bazylego wcielił się Cybulski. Niewykluczone, że byłby to do dzisiaj jeden ze sztandarowych filmów polskiej kinematografii.

W efekcie swoje najlepsze kreacje stworzył Cybulski w epizodach, w których dawał z siebie wszystko. Zawsze zresztą twierdził, że dobrze zagrać epizod to tak, jakby w szachach „dać przeciwnikowi mata w kilku ruchach”.

Tym niemniej epizody nie zaspokajały jego ambicji, toteż coraz bardziej rozgoryczony aktor zaczął twierdzić, że sprzysięgły się przeciwko niemu stołeczne elity kulturalne.

„On nie rozumiał, co takiego zrobił, że się od niego odwrócono – opowiadał Władysław Kowalski. – Miał żal do paru reżyserów, ale nie nadawał na nich. Był po prostu dobry, nie lubił mówić źle o ludziach. Używał terminu »księstwo warszawskie«. Że księstwu się coś nie podobało”^[27].

Rzeczywiście w tych latach w stolicy funkcjonowała nieformalna grupa towarzyska, która miała wiele do powiedzenia w kwestii wszelkich wydarzeń kulturalnych. Ludzie ci mogli zdecydować o czyimś sukcesie albo upadku, o dobrych recenzjach lub kompletnej klapie. Praktycznie decydowali też o obsadzie wielu filmów, posiadali bowiem ogromne, chociaż ukryte wpływy.

„Były takie miejsca zwane salonami – wspominał Kazimierz Kutz – gdzie się wyrokowało, gdzie się produkowało poglądy, gdzie się wypuszczało plotki, które albo kogoś wywyższały, albo wręcz przeciwnie – pognębiały kompletnie. W tych salonach każdy każdego bardzo pilnował i oceniał. Czy dobrze się zachował, czy się nie zeszmacił? Cień podejrzenia i ktoś wypadał z towarzystwa. Przecież tam omawiano sprawy, które nie były powszechnie znane”^[28].

Zbyszek nie pasował do tego grona – był zbyt prostolinijski i uczciwy, by zostać zaakceptowany. W efekcie popadał w coraz większą depresję i po alkoholu wyżałał się swoim przypadkowym znajomym, co jeszcze bardziej pogłębiało niechęć „księstwa” do niego. Cybulski miał zresztą na sumieniu konflikt z jednym z jego liderów, czyli Tadeuszem Konwickim. Panowie poznali się na planie *Popiołu i diamentu* i od tego czasu nie przepadali za sobą.

„Nie lubiliśmy się ze Zbyszkiem – przyznawał Konwicki. – On był hardy i nie szukał okazji do pojednania. Zresztą i później, kiedy byliśmy już ze sobą

dobrze, nie byliśmy blisko. Nie należałem do kręgu Zbyszka, a on nie przystał do szajki moich przyjaciół”^[29]].

Trzeba przyznać, że Cybulski faktycznie dał się Konwickiemu we znaki podczas realizacji *Salta*. Był to czas, w którym już zdecydowanie nadużywał alkoholu, a reżyser kojarzył mu się ze znienawidzonymi elitami warszawskimi. I całkiem słusznie, albowiem pan Tadeusz był jednym z filarów tego środowiska.

„[...] Zbyszek pojawia się spóźniony na zdjęcia – relacjonował Konwicki. – Niby jest, ale ciągle go nie ma. Jego fraucymer robi tajemnicze i bolesne miny. Biegną go wołać i wracają bez niego. Jakaś tajemnica, coś w rodzaju sprzysiężenia, zupełnie wyraźna konspiracja przeciwko mnie.

Wreszcie prowadzą obrażonego z góry na mnie, nabzdyczonego gwiazdora. Rusza kamera, Zbyszek gra jak stołowa noga, siada, kiedy powinien stać, idzie w prawo zamiast w lewo. Sam czuje, że to nie tak. Ale honor podrażniony spirytualiami nie pozwala na kompromis, na negocjacje, na porozumienie. Więc cała wina idzie na mnie. I przykra woń wyborowej również”^[30]].

Uczciwie trzeba przyznać, że filmowcy mieli prawo zrazić się do Cybulskiego. Zniknęła gdzieś jego obowiązkowość, górę wzięły nałogi i upodobanie do nocnego życia. Nie pojawiał się o ustalonych godzinach, czasami były też problemy z jego odnalezieniem. A nawet wtedy, gdy nocował w domu, zdarzały się kłopoty z dostarczeniem go na plan.

„Film *Sam pośród miasta* kręciliśmy w wytwórni na Chełmskiej, a Zbyszek mieszkał tuż, tuż, na rogu Czerniakowskiej i Gagarina – skarżył się Michał Roniker. – Już wtedy wiadomo było, że ma znaczne problemy z rannym wstawaniem, w związku z tym trzeba było go budzić. Wypracowałem sobie pewien system: dzwoniłem do Eli, jego żony, i pytałem, czy już wstał. – Jeszcze śpi, ale przyjeżdż, zrobię śniadanie i zaraz go reanimujemy.

Jechałem więc, samochód czekał na mnie pod blokiem i po półgodzinie próśb i gróźb przywoziłem go na plan”^[31]].

Podczas realizacji filmów poza Warszawą gwiazdor stosował metodę, która zapewniała mu nieco dłuższy sen. Obok łóżka ustawiał miskę z wodą, a kiedy pukano do drzwi, to pluskając ręką odpowiadał, że właśnie się kąpie. Po czym natychmiast ponownie zasypiał.

Na swój sposób walczył jednak ze słabościami. Tracił duże pieniądze na taksówki, którymi przemieszczał się z miasta do miasta, by na czas dotrzeć na plan zdjęciowy. A czasami potrafił też zaskoczyć swoich współpracowników, którzy wiedząc, iż poprzednią noc spędził na pijaństwie, spodziewali się, że rano znów odbędzie się misterium poszukiwania aktora.

„Przygotowywaliśmy scenę naprzeciwko dworca w Gdańsku, obok zakładu fryzjerskiego – wspominał Jan Laskowski. – O dziewiątej miał się zjawić na

planie Zbyszek. Już jesteśmy gotowi, czekamy. Zbyszka nie ma. W hotelu również go nie ma. Nikt nie wie, gdzie może być. Ktoś wpadł na pomysł, żeby dowiedzieć się na milicji. Wszedł do fryzjera, by zadzwonić. Na fotelu fryzjerskim siedział Zbyszek. Od siódmej rano. Spał. Przyszedł, żebyśmy nie musieli go szukać.

Nie można było gniewać się na niego...”[³²].

Przy takim trybie życia ratowało go również to, że miał niesamowitą zdolność regeneracji organizmu. Po nocy spędzonej w knajpie potrafił pojawić się „mocno nieświeży”, po czym prosił o 15 minut wolnego. Kładł się i natychmiast zasypiał, a po kwadransie sprawiał wrażenie innego człowieka. Był gotów do pracy..

Oczywiście można żałować, że nigdy w pełni nie wykorzystano talentu Zbyszka, nie sposób jednak ukryć, że był on wyjątkowo kłopotliwym aktorem, który mógł stać się przekleństwem każdego reżysera, co po latach w ten sposób ujął Andrzej Wajda:

„Było wiele powodów, u których źródła tkwił sam Cybulski. Wiele »nie« pojawiało się przed reżyserem, który myślał o obsadzeniu go w filmie lub teatrze.

NIE, bo nie nauczy się tekstu...

NIE, bo w kostiumie będzie śmieszny...

NIE, bo nie ma dość siły głosu, aby występować na scenie...

NIE, gdyż w epizodzie odwróci uwagę od innych aktorów, którzy grają role prowadzące...

NIE, bo jest trudny w pracy na planie...

NIE, bo wtrąca się do scenariusza...

NIE, bo ma przecież tyle innych zajęć...

i w końcu:

NIE, bo będzie taki sam jak w *Popiele i diamencie*...”[³³].

Nie zmienia to jednak faktu, że po śmierci Zbyszka pan Andrzej gorzko żałował, że nie dał mu kolejnej szansy. I nie był w tym żalu osamotniony..

ZA ŻELAZNĄ KURTYNĄ

W maju 1960 roku Cybulski po raz drugi przyjechał do Paryża, tym razem jako były aktor gdańskiego Teatru Wybrzeże. Lubił miasto nad Sekwaną, dobrze się w nim czuł, ale wiedział, że nie jest to „jego bajka”.

„Tu zupełnie inny świat – pisał do Barbary Lerczak – zupełnie inaczej ludzie myślą i inny mają do siebie stosunek. [...] W sumie cieszę się, że mieszkam i jestem w Polsce. [...] Paryż robi ogromne wrażenie (śliczne dziewczyny!!!), ale już po dwóch miesiącach ogromna nostalgia za krajem – za moim w Sopocie, przestrzenią morza i małymi uliczkami, do których się ogromnie

przywiązałem”[³⁴].

We Francji był znany dzięki *Popiołowi i diamentowi*, niebawem też dostał propozycję roli w filmie *La Poupée (Lalka)*. Przez dłuższy czas nie mógł się jednak zdecydować, trudno mu było podjąć ostateczną decyzję.

„Pamiętam, że pod koniec naszego pobytu na Wybrzeżu – wspominała Mirosława Dubrawska – szliśmy jak zwykle całą grupą do kawiarni, a Zbyszek: – Wiesz, Zygmunt [Hübner, reżyser teatralny – S.K.], proponują mi rolę we francuskim filmie, ale nie wiem, stary, czy się zgodzę. Trzeba wysłać depezę... – Zygmunt na to: – Chodź, wyślemy razem tę depezę. – Wysłali. Zbyszek zagrał w tym filmie”[³⁵].

Cybulskiego nie dubbingowano, zagrał po francusku, co było przedsięwzięciem dość karkołomnym. Wprawdzie nieźle znał ten język (znacznie lepiej, niż pokazywał to na planie *Do widzenia, do jutra*), jednak nie w stopniu umożliwiającym swobodne wygłaszanie skomplikowanych kwestii. Zwrócili na to uwagę recenzenci, twierdząc, że z „godną pochwałą gorliwością się nie oszczędzał”, ale niestety „przeważnie bełkotał”.

Z francuskim Zbyszka faktycznie nie mogło być najlepiej, skoro podczas realizacji filmu czasami dziwił się, że rodowici Francuzi nie rozumieją swojego języka...

Zagrał jeszcze epizod w innym filmie – *Le Thé à la menthe (Herbatka miętowa)* – i na tym zakończyła się jego przygoda z francuską kinematografią. Natomiast znacznie większe znaczenie miała rola w szwedzkim filmie *Kochać*, gdzie zagrał u boku gwiazdy Ingmara Bergmana, Harriet Andersson.

„Do Sztokholmu [...] jechał pełen obaw – wspominał Stanisław Lenartowicz. – We Wrocławiu dał mi do czytania szwedzki scenariusz. Postać, którą miał grać, dość nijaka. Długie sceny łóżkowe, korzystniejsze dla partnerki, całe sekwencje jakichś japońskich drzeworytów pornograficznych bez potrzeby i bez związku. Zbyszka pociągała ta rola, ale pod warunkiem że reżyser przyjmie jego koncepcje. Ze Sztokholmu napisał: »Miałem ogromną dyskusję. Zwyciężyłem, bo ich upiłem i przekonałem. Gram po słowiańsku. Może coś z tego będzie«”[³⁶].

Zbyszkowi nie odpowiadały długie sceny miłosne, a ówczesna swoboda obyczajowa kina skandynawskiego była dla niego nie do przyjęcia. Uznał scenariusz filmu za zbyt wyuzdany, sprowadzający całą akcję wyłącznie do seksu. I chociaż na życzenie Cybulskiego dokonano licznych zmian, to jak na ówczesne polskie standardy obraz i tak ociekał ostrym erotyzmem.

„Nie jestem typem amanta – tłumaczył w wywiadzie dla szwedzkiej prasy. – Ze mnie żaden Gregory Peck czy Gérard Philipe i nie mam owłosionych piersi. Muszę mieć coś innego, aby rozwinąć się w filmie, który w sześćdziesięciu

procentach rozgrywa się w łóżku. Cały czas szukamy czegoś innego, abym w końcu nie wyszedł na idiotę”^[37]].

Niestety, film nie okazał się sukcesem kasowym, a Zbyszek nie potrafił odnaleźć się przed kamerą. Jego gra była nieprzekonująca, co wzięło się głównie stąd, że rola nie dawała zbyt wielu możliwości. Doceniono natomiast jego partnerkę – Harriet Andersson została za swoją kreację wyróżniona na festiwalu w Wenecji.

Kłęska szwedzkiej produkcji ostatecznie zraziła Cybulskiego do międzynarodowej kariery. Nie mógł się odnaleźć w zachodniej Europie, to był dla niego zupełnie obcy świat. Nie wyobrażał sobie wyjazdu z Polski na stałe, nie interesowały go nawet wysokie honoraria, jakie inkasował za udział w zachodnich produkcjach. W Szwecji kupił sportowe volvo, które podarował żonie. Sam bowiem nie lubił samochodów i wolał jazdę na motorze.

ULUBIENICY BOGÓW UMIERAJĄ MŁODO

Tak naprawdę to oddałby wszystkie zachodnie honoraria za rolę, o której od dawna myślał. Wojciech Jerzy Has przystępował do ekranizacji *Lalki* Bolesława Prusa i Cybulski marzył o roli Wokulskiego. Chciał go zagrać „jak Orson Welles” z nieodłącznym cygarem w ustach.

Reżyser wybrał jednak Mariusza Dmochowskiego, co stało się przyczyną kolejnych frustracji Zbyszka. I chociaż trudno go sobie wyobrazić jako bohatera powieści Prusa, to warto zauważyć, że w *Rękopisie znalezionym w Saragossie* zagrał znakomitą rolę. A przecież zawsze uważano, że nie nadawał się do ról w filmach kostiumowych...

Depresję aktora pogłębiało jeszcze to, że znacznie utył i nie potrafił się z tym problemem uporać. Narzekał, że z tego powodu pozostaną mu już tylko role charakterystyczne, a to oznaczało jeszcze mniej propozycji filmowych.

„Lepiej było zginąć młodym, tak jak Dean, niż doczekać tuszy, oczu jeszcze mniejszych niż były.. – mówił z goryczą do Juliusza Lubicz-Lisowskiego. – [...] Właściwie z młodością skończyło się wszystko. Gdy miałem dwadzieścia pięć lat, grałem Maćka Chełmickiego, robiłem Bim-Bom, objechałem całą Europę, teraz już mnie to nie bawi. Cóż z tego, że gram, obojętne, co to będzie, jeśli wszystko skończyło się z młodością”^[38]].

Pewnym pocieszeniem były dowody uznania ze strony gwiazd europejskiego formatu. W Paryżu jego wielbicielką okazała się sama Edith Piaf, w której mieszkaniu bywał częstym gościem. A gdy na koncerty do Polski przyjechała Marie Laforêt, natychmiast straciła dla niego głowę.

„Zbyszek nie znał języków (trochę mówił po francusku), więc byłem jego tłumaczem – mówił Michał Roniker. – Spotykaliśmy się we trójkę, najczęściej w

Hotelu Europejskim. Marie Laforêt zakochała się w Zbyszku i zabiegała o te spotkania. Była tu tylko parę dni, więc nic poważnego nie wyniknęło z tego romansu”[³⁹].

Tego rodzaju dowody uznania sprawiają przyjemność każdemu mężczyźnie, natomiast znajomość Cybulskiego z Marleną Dietrich mogła wpłynąć na przebieg jego dalszej aktorskiej kariery. Gdy bowiem w 1966 roku wiekowa gwiazda przyjechała do Polski, szybko stali się nierozłączni. A Dietrich miała taką pozycję w światowej kinematografii, że ich wspólny film mógł otworzyć Zbyszkowi drogę do Hollywood, gdzie zapewne poczułby się znacznie bardziej dowartościowany niż w Sztokholmie.

„Razem objechali całą Polskę – wspominał Jerzy Stefan Stawiński. – Pili przed każdym występem – Marlena musiała łyknąć swoją porcję szampana. Nie próbowała go wciągnąć do łóżka, ale spędzali razem wieczory i obiecała mu, że chętnie zagra z nim w filmie.

Gdy spotkałem się w Paryżu z francuskim producentem Pierrem Roustangiem, który realizował jedną z nowel *Miłości dwudziestolatków* według mojego scenariusza, opowiedziałem mu o propozycji Marleny. Roustang zerwał się z krzesła zachwycony: – Na Marlenę Dietrich dostanę pieniądze! Jej powrót po latach na ekran to będzie bomba! Zorganizuję ich spotkanie w Paryżu!”[⁴⁰].

Niestety, był to tylko chwilowy kaprys wielkiej gwiazdy, a gdy Zbyszek pojawił się w Paryżu, Marlena nie znalazła dla niego czasu...

Przeżył jednak chwilę autentycznego triumfu. W ostatnich dniach życia dostał wiadomość, że jedna ze stacji amerykańskich zaproponowała mu udział w telewizyjnej adaptacji sztuki Tennessee Williamsa *Tramwaj zwany pożądaniem*. Padła nawet konkretna suma honorarium – 100 tysięcy dolarów. W pierwszej chwili Zbyszek podejrzewał, że jest to dowcip Stanisława Dygata, który lubował się w podobnych historiach. Ale była to prawda, szkoda tylko, że nie zdążył już skorzystać z tej oferty.

Jego ostatnim miastem był Wrocław, w którym kręcił film *Morderca zostawia ślad*. Podczas pracy nie opuszczały go złe przeczucia. Choć miał dopiero 39 lat, uważał, że coś się kończy. Często powtarzał też, że „ulubieńcy bogów umierają młodo”.

„Miałam w tym czasie próby w Kalamburze *Listów śpiewających* – wspominała Agnieszka Osiecka. – Mieszkaliśmy obok siebie w hotelu. On był wówczas w bardzo kiepskiej formie, a jednocześnie garnął się do wszystkich ludzi z naszego pokolenia. Jeżeli gdziekolwiek kogokolwiek z nas spotkał, czy w wytwórni filmowej, czy na ulicy, w barze, mówił: – Powinniśmy coś razem zrobić. [...] Tak. Wydaje mi się, że on czuł... Czas. Chciał się z nami pożegnać. Smutne jest to, że nie rozumieliśmy tego wtedy. A potem... Potem było za późno”[⁴¹].

Nie bez powodu trzy miesiące wcześniej powiedział Beacie Tyszkiewicz (ówczesnej żonie Wajdy), że „Andrzej za nim jeszcze załaskni”. Przeczucia go nie zawiodły, chociaż zapewne nie przypuszczał, że odejdzie w taki sposób.

Ostatni wieczór (7 stycznia 1967 roku) spędził w towarzystwie znajomych w klubie U Twórców, następnie impreza przeniosła się do prywatnego mieszkania. Zbyszek przed południem musiał być w Warszawie, w nocy kilka razy przekładał wyjazd. Ostatnią możliwością był pociąg odchodzący o czwartej rano.

„Kiedy wbiegliśmy na peron, pociąg powoli ruszał – opowiadał jego przyjaciel Alfred Andrys. – Poganiany przez Zbyszka – wskoczyłem. Zbyszek zsunął się między stopień wagonu a peron. Zerwany przeze mnie hamulec za późno zatrzymał pociąg. Wyciągnięty na peron Zbyszek powtarzał: – Alfa, nie zostawiaj mnie samego.

W szoku odpowiadałem: – Benio, nie jesteś sam”[⁴²].

Zmarł godzinę później w szpitalu.

Zbyszek zawsze spóźniał się na pociągi, a czasami stał na peronie i z kimś rozmawiał aż do chwili, w której skład ruszał. Wskakiwał do wagonów setki razy, zawsze z powodzeniem. Tym razem jednak na oblodzonym peronie we Wrocławiu doszło do tragedii.

Jego pogrzeb odbył się cztery dni później w Katowicach. Pojawili się na nim wszyscy, którzy przez lata go ignorowali. Jego śmierć była wstrząsem dla milionów Polaków – po raz pierwszy w dziejach polskiej kultury nasz kraj pogrążył się w autentycznej żałobie po śmierci aktora. Ludzie rozmawiali o Zbyszku w zakładach pracy, kawiarniach, biurach, na ulicy. Wielu płakało, odszedł bowiem autentyczny idol i symbol pokolenia.

„Rano w dniu pogrzebu, jeszcze w Warszawie, śpieszyłam się na pociąg do Katowic – mówiła Zofia Czerwińska. – Zatrzymałam taksówkę i mówię: – Proszę pana, niech się pan śpieszy. Muszę zdążyć na pociąg. Jadę na pogrzeb Zbyszka Cybulskiego. Jechaliśmy starą warszawą po oblodzonej szosie. Przed dworcem szukam pieniędzy, a taksówkarz mówi: – Nie, proszę pani, za ten kurs nic nie policzę”[⁴³].



ROZDZIAŁ 2

Przypadek Andrzeja Brychta





„Kiedy przyszły sukcesy, Andrzej Brycht cieszył się nimi i w licznych wywiadach dawał wyraz zadowoleniu z forsy, sławy, z aut i ze zdystansowania kolegów, wobec których odczuwał kompleks mniejszej wartości mierzonej w pieniądzu i prestiżu. Ale dalej miał poczucie, że jest niedoceniony, gdyż mimo jego zawrotnej kariery, aplauzu krytyki, powodzenia u publiczności, wysokich protekcji – nikt nie umiał sprostać jego własnym wyobrażeniom o sobie – najlepszego polskiego pisarza”.

Jerzy Urban

KRYMINALNA MŁODOŚĆ

W środowisku literatów debiutujących w połowie lat 50. panowały obyczaje daleko odbiegające od współczesnego obrazu poety czy prozaika. Normą były braki edukacyjne, wysoko też ceniono umiejętności bokserskie wykorzystywane podczas awantur wszczynanych w lokalach z wyszynkiem. Prekursorem podobnych zachowań był Marek Hłasko, a dzielnie sekundowali mu literaci związani z dwutygodnikiem „Współczesność”. Za największego zabijakę w tym gronie uchodził Andrzej Brycht, pisarz uważany za najzdolniejszego prozaika swojego pokolenia.

Literatom tamtych lat wiele wybaczano, ale Brycht potrafił szokować nawet swoich kolegów po piórze. Upodobania do brutalnych zachowań przejawiał zresztą już od najmłodszych lat, o czym przekonała się jego najbliższa rodzina.

„W jednopokojowym mieszkaniu mieszkał razem z babcią i z matką – opowiadał jego przyjaciel, poeta Roman Śliwonik. – Babcia mu dokuczała i on po prostu postanowił pozbyć się babci trutką na szczury. Babcia jednak rozpoznała truciznę i wypluła, i w ten sposób ocalała. No, może i Andrzej ocalał, bo to nie wiadomo, jak by było dalej. Matka bardzo go kochała, nie uwierzyła, że synek truł babcię, chociaż Andrzej powiedział, że naprawdę chciał ją otruć. Zresztą on wiele rzeczy mógłby zrobić dla pieniędzy. Taki był. Taki był zdolny i gotowy na wszystko”^[44].

Ojciec Andrzeja nie powrócił z wojny, a rodzina po Powstaniu Warszawskim osiedliła się w Łodzi. Młody Brycht nie przejawiał specjalnych chęci do nauki, a w szkole zajmował się głównie bójkami z rówieśnikami. Był wysoki, dobrze zbudowany i sprawny fizycznie, szybko też nauczył otoczenie respektu dla siebie. Powtarzał dwie klasy szkoły podstawowej, co jednak nie przeszkadzało mu czytać książek w niemal hurtowych ilościach.

Jako nastolatek trafił do Oficerskiej Szkoły Artylerii w Koszalinie, zdobył tam małą maturę, ale ostatecznie usunięto go za pobicie pewnego kaprała. Powrócił do Łodzi, gdzie pracował jako kopacz w elektrociepłowni, niebawem też ożenił się i w wieku 20 lat został ojcem.

Miesiąc po ślubie po raz pierwszy trafił do więzienia, dostał wyrok za próbę rozboju. Karę zamieniono mu na służbę w Wojskowym Korpusie Górniczym i skierowano go do kopalni w Nowym Bytomiu. Tam zauważono, że kiedyś uprawiał boks, w związku z czym powołany został do reprezentacji korpusu. Miał autentyczny talent i niebawem zdobył wicemistrzostwo Śląska w wadze półciężkiej. Finał przegrał przez dyskwalifikację, bo podobno podczas walki pogryzł swojego przeciwnika...

Po zakończeniu sezonu powrócił do pracy pod ziemią, z czym nie mógł się pogodzić. Zdezercerował (Korpus Górniczy był jednostką paramilitarną), a gdy

został zatrzymany, to w areszcie usiłował popełnić samobójstwo.

Skierowano go na obserwację do szpitala psychiatrycznego, po czym uznano za niezdolnego do dalszej służby. Powrócił do Łodzi, do żony i dziecka, gdzie przez pewien czas żył w „kurewskiej nędzy”. Miał się z niej wydobyć dopiero dzięki literaturze.

POKOLENIE „WSPÓŁCZESNOŚCI”

Śmierć Stalina zapoczątkowała epokę przemian obejmujących również polską kulturę. Powoli odchodził socrealizm, pojawiła się nowa generacja twórców wolnych od obciążeń poprzedniej epoki. W 1956 roku powstał dwutygodnik „Współczesność” skupiający młodych literatów nastawionych opozycyjnie wobec pisarzy zaangażowanych politycznie.

„Najfajniejszy z pewnością był niepowtarzalny klimat zbiorowej przygody i niezwykle silnie wtedy przeżywanej fascynacji literaturą – wspominał krytyk literacki Zbigniew Irzyk. – Łączyła nas wspólna pasja i poczucie bezpieczeństwa, jakie daje przynależność do środowiska ludzi z sobą zaprzyjaźnionych, dokonana z własnego wyboru. Cieszyliśmy się swoją młodością. [...] Literatura była dla nas, dorastających w sztywnych okowach obyczajowych i politycznych, swoistym duchowym i psychologicznym azylem. Razem czuliśmy się wolni i szczęśliwi. Redakcja, knajpa, kawiarnia w większości zastępowała nam dom rodzinny. Nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że byliśmy ostatnią cyganerią XX wieku”^[45]].

Brycht zaczął pisać jeszcze w szkole, zadebiutował wierszem *Biblioteka* na łamach „Dziennika Łódzkiego”, następnie jego utwory zaczęły regularnie pojawiać się w czasopiśmie „Dziś i Jutro”. Pierwsze opowiadania zamieszczał w nowo powstałych „Kierunkach” i to właśnie redakcja tego pisma uratowała go po powrocie do Łodzi. Przyznano mu stypendium twórcze, a następnie mianowano kierownikiem działu poezji. Niebawem utwory Brychta zaczęła publikować „Współczesność”, szybko też zaadaptował się do warunków panujących w tamtejszym zespole redakcyjnym.

„Środowisko »Współczesności« właściwie licytowało się, kto więcej wypije, kto kogo pobije – wyjaśniał krytyk literacki Krzysztof Masłoń. – Taka była trochę lumpenliteratura [...] Aż ciekawe, że z takiego środowiska zupełnie niezłe rzeczy powstawały”^[46]].

Uznanie wzbudzały umiejętności bokserskie Brychta, albowiem były to czasy, gdy od młodego pisarza oczekiwano, że będzie umiał dobrze posługiwać się pięściami. Andrzej nie unikał awantur, często wywoływał je wspólnie z Romanem Śliwonikiem, stanowili zresztą bardzo dziwny duet.

„Nasza para – wspominał Śliwonik – chudy w okularach i gruby z pryszczami

w drucianych okularach, była zbyt ponętą parą, żeby jej nie pobić, szczególnie w Bristolach, Kameralnych, Harendach i tak dalej. Oczywiście dostawali od nas, bo byliśmy lepsi. Brycht po prostu nokautował [przeciwników] regularnie. Poza tym w bójce Brycht był łobuzem. On mówił, że wychował się na Bałutach i jak ktoś leżał, to on musiał kopać, i dochodziło między nami do scysji, bo ja byłem inaczej wychowywany. Jeśli przeciwnik leży, to już należy go zostawić. Brycht mówił: »Nie, bo wstanie i odda«. Więc taki był Brycht naprawdę i nie ma co udawać, że był inny”[⁴⁷].

Śliwonik nie był jedynym literatem z kręgu „Współczesności”, z którym Brycht się zaprzyjaźnił. Szczególnie silne więzy połączyły go z Markiem Nowakowskim, obaj pisarze od razu poczuli do siebie sympatię.

„Czułem powinowactwo – wspominał Nowakowski. – Przedmieście, mroczne zaułki wielkemiejskie i ludzie dotąd niewystępujący w polskiej literaturze. Sam Brycht przypominał moich kumpli z Włoch, Ursusa, Okęcia, Pragi, Zacisza, Ząbek. Dużo mieliśmy podobnych doświadczeń.

Wybraliśmy się na osobną wódkę. Tylko we dwóch. Zrazu testowaliśmy się nawzajem; dołki komisariatów i więzienne cele nie były nam obce, znaleźliśmy przestępczą kminę, połyki, chlastanie się, mojkę, dzierganie wzorków, czyli tatuaży itp. Byliśmy dobrze osadzeni w świecie niedostępnym frajerom. Coś na kształt głębokiego porozumienia zawiązywało się między nami. Czuliśmy się niby bratnie dusze. Swojacy, posługujemy się własnym szyfrem, tajnym językiem”[⁴⁸].

Trzeba uczciwie przyznać, że z perspektywy czasu obyczaje twórców związanych z redakcją „Współczesności” mogą wydawać się szokujące. Nie były to czasy dyskusji w siedzibie redakcji – większość prac redakcyjnych wykonywano w trakcie licznych imprez plenerowych.

„Na początku redakcja mieściła się przy Krakowskim Przedmieściu w budynku dzisiejszego Wydziału Dziennikarstwa UW – wspominał dziennikarz Aleksander Wieczorkowski. – Numer redagowaliśmy z rzadka w lokalu, najczęściej za pomnikiem Kopernika, na murku obstawionym butelkami piwa. Gdy wszystko było uzgodnione, szliśmy na obiad do takiego lokalu, na jaki mieliśmy pieniądze, choć latem najchętniej spędzaliśmy popołudnia w ogródku SDP [Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich – S.K.] przy fontannie z kaczką”[⁴⁹].

Następnie odbywały się zajęcia w podgrupach, a młodym literatom cały czas towarzyszył alkohol. Jeden z takich wieczorów opisał ironicznie Leopold Tyrmand w *Życiu towarzyskim i uczuciowym*:

„W rozległym lochu wiszą poszczerbione latarnie o resztkach kolorowych szybek, stoją chybotliwe krzesła przy pokancerowanych stołach i połamane

pianino. Przy jednym ze stołów siedzi czterech młodych ludzi: są pijani, hałaśliwi, zaczepni. Ich brody – hiszpanki, łopatki, bądź na Chrystusa – służą manifestacjom, a także ukryciu pryszczów i ziemistej cery. Ubrani są w cienkie, szmaciane garnitury z warszawskich ciuchów, bądź w ceglaste pulowery i smokingowe muszki. Na stole stoi niedopita półlitrowka wódki: pod stołem walają się butelki po tanim winie owocowym marki Apollo, przyniesionym ze sobą nielegalnie i konsumowanym za cenę klepania po tyłku apatycznej kelnerki”[50].

Podobno gdy członkowie redakcji „Współczesności” zasiadali w lokalu, „w powietrzu czuć było groźbę fizycznego gwałtu”. I nie była to tylko konfabulacja Tyrmanda, bo literaci z tego kręgu naprawdę potrafili być niebezpieczni. Janusz Minkiewicz wszedł kiedyś do Harendy wkrótce po tym, jak wizytę złożyła tam ekipa Brychta. Lokal przypominał pobojuwisko: poprzewracane stoły, zerwane zasłony, poturbowani i pokrwawieni goście. A szatniarz spokojnie tłumaczył, że to „młodzi lirycy ze »Współczesności« wpadli jacyś nie w sosie”. Jednak w Harendzie nie zawsze musiało być tak brutalnie.

„To był jeden z naszych najważniejszych salonów młodej inteligencji, ówczesne centrum – twierdził Roman Śliwonik. – Kilkanaście prawdziwych talentów miało tu swój start. Stworzyliśmy jakiś świat i może dzięki pragnieniom, mniej tłumionym, osaczenie przez niewolę, biedę, wódkę, strach i pokorę wydawało się nie tak bardzo bolesne”[51].

NASTĘPCA MARKA HŁASKI

Brycht okazał się wyjątkowo utalentowanym autorem – wysoko ceniono jego wiersze, natomiast opowiadania uznawano nawet za wybitne. Szybko też zdobył opinię następcy Marka Hłaski, a niektórzy uważali wręcz, że już przerósł mistrza.

Jego teksty: *Balbina*, *Blit*, drukowane w tym czasie, powodowały burzliwe reakcje, kłuły boleśnie wyobraźnię wrażliwych czytelników – wspominał Nowakowski. – Zapadały w pamięć. Czytałem zachłannie i bez zazdrości. Rozpaczliwie smutne dzieje chwackich chłopaków z Bałut, szarpanina kończąca się z reguły tragicznie, miały własny, oryginalny ton. Coś odkrywały w brutalnie dosadny sposób. Czegoś poszukiwały, tropiły zaciekle. Były mi bliższe niż osławione opowiadania Marka Hłaski. Mniej teatralne. Bardziej wytopione z prawdziwej materii życia”[52].

Brycht pisał o tym, co znał z autopsji. Były to „opowiadania zgrzebne, całe zbudowane z potocznej mowy ulicy, zaludnione przez ferajnę”. Do tego minimalny komentarz autorski, podkreślający „gołą prawdę bez woalu”.

Andrzej dysponował naturalnym talentem budowania nastroju, a do tego „miał nieomyślne wyczucie słowa, kilka mu starczało, żeby zbudować obraz”.

Drukowano go dużo i chętnie, tym bardziej że był bardzo wszechstronny. To zresztą cecha charakterystyczna wielu twórców tamtej epoki.

„Wszyscy wtedy musieliśmy umieć wszystko – przyznawał Śliwonik – musieliśmy umieć napisać felieton, reportaż, prozę, wiersze. Jego jakaś pioruńska zdolność pisania była imponująca. On szedł do biblioteki na kilka godzin i przychodził z reportażem. W pociągu napisał wielki poemat poetycki, który w zasadzie już można było drukować”^[53].

Andrzej Brycht nie ukrywał, że pisanie było dla niego sposobem na wyrwanie się z nędzy. Dzięki talentowi literackiemu miał zdobyć niezależność finansową i popularność wśród czytelników, a szczególnie wśród czytelniczek. Zawsze miał bowiem słabość do płci pięknej, a w tamtej epoce uznanych pisarzy traktowano jak dzisiejszych idoli kultury popularnej.

Jego książkowy debiut (zbiór reportaży *Czerwony węgiel*) przeszedł jednak niemal niezauważony przez czytelników, chociaż krytycy odnotowali go z uznaniem. Wprawdzie zarzucali autorowi pewne braki warsztatowe, ale nie wpływało to na pozytywną recepcję tej książki.

„Brycht pisze niezwykle dynamicznie i obrazowo – twierdził Stefan Jończyk na łamach »Kierunków«. – Jest lakoniczny, lubi przy tym wyrażenia męsko brzmiące, »soczyste«. W trosce jednak o odkonwencjonalizowanie języka, o nadanie mu większej siły ekspresji, stosuje nieraz (często bez uzasadnienia) inwersje, kapryśnie rozmieszcza wyrazy w zdaniu, archaizuje składnię i w takich wypadkach popada w niezamierzone chropowatości”^[54].

Czas pana Andrzeja miał jednak dopiero nadejść i stało się to dość szybko, bo już w 1961 roku ukazał się zbiór opowiadań *Suche trawy*, który spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem czytelników.

„Brycht miał własny, łatwo rozpoznawalny styl – tłumaczył dziennikarz Henryk Dasko. – Pisał frazą krótką i klarowną, a jego pozbawione zbędnych słów zdania odznaczały się znacznym ciężarem gatunkowym. Natura obdarzyła go niezwykłym słuchem językowym, więc mimo nieskomplikowanej, niekiedy banalnej fabuły jego bohaterowie zdawali się autentyczni i nie wy my sieni”^[55].

Pisał brutalne opowiadania, które zawierały jednak dużo liryzmu. Pokazywał świat „ciężko pracujących ludzi, żyjących nędznie, plugawie, zapijających się, złodziei, prostytutki”. Znał te środowiska z autopsji, a „łącząc literaturę faktu z literaturą imaginacyjną”, potrafił umiejętnie przelać to na papier. I robił to w sposób bardzo sugestywny, bez nadużywania literackich ozdobników.

„Z jego krótkich tekstów nie można było już ani jednego słowa wyrzucić –

wspominał jego redakcyjny kolega Wojciech Giełżyński. – On był szalenie oszczędny, co jest cechą dobrego reportera – jak największa oszczędność słowa. Wyrzucanie przymiotników, wyrzucanie wszystkich zbędnych słów. Jak największa kondensacja. U Brychta to jest doprowadzone do mistrzostwa”[⁵⁶].

Bardzo dobre recenzje zebrał również wydany w tym samym roku tomik poetycki *Czas bez Marii*. Brychta przyjęto do Związku Literatów Polskich (legitymację wręczył mu osobiście Jarosław Iwaszkiewicz), a ukoronowaniem jego pozycji była prestiżowa nagroda szwajcarskiej Fundacji Kościelskich. Razem z nim uhonorowano wtedy Sławomira Mrożka.

FINANSE I CZYTELNICY

„Moja spontaniczna, serdeczna bliskość z nim nieco się rozluźniła – wspominał Marek Nowakowski. – Nadal to, co pisał, poruszało celnością, dosadną polszczyzną, ścisłością szczegółów świadczącą o znajomości rzeczy. Ale jego marzenia o pisarskiej sławie raziły ubóstwem. Cenił nade wszystko w swojej wizji szansę [na zdobycie] dużych pieniędzy, płał w rojeniach o luksusowych hotelach, wystawnych kolacjach z pięknymi damami, wyścigowych samochodach i podróżach. Portret sławnego pisarza według jego wyobrażeń to było nieustające rajskie życie. Zalaływało to kiczem, tandetą”[⁵⁷].

Brycht niczego jednak nie ukrywał i nie kamuflował swoich ambicji finansowych. Zamierzał na literaturze zbić majątek, a dążąc do tego celu, gotów był na daleko idące kompromisy.

Nie brakowało mu zapału i samodyscypliny. Oficjalnie był zameldowany w Łodzi, ale przez dłuższy czas nielegalnie koczował w akademiku na warszawskich Jelonkach. Rozdarcie pomiędzy Łodzią i Warszawą zakończyło się rozpadem małżeństwa, tym bardziej że Brycht nie był specjalnie wiernym małżonkiem. Otoczenie uważało, że „lubił panienki”.

„Był pracowity, utalentowany i biedny jak my wszyscy – mówił Roman Śliwonik. – Pisarstwo, wydaje mi się, dla Brychta było możliwością zrobienia kariery. Mógł napisać o wszystkim i bardzo szybko i ta jego gotowość pisania chyba była jego również niebezpieczeństwem”[⁵⁸].

Nie odrzucał żadnego zlecenia, które mogło mu przynieść pieniądze. Nie było dla niego barier politycznych czy obyczajowych, liczyły się tylko finanse. Miał zamiar zdobyć majątek, a reszta była bez znaczenia.

„Zostałem zaproszony do udziału w konkursie na powieść sensacyjną o tematyce milicyjnej – wspominał Marek Nowakowski. – Wśród zaproszonych był Brycht. Znaleźliśmy się w siedzibie Komendy Głównej MO na Puławskiej. Stół ustawiony w podkowie. Częstowano kawą, czekoladkami, ciasteczkami, gościnne

papierosy Grunwald, nawet luksusowe Wawele. [...] Akces do udziału w konkursie łączył się z podjęciem wadium, niemałej kwoty w wysokości kilkumiesięcznej niezłej pensji. Brycht zacierał dłonie; miał potrzeby finansowe związane z kosztowną naprawą pierwszego samochodu, niedawno nabytej czarnej, wysłużonej cytryny – do 1956 roku pojazdu ubeków.

Po uroczystości zainteresowani konkursem ruszyli do kasy w hallu.

– Chodź! – powiedział Brycht. – Nie pękaj! W razie czego złożysz jako podkładkę coś, co napiszesz, nawet nie na temat. Choćby dłuższe opowiadanie, gdzie występują gliny. Wystarczy! [...]

Bez wahania podszedł do kasowego okienka. Okazał dowód, złożył podpis na liście i otrzymał grubą kopertę z wadium”[⁵⁹].

Zarabiał, gdzie tylko się dało, co ułatwiała mu nieprawdopodobna wręcz łatwość pisania. Twierdził, że przez godzinę potrafi napisać felieton, za który otrzymuje równowartość dwóch dniówek pracy robotnika. Do tego dochodziły jeszcze wieczory autorskie, za które inkasował najwyższe stawki.

„Dostał piękne mieszkanie na Żoliborzu – mówiła Joanna Siedlecka. – Kupił sobie dom letniskowy. Był nieprawdopodobnie popularny. Pisano o nim, nagłaśniano go, więc cała Polska chciała go zobaczyć i on miał wielkie dochody z wieczorów autorskich, a żądał dużej ceny i cynicznie opowiadał, że on właśnie tyle bierze, ile robotnik dostaje za miesiąc”[⁶⁰].

Zawsze miał słabość do samochodów – jego pierwszym pojazdem był używany citroën BL-11, następnie przywiózł z RFN bmw 2600. Kupił go okazjnie za 1500 marek (samochód miał rozbity błotnik), ale i tak limuzyna robiła w Warszawie piorunujące wrażenie.

Powoli też tracił dystans do siebie, twierdząc, że już stał się „większy niż Hłasko”. Jednak pomimo wszelkich wad charakteru wciąż dawał się lubić.

„Duże, głupie, beztroskie dziecko – wspominał poeta Zbigniew Jerzyna. – Zabierałem go czasem do mojej rodziny na Kujawy, gdzie po wódce bawił wszystkich, prowadząc swoją »cytrynę« jak cyrkowiec, na dwóch kołach, wjeżdżając do stawu. Śpiewał piosenki więzienne, knajackie, z Bałut. Oczarował wszystkich”[⁶¹].

Popularność miała jednak również swoje złe strony. Podczas wieczorów autorskich Brycht źle znosił krytykę, a często bywał nawet agresywny. W 1958 roku na wspólnym spotkaniu ze Śliwonikiem i Stanisławem Grochowiakiem dostrzegł, że jego ówczesna sympatia przyszła z nieznanym mu mężczyzną. Nagle zerwał się z miejsca, przeskoczył stoliki i pobił nieszczęsnego adoratora dziewczyny. W efekcie został aresztowany i skazany na pół roku więzienia. Po interwencjach środowiska literackiego wyszedł na wolność już po siedmiu tygodniach.

Przygoda ta niczego go jednak nie nauczyła, toteż pięć lat później wdał się w kłótnię z pewnym łódzkim studentem, który zarzucał mu brak oryginalności pisarskiej. Brycht zakończył dyskusję ciosem pięścią, który złamał rozmówcy szczękę w dwóch miejscach. Tym razem dostał dwa lata więzienia, ale nie zamierzał marnować czasu w zakładzie karnym – postanowił, że odsiadka nie przerwie jego kariery.

„W więzieniu pisał dużo i szybko, stojąc oparty o pryczę i notując ołówkiem pomysły, sceny i całe opowiadania w kratkowanych brulionach szkolnych – opowiadał Henryk Dasko. – Decyzje podjęte w więzieniu potraktował poważnie: wkrótce po wyjściu na wolność złożył w redakcji warszawskiego miesięcznika »Twórczość«, czołowego pisma literackiego w Polsce, dwie długie nowele powstałe w łódzkiej celi: *Żywi* i *Wycieczka Auschwitz-Birkenau*”^[62].

Tym razem uniewinniono go w drugiej instancji, więc ostatecznie przesiedział tylko cztery miesiące. Przy rewizji wzięto pod uwagę to, że kiedyś uznano go za częściowo niepoczytalnego, niewykluczone jednak, że już wówczas znalazł się w orbicie zainteresowań SB. Taki człowiek jak Brycht z pewnością był dobrym materiałem na konfidenta w środowisku literackim.

NA SZCZYCIE

Lato 1965 roku pan Andrzej spędził w Domu Pracy Twórczej w Oborach. Ciężko tam pracował, zajmując się przeróbką jednego ze swoich wcześniejszych opowiadań. Znacznie je rozbudował, dodał też chwytliwy tytuł, a efekty jego pracy przeszły najśmielsze oczekiwania. *Dancing w kwaterze Hitlera* miał się okazać ogromnym sukcesem wydawniczym – książka natychmiast stała się bestsellerem (siedem wydań w ciągu czterech lat). Niezwłocznie też zakupiono prawa do jej sfilmowania, co bardzo przypominało sukcesy Marka Hłaski.

Zadowolone były również władze, albowiem *Dancing* zawierał wyraźne akcenty antyniemieckie, co doskonale wpisywało się w ówczesną politykę ekipy Gomułki. W tamtych latach oficjalna propaganda straszyła społeczeństwo niemieckimi odwetowcami spod znaku ziomkostw Herberta Czai i Herberta Hupki, zatem proza Brychta była w kręgach partyjnych mile widziana. A dodatkowo pan Andrzej wypowiadał się krytycznie na temat bananowej młodzieży, co również podobało się towarzyszom z Komitetu Centralnego.

„Nie protestuję przeciwko samochodom, dobrze sytuowanym rodzicom i muzyce big-beatowej – mówił Brycht w jednym z wywiadów. – Mam już piąty samochód w życiu, jestem dobrze sytuowanym rodzicem, ojcem dwunastoletniego chłopca i lubię słuchać big-beatu”^[63].

W dalszej części wypowiedzi odkrywał jednak karty, a jego poglądy były dziwnie zbieżne z oficjalnym stanowiskiem władz partyjnych.

„Natomiast istotnie protestuję przeciwko temu odłamowi młodzieży, która z tych wszystkich elementów, składników życia codziennego robi fetysze. Stawia je na piedestale, wyżej od spraw, które dla ludzi są najistotniejsze. Uważam, że jest to zdecydowane małpiarstwo, w połowie wypadków przeradzające się czasem w anarchię wewnętrzną, w chuligaństwo, a w drugiej połowie w starczy snobizm”^[64].

Dla partyjnych decydentów Brycht okazał się prawdziwym skarbem. Był popularnym pisarzem o proletariackich korzeniach i skomplikowanym życiorysie, a na dodatek człowiekiem posiadającym ogromny i autentyczny talent literacki. Nic więc dziwnego, że natychmiast wzięto go pod ochronę, nagradzając przy okazji ponad wszelką miarę. A pan Andrzej bardzo szybko rozsmakował się we wszelkich profitach i bynajmniej nie zaniedbywał swoich interesów.

„[...] Brycht umacniał swoją pozycję z cwaniacką przebiegłością – wspominał Nowakowski. – Wiedział, że kurki z forszą są w jednym ręku i łatwo mogą zostać zakręcone. [...] Widywano go z redaktorami ważnych czasopism, wziętymi publicystami, autorami komentarzy z pierwszych stron gazet, korespondentami zagranicznymi. Darzyli go sympatią, obsypywali komplementami za dokonania twórcze. Cenił ludzi wpływowych i bogatych. [...] Zdecydowanie mój druh z początku pisarskiej drogi dokonał pragmatycznego wyboru i dobrze mu z tym było”^[65].

Najdziwniejsze w tym wszystkim pozostawało to, że entuzjazm dla osiągnięć Brychta podzielały także środowiska emigracyjne. Wolna Europa wyróżniła *Dancing w kwaterze Hitlera*, a paryska „Kultura” uznała go za „dokument wstrząsający i pełny prawdy, jak każde dzieło wybitnego talentu”. Brychta porównywano z Sołżenicynem czy Albertem Camusem, a konfrontacje te wypadały na korzyść młodego polskiego pisarza...

Był więc u szczytu i coraz bardziej podobała mu się współpraca z władzą. Nie widział w niej zresztą nic złego, uważając, że tak robią wszyscy, a on ma tylko większe możliwości niż inni. Zaczęła go interesować proza propagandowo-polityczna, w której dostrzegł ogromną szansę dla siebie.

„Niektórzy przecież czerpali z tego systemu całymi garściami, i co tam dużo gadać – Andrzej też – tłumaczył przyjaciela Roman Śliwonik. – [...] Był pieszczochem [...], pieniądze brał od systemu, a na dobrą sprawę to moglibyśmy zapytać: »A co, mieliśmy pomrzeć z głodu?«”^[66].

Brychtowi śmierć głodowa na pewno nie groziła. Dostawał potężne tantiemy z tytułu sprzedaży książek, a do tego inkasował ogromne zaliczki. Państwowy Instytut Wydawniczy wypłacił mu 6500 złotych zadatku za planowany tom prozy, a kolejne 5 tysięcy dostał od wydawnictwa MON za projektowaną książkę o

tematyce wojskowej. Dostawał również stypendia twórcze: od Ministerstwa Kultury i Sztuki 15 tysięcy, a od Związku Literatów – 5 tysięcy złotych. Jego honoraria filmowe opiewały na kwotę ponad 30 tysięcy złotych. Łącznie dochody Brychta w 1965 roku przekroczyły sumę 150 tysięcy, podczas gdy średnia miesięczna płaca wynosiła wówczas 1867 złotych...

RAPORT Z MONACHIUM

Przychylność władz miała jednak swoją cenę i już niebawem pisarz dostał okazję odwdzięczenia się swoim politycznym protektorom. Gdy w grudniu 1966 roku otrzymał od swojego niemieckiego tłumacza zaproszenie do Monachium, pobyt w Bawarii wykorzystał w ściśle określonym celu. Niedługo po powrocie Brychta do kraju na łamach warszawskiej „Kultury” zaczęły się ukazywać jego reportaże pod wspólnym tytułem *Raport z Monachium*, a kilka miesięcy później pojawiła się ich edycja książkowa.

„*Raport z Monachium* był na pewno książką, która jest napisana świetnie, ale jednocześnie wywołującą jakiś opór – mówił Ernest Bryll. – Cała ta rzeczywistość oparta jest na tym, że trzeba nienawidzić, bo tekst jest mocno antyniemiecki i faszyzm miesza się z niemieckością. Grała na dość prymitywnych, [wprawdzie] zrozumiałych, ale prymitywnych uczuciach ludzi i co ciekawe, ludzie stawali dęba wobec tego. Chociaż *Raport* robił wielkie wrażenie”^[67].

Książka miała trzy wydania w ciągu dwóch lat i osiągnęła nakład ponad 400 tysięcy egzemplarzy, trafiając jednocześnie do kanonu lektur szkolnych. To jednak nie wszystko, bo aktor Ryszard Filipowski, późniejszy odtwórca postaci majora Hubala, zaadaptował ją na potrzeby swojego teatru Eref-66 i objeżdżał kraj z przedstawieniami. Ukoronowaniem całej tej historii propagandowej była emisja inscenizacji Filipowskiego w ramach Teatru Telewizji.

„W mojej książce przytaczałem nie tylko rozmowy z przywódcami emigracji politycznej czy wysokimi rzecznikami niemieckich przesiedleńców – mówił Brycht w wywiadzie dla »Tygodnika Kulturalnego«. – Przede wszystkim interesowały mnie kontakty ze zwyczajnymi ludźmi, choćby spotkanymi w knajpie. W sytuacji, kiedy można [...] usłyszeć od jakiegoś Niemca: »Słuchaj gdybyśmy jeszcze raz powtórzyli 1939 rok, to zostalibyście wykończeni w ciągu 24 godzin«”^[68].

Książka Brychta bazowała na najniższych instynktach. Autor ukazał w niej RFN jako kraj ludzi pałających żądzą zemsty za przegraną wojnę i odebranie im Śląska oraz Pomorza. Dla pisarza wszyscy Niemcy byli neohitlerowcami, a za niebezpiecznych uważał nawet studentów tamtejszych uczelni, albowiem... zanadto przykładali się do nauki. Doszło nawet do tego, że przed publikacją reportaży w warszawskiej „Kulturze” redakcja usuwała najbardziej agresywne

fragmenty, uważając, że autor za bardzo mijał się z prawdą.

„[...] W *Raporcie* nie zawahałem się zastosować pewnych ryzykownych zabiegów – tłumaczył Brycht. – Po prostu postanowiłem zdać uczciwy raport z tego, co zobaczyłem w Monachium. Chciałem być wszędzie – zwiedziłem więc dzielnicę nędzy i dzielnicę podejrzanych rozrywek”^[69].

Przy okazji dostało się również osiadłym w RFN polskim emigrantom. Brycht spotykał się z nimi podczas pobytu w Bawarii i odmalował ich później w wyjątkowo ciemnych barwach jako zdrajców interesów narodu polskiego.

Środowisko literackie było zniesmaczone, niemniej jednak Brycht został za swój serwilizm sowicie wynagrodzony. Pieniądze popłynęły do niego jeszcze bardziej wartkim strumieniem, a ponadto dostał talon na alfa romeo i nabył ten pojazd w ramach rządowego importu za 20 procent ceny.

Nie było też dnia bez jego obecności w mediach, bo człowiek, który jeszcze niedawno siedział w więzieniu, awansował teraz do roli autorytetu moralnego. Stał się ważnym ekspertem od spraw międzynarodowych, wybitnym przedstawicielem polskiej myśli patriotycznej.

„Płynął na falach sukcesu – wspominał Nowakowski. – Podchodzi do kasowych okienek w redakcjach i wydawnictwach. Wypłacają mu pliki nowiutkich banknotów, obciśniętych banderolami. Pakuje do teczki, jeden plik w kieszeń, bieżące wydatki, wyjaśnia. Idzie sobie ulicą i wszystko takie łatwe, dostępne, każda zachcianka, cały świat u stóp. Śmieszyl tym apetytem na forse”^[70].

Ale jednak nawet pan Marek przyznawał, że przyjaciel trochę mu imponował. Pazerność Brychta budziła wprawdzie politowanie, ale pisarz żył przecież na poziomie dostępnym tylko dla nielicznych. I wcale tego nie ukrywał, bo uważał się za człowieka sukcesu, który otrzymywał wyłącznie to, co mu się należało.

„Trochę mu zazdrościłem rozgłosu, dziesiątków tysięcy egzemplarzy książki, propozycji z teatrów, filmu.

Całej tej otoczki, o której marzy każdy pisarz! Co prawda, to prawda. Ale dusiłem w sobie te zdradzieckie pragnienia. Apage satanas!

Zakłamał przecież swoje pisanie. Walory, które były siłą jego pierwszych opowiadań, zostały zatracone, pozostała jedynie goła sprawność, sprawdzone chwytły, udawana pasja”^[71].

WIETNAM

Tymczasem partia oczekiwała kolejnych zaangażowanych politycznie utworów. Brycht sprawdził się w RFN, powinien zatem sprawdzić się również na

innych frontach. Gomułka osobiście postanowił wydelegować go do Wietnamu, aby tam obnażył mechanizmy „brudnej” wojny prowadzonej przez amerykańskich imperialistów.

„Poleciał z nami Andrzej Brycht, dobrze zapowiadający się młody pisarz – wspominał Czesław Kiszczak. – Nie do końca jest to dla mnie jasna sprawa – Gomułka kilkakrotnie chciał wysłać Brychta do Wietnamu, żeby o tym coś napisał. Jednak północni Wietnamczycy [komuniści – S.K.] nie dawali mu wizy. Kiedy więc Gomułka usłyszał o wyjeździe naszej grupy, podsunął myśl, aby dołączyć do niej Brychta. Umundurowano go więc i bodaj w stopniu chorążego pojechał oficjalnie jako adiutant [wiceministra] Tuczapskiego”^[72]].

Brycht miał napisać kolejny *Raport*, co zresztą głośno zapowiadała prasa. W Indochinach przebywał łącznie trzy miesiące, interesując się głównie „wódka ryżową i młodymi Wietnamkami”. Do nadstawiania karku specjalnie się nie wrywał, a wojskowi musieli go „siłą pakować do jeepa”. Niemniej jednak raz znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

„Pojechaliśmy nad Ocean Spokojny – kontynuował Kiszczak. – Cała wioska była zryta okopami na wypadek amerykańskiego ataku od strony morza. To chroniło przed odłamkami, ale nie przed bombami, tym bardziej że było to obliczone na wymiary Wietnamczyków”^[73]].

Grupę Polaków zainteresowały wykopane przy drodze niewielkie studzienki, które miały służyć jako schronienie podczas amerykańskich nalotów. Podobnie jak w przypadku okopów, nie były one jednak dostosowane do budowy przeciętnego Europejczyka, nie mówiąc już o potężnym Brychcie. Toteż kiedy znad morza niespodziewanie nadleciały samoloty, pisarz pozostał na otwartej przestrzeni.

„Kiedy już było po wszystkim i wygramoliliśmy się z tych studzienek – relacjonował Kiszczak – zobaczyliśmy tylko, że w wydnie piaskowej Brycht kopie zapamiętałe rękami, a w górę niczym działo armatnie wysuwa tłusty zad. Dopiero od nas dowiedział się, że już po wszystkim i że przeżył. Wtedy to wysunął ten umorusany w piasku łeb, bluznął taką wiąchą przekleństw pod adresem Amerykanów i wszystkich prezydentów Stanów Zjednoczonych, że w życiu nie słyszałem jeszcze podobnej”^[74]].

Po powrocie Brychta do kraju na łamach „Kultury” zaczęły ukazywać się jego reportaże pod wspólnym tytułem *Mój Wietnam*, ale niebawem ich publikację przerwano. Powód był zaskakujący – niski poziom literacki tekstów. Przyjaciele pisarza podejrzewali wręcz, że po prostu nie miał on ochoty na opisywanie bohaterских wyczynów azjatyckich komunistów.

„Powrócił z podróży wytracony z równowagi. Koszmar wojny w Wietnamie podział na niego wstrząsowo i jego pióro nie dawało rady wyznaczonym

zadaniom. Coś go zablokowało. Nawet z nieostrożną otwartością mówił, że to komuniści wszczęli tę wojnę w dążeniu do zawładnięcia Azją. Wyraźnie był wystraszony”^[75]].

Pomimo fiaska wyprawy wietnamskiej rok później pojechał do NRD, by zbierać tam materiały do książki o „dobrych Niemcach”. Nie przyniosło to jednak żadnego rezultatu, podobnie zresztą jak dłuższe wizyty w ZSRR i Bułgarii. Z pisarstwem Andrzeja Brychta najwyraźniej działa się coś złego.

TW „GERARD” W AKCJI

Jeszcze przed wyjazdem do Monachium, na przełomie listopada i grudnia 1966 roku, do Brychta zgłosili się funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa. Pisarz okazał pełną gotowość do współpracy, a gorliwością zaskoczył nawet swoich rozmówców.

„Ciekawą rzeczą jest – notował podporucznik Dudziński – że wymieniony usilnie starał się dowiedzieć, jakie plany wiążemy z jego osobą na przyszłość, zastrzegając, że zawsze jest gotów do usług i że możemy być pewni, że ewentualne polecenia skrupulatnie wykona”^[76]].

Nie ograniczył się zresztą do samych deklaracji, bo tuż przed wyjazdem zadzwonił do Dudzińskiego i zapytał, czy ten nie ma dla niego dodatkowych poleceń.

Brycht szybko przestał być kontaktem operacyjnym SB i w roku 1968 roku został jej tajnym współpracownikiem. Przyjął pseudonim „Gerard” i nadal zadziwiał prowadzących go oficerów, zamierzał bowiem przy ich pomocy załatwiać osobiste porachunki. Gdy w Wolnej Europie zaczęły pojawiać się krytyczne audycje na jego temat, poprosił o udostępnienie mu taśm z nasłuchu. W ten sposób chciał się zorientować, kto przekazuje rozgłośni informacje o nim, a swoimi podejrzeniami dzielił się z bezpieką. Donosił również na swoich oponentów, a nawet na ludzi, którzy krytykowali go podczas wieczorów autorskich. Gdy na spotkaniu na Uniwersytecie Warszawskim pokłócił się ze studenckimi kontestatorami z grupy „komandosów”, którzy zarzucili mu tendencyjność i przeinaczanie faktów, natychmiast poinformował o tym SB.

„Nasz kontakt, omawiając swój wieczór literacki – relacjonował podporucznik Dudziński – nie krył swojego oburzenia w odniesieniu do występujących na nim przedstawicieli grupy »komandosów«, używał wobec nich pogardliwych określeń, uważając, że za dobrze się im powodzi [...]. Stwierdził, że tego typu podrostków należałoby zatrudnić fizycznie”^[77]].

Oczywiście donosił również na swoich kolegów po piórze (w tym na Marka Nowakowskiego), a nawet sam inicjował spotkania z prowadzącymi go

oficerami. W zamian korzystał z „parasola ochronnego” służb specjalnych, od których dostał nawet numer telefonu jakiegoś pułkownika SB, do którego miał dzwonić w wypadku, gdyby potrzebował pomocy. Niewykluczone zresztą, że służby przygotowywały go do znacznie poważniejszych zadań.

„Zamierzano go użyć jako agenta, którego się podstawi Amerykanom w ramach walki wywiadów – podejrzewał historyk Andrzej Chojnowski. – Miał chodzić do ambasady amerykańskiej i poznawać tamtejszych dyplomatów, żeby potem wywiad mógł nabytą wiedzę wykorzystywać do swoich gier operacyjnych. W doniesieniach Brychta pojawia się, trochę *en passant*, taki wątek – »postępowałem zgodnie z procedurą«, »zgodnie z instrukcjami«. On już nie był amatorem, został przeszkolony do wykonywania określonych zadań, prawdopodobnie uczono go, jak należy rozmawiać, jak zdobywać informacje, rozgrywać pewne sytuacje towarzyskie”^[78]].

Za współpracę pobierał wynagrodzenie, ale trzeba przyznać, że raczej nieduże. Zainkasował łącznie około 8 tysięcy złotych, co przy jego dochodach nie było zbyt wygórowaną kwotą. Dostawał również bonusy: zachodnie koniaki i kartony papierosów. Jednak choć nigdy nie gardził żadnym dodatkowym zarobkiem, trudno sobie wyobrazić, by współpracował ze służbami wyłącznie z powodów finansowych.

„Miał do tego tendencję – uważał Ernest Bryll. – Lubił, jak mu tacy tłumaczyli świat. Wiesz, no, życie jest życiem, tutaj prawda, ale tutaj jest rzeczywistość, w tej rzeczywistości my musimy tu, a oni nas tak, a my ich tak. A to trzeba tu zamazać, żeby to uwypuklić. No, takie ogólne gadki, którym szczególnie on ulegał, bo on tak trochę świat widział. Bardzo po knajacku widział świat”^[79]].

Inna sprawa, że w środowisku artystycznym nie był wyjątkiem, bo w tym świecie przypadki donosicielstwa były na porządku dziennym. Wprawdzie artystów z reguły zmuszano do współpracy za pomocą szantażu lub innych form nacisku, jednak skala zjawiska zaskakiwała nawet pracowników resortu.

„Pamiętam, że bywałem dosyć często w SPATiF-ie – mówił dziennikarz Andrzej Roman – i [pewnego dnia, gdy] siedzieliśmy przy stolikach, wszedł mój kolega, który pracował w SB, o czym już zresztą wszyscy wiedzieliśmy. On był od finansów w tej firmie i on [nagle] do mnie: »Słuchaj, co tu się dzieje?«. Ja mówię: »Co jest?«. On: »Tu pełno naszych ludzi. Tu siedzą i wszyscy są od nas«. I tak się okazało, [że] tych 30 pozostałych facetów to było z tego resortu. Sami artyści”^[80]].

UCIECZKA

Pan Andrzej tak bardzo zasmakował w honorach i splendorach, że w ogóle przestał już pisać. Oczywiście wciąż dostawał tantiemy autorskie (szczególnie za *Raport z Monachium*), ale głównym źródłem jego utrzymania stały się wieczory autorskie. Otrzymywał za nie wysokie honoraria, sięgające tysiąca złotych za spotkanie (w 1970 roku średnia krajowa płaca wynosiła 2235 złotych miesięcznie). Potrafił z nich stworzyć doskonale prosperujący biznes, miał ogromną liczbę spotkań, czasami nawet dwa dziennie. Był znakomitym gawędziarzem, świetnie sprawdzał się w kontaktach z czytelnikami, ale powtarzalność tego zajęcia zaczęła go wreszcie nużyć. Bywało, że nie pojawiał się w umówionym miejscu, czasami też zachowywał się w sposób zaskakujący organizatorów. Wprawdzie nie nokautował już czytelników, ale w zamian za to wygłaszał mocno kontrowersyjne opinie.

Na jednym z takich spotkań, „[...] w szkole — opisywała Joanna Siedlecka — gdy w sali gimnastycznej zgromadzono wszystkie klasy i ciało pedagogiczne, spytał młodzież:

– Uczycie się?

– Uczymy – odpowiedzieli chórem.

– To głupio robicie – Brycht na to. – Podejdźcie do okna i popatrzcie. Stoi na podwórzu moja »cytryna« [zapewne chodziło o alfa romeo – S.K.], jedna z droższych zachodnich gablot. Gdy, w odróżnieniu ode mnie, będziecie się uczyć, nigdy się takiego wozu nie dorobicie”^[81].

Ostatecznie rozeszły się jego drogi z dawnymi przyjaciółmi z kręgu „Współczesności”, w zamian na dobre przystał do różnej maści prominentów i aparatczyków. Sprzedał alfa romeo, nabywając w zamian opla rekorda za sumę 270 tysięcy złotych! Jeździł na wycieczki nad Morze Śródziemne, na co dzień ubierał się z nieco kontrowersyjną elegancją i nigdy nie zapominał o irchowych rękawiczkach. Przybrał na wadze, a złośliwi mówili, że w swoich garniturach wygląda jak „dobrze odżywiony dyrektor masarni”.

Oddzielnym problemem była jego kolejna, trzecia już żona. Została nią piękna gruzińska emigrantka Aleksandra Gagnaszwili, kobieta mająca własne aspiracje. Nowa pani Brycht sięgała w swoich marzeniach wyjątkowo wysoko – pragnęła własnej stadniny koni i prywatnej willi nad Morzem Śródziemnym. Zapewne to właśnie pod jej wpływem Brycht zaczął snuć projekty światowej kariery z Nagrodą Nobla włącznie.

Tymczasem jednak pojawiały się kolejne problemy. W 1966 roku na łamach „Twórczości” opublikował opowiadanie zatytułowane *Relacja*. Była to zbeletryzowana wersja opowieści, jaką usłyszał podczas pobytu w więzieniu, przy czym Brycht z niewiadomych względów zachował dane personalne bohaterów zasłyszanej historii. Jedna z opisanych osób wniosła sprawę o

zniesławienie, tymczasem Brycht, pewien swojej bezkarności, lekceważył wezwania do sądu. W efekcie na rozprawę doprowadziła go milicja, a jej funkcjonariusze nie cackali się nadmiernie z ulubieńcem władz. O całej sprawie dowiedział się zresztą ówczesny szef śląskiego aparatu partyjnego Edward Gierek (rozprawa odbywała się w Będzinie) i znajomi Brychta z Warszawy nie mogli już jej zatuszować.

„Bonzowie partyjni, do których zwracał się z prośbą o interwencję – opowiadał Henryk Dasko – odmawiali zaangażowania się w sprawę znajdującą się na sądowej wokandzie, do tego nagłośnioną przez prasę. Brycht do końca nie zdawał sobie sprawy z sytuacji. Wystosował, co prawda, publiczny list do redakcji »Dziennika Zachodniego«, w którym przeproszał poszkodowaną za »mimowolnie wyrządzoną jej przykrość«, ale równocześnie udzielił zgody na druk odcinków zaskarżonej noweli w kolejnym periodyku”^[82].

W efekcie sąd uznał to za okoliczność obciążającą i w grudniu 1968 roku pisarz został skazany na dziesięć miesięcy aresztu (!) w zawieszeniu oraz grzywnę.

Kończył się również dopływ dużej gotówki, wobec czego pisarz znalazł inny sposób na zapewnienie sobie i żonie luksusowego życia. Tym razem były to wysokie zaliczki na poczet przyszłych utworów literackich, albowiem jego nazwisko bardzo wiele znaczyło w polskim świecie wydawniczym.

„Palił mu się grunt pod nogami – wspominał Zbigniew Irzyk. – Wszystkie wydawnictwa chciały go drukować, brał więc zaliczki, przepuszczał forszę i nie wywiązywał się z zamówień. Pożyczał również od osób prywatnych, od Iredyńskiego, Iwaszkiewicza. Ścigały go też liczne panie – był wielkim kobieciarzem. [Także] Panowie, których pobił, obraził”^[83].

Odsunęli się od niego dawni znajomi, choć ciągle jeszcze mógł liczyć na życzliwość niektórych osób. Z sympatią wspominała go ówczesna partnerka Iredyńskiego, Jadwiga Staniszkis:

„Brycht po prostu chciał szacunku, a jednocześnie wiedział, że źle obstawia, zawsze trafiał kulą w płot. Jak był w Afryce, zafascynowało go to, że jak wysiadł w porcie ze statku, jakiś Murzyn go zaraz złapał za nogawki. Tam dopiero poczuł się panem, w Polsce ciągle żył w tej wyimaginowanej hierarchii, nie komunistycznej – bo on zawsze umiał ogrywać doktryny – ale feudalnej, bo ten polski feudalizm w wersji komunistycznej był jeszcze gorszy niż przed wojną”^[84].

KANADA

Pisarz wykupił kilkumiesięczny rejs do portów śródziemnomorskich, a tuż

przed wyjazdem tłumaczył, że zamierza napisać kolejny *Raport*, tym razem z Afryki. W rzeczywistości nie zamierzał już wracać do kraju i pod koniec czerwca razem z żoną zszedł ze statku we włoskim porcie La Spezia. Stamtąd zadeszował do paryskiej „Kultury” i do Wolnej Europy, informując je o swojej decyzji. Jerzy Giedroyc natychmiast przysłał mu pieniądze, a sprawę jego ucieczki nagłośniły agencje zachodnie. W kraju początkowo trwało milczenie, dopiero po kilku tygodniach opublikowano oficjalną informację, że „pisarz Andrzej Brycht znów się ześwinił” i poprosił o azyl polityczny.

„Kiedy przyszły jego sukcesy – pisał Jerzy Urban na łamach »Polityki« – cieszył się nimi i w licznych wywiadach dawał wyraz zadowoleniu z forsy, sławy, z aut i ze zdystansowania kolegów, wobec których odczuwał kompleks mniejszej wartości mierzonej w pieniądzach i prestiżu. Ale dalej miał poczucie, że jest niedoceniony, gdyż mimo jego zawrotnej kariery, aplauzu krytyki, powodzenia u publiczności, wysokich protekcji – nikt nie umiał sprostać jego własnym wyobrażeniom o sobie – najlepszego polskiego pisarza [...]. Nie wygasła więc w nim zawiść i pazerność, ale wraz ze sławą i forszą nie przemienił się także w człowieka statecznego, to jest takiego, obok którego można przejść spokojnie po ulicy lub równie spokojnie zawrzeć umowę wydawniczą”^[85]].

Brychtowie zatrzymali się na kilka miesięcy w Belgii, a pisarzowi udało się zamieścić na łamach paryskiej „Kultury” kilka drobnych utworów, które w Polsce nie zostały opublikowane ze względu na sprzeciw cenzury. Nie wywiózł jednak z Polski niczego więcej, od lat bowiem nie napisał nic nowego. Miał wielkie plany, ale jako autor kompletnie się wypalił. Trudno też zrozumieć, na czym opierał śmiałe projekty podboju zachodniego świata wydawniczego.

Od razu poniósł też dotkliwą porażkę osobistą, gdyż odeszła od niego żona, która związała się z poznanym w Brukseli belgijskim arystokratą. Miejscowe władze odmawiały przyznania mu azylu, uważając, że polityczne motywy jego ucieczki wydają się bardzo dyskusyjne. Ostatecznie dostał imigracyjną wizę do Kanady i w kwietniu 1972 roku wylądował w Toronto. Miał 37 lat i praktycznie wszystko zaczynał od zera.

KIEROWCA ANDRZEJ BRYCHT

„W Kanadzie pojawił się inny, niż pamiętałem go z telewizyjnych wywiadów – wspominał Henryk Dasko – pozbawiony buty i sytej pychy, dawniej bijącej z każdego jego gestu. Z humorem, a czasem i z pokorą, znosił upokorzenia dotyczące go podczas pierwszych miesięcy na nowym kontynencie. Umiał się cieszyć codziennością – jarmarczną karuzelą, na której wirował z przygodnym dzieckiem, porozumiewając się z nim bez kłopotu mimo nieznamomości angielskiego, nowymi smakami, jakie odkrywał w chińskiej restauracji, gdzie

bez żenady wylizywał półmiski, nagłą wodną mgiełką niesioną wiatrem nad wodospadem Niagara. Przynosił bez i tulipany, zerwane z klombów pobliskiego parku”^[86]].

Kariere zawodową zaczął od posady bramkarza w klubie ze striptizerkami, potem pracował jako ogrodnik i operator wtryskarki. Uzyskał zawodowe prawo jazdy, co umożliwiło mu wykonywanie zawodu kierowcy. W ciągu dnia rozwoził materiały budowlane, a wieczorami usiłował pisać.

Poznał doktoranta slawistyki z montrealskiego uniwersytetu, który zajął się przekładem jego wczesnych tekstów. Niektóre z nich ukazały się na łamach kanadyjskiej prasy akademickiej. Brycht otrzymywał jednak symboliczne honoraria, a jego nowa książka *Stopa Ikara* okazała się zupełnie nieudana. Pisarz nie tracił nadziei, tym bardziej że nawet tę ostatnią, dość słabą pozycję przetłumaczono na kilka języków, a honorarium za niemiecki przekład wystarczyło na zakup ośmiocyndrowego bmw.

„Jeśli kilka moich książek ukaże się w kilku obcych językach – pisał do matki – jeśli fachowcy powiedzą głośno, że ten polski pisarz to bardzo dobry pisarz, to będzie sukces i to mi zupełnie wystarczy. Ale tylko z tym mogę przyjechać do Warszawy, i wtedy to będzie moja Warszawa, ponieważ mnie uszanuje, a na tym mi najbardziej ze wszystkiego zależy. Bo w gruncie rzeczy nie gram z tym światem, tylko cały czas z tamtym, który na chwilę opuściłem”^[87]].

Zrezygnował jednak niemal całkowicie z kontaktów z krajem, a jedynymi Polakami, z jakimi utrzymywał kontakt, byli przedstawiciele pomarcowej emigracji z lat 1968/1969. Dla nich nie był anonimowy, miał zresztą nadzieję, że właśnie ci ludzie pomogą mu przebić się na miejscowym rynku wydawniczym. Natomiast reszcie Polonii kanadyjskiej jego nazwisko nic nie mówiło, było to zresztą środowisko „parafialne, antyinteligentkie, pozbawione potrzeb kulturalnych”.

W Kanadzie zmienił swoje zachowanie, pił znacznie mniej, unikał awantur, a nawet usiłował walczyć z nadwagą. W tym czasie zaczął też pisać scenariusze dla osiadłego w Toronto polskiego dokumentalisty Tadeusza Jaworskiego. Efekty tej współpracy nie były zadowalające, wobec czego zrezygnowany przyjął dobrze płatną posadę kierowcy autokaru przewożącego pasażerów miejscowych linii lotniczych. To zapewniło mu wreszcie stabilizację finansową, a na dodatek robił to, co lubił, bo prowadzenie samochodów zawsze sprawiało mu przyjemność.

Ożenił się też po raz kolejny, a tym razem jego wybranką została emigrantka z Polski, Krystyna Żaglińska. Absolwentka filologii klasycznej, która za oceanem ukończyła studia bibliotekarskie, miała pozytywny wpływ na Brychta. Wynajęli ładne mieszkanie, jeździli na wakacje na Jamajkę i do zachodniej Europy, wydawało się więc, że pisarz osiągnął wreszcie na emigracji upragnioną

stabilizację.

Brycht jednak nigdy nie zapomniał o swoich literackich ambicjach, toteż gdy tylko dostał od Jaworskiego propozycję pisania scenariuszy do telewizyjnego serialu *Proces Jezusa*, natychmiast porzucił pracę kierowcy. Uważał się za pisarza, który ma jeszcze wiele do powiedzenia, a praca przy serialu miała być pierwszym krokiem na jego powrotnej drodze do literackiej elity.

Początkowo wszystko wyglądało bardzo dobrze – otrzymał wysoką zaliczkę (20 tysięcy dolarów kanadyjskich), pojawiła się również oferta wydania książki opartej na przygotowywanych scenariuszach. Niestety, chociaż serial w końcu powstał, nie okazał się sukcesem. A podczas pracy nad filmem Brycht zdążył poróżnić się zarówno z Jaworskim, jak i z resztą ekipy.

„Do niczego mi się nie spieszy – pisał zrezygnowany. – Nic mi nie imponuje, niczego nie pragnę do tego stopnia, żeby się zatrząść czasami z tego pragnienia”^[88].

Napisał jednak dwa dłuższe opowiadania (*Zmienna ogniskowa* i *Hubris*), a jedno z miejscowych wydawnictw zaryzykowało wydanie pierwszego z nich. Sprzedało się poniżej tysiąca egzemplarzy, co oznaczało całkowitą klęskę wydawniczą.

Nie układało się również życie rodzinne pisarza. Odszedł od żony, a kolejna partnerka urodziła mu dziecko. Otrząsnął się jednak z literackiego marazmu, planował nowe książki i zaczął nawet zaciągać pożyczki zabezpieczone na prawach autorskich do nienapisanych jeszcze utworów.

„Łatwiej mi się żyje tutaj – pisał do matki – bo założenia tego świata są jasne: zżerać żywcem jeden drugiego, w biały dzień, na oczach wszystkich, bezwstydnie. Jest to świat zwierząt, jakichś takich przedpotopowych, okropnych. Myślę, że taki układ długo nie potrwa, może my tego nie dożyjemy, ale to pójdzie w gruzy. Ciekawe, jak siedzieć tu, działać między tymi szaleńcami, pisać dla nich, gotować garnki mętnej strawy dla tych obłąkanych mózgów”^[89].

Wydaje się, że w tym czasie ostatecznie stracił umiejętność samooceny, obsesyjnie twierdził, że niebawem napisze książkę, która stanie się światowym bestsellerem, a on zdobędzie sławę i majątek. I z uporem powtarzał, że nie interesuje go lokalna sława i że jeszcze będzie „jednym z najślawniejszych pisarzy świata”.

„[...] wydam książkę i ona pójdzie na wiele języków świata. Niejako ewenement prowincjonalny, jak np. Andrzejewskiego książki, bo to trzeba i z polskiej literatury coś przełożyć w Ghanie. Nie. To będą miliony nakładu. Wszędzie”^[90].

POWRÓT

Przez chwilę wydawało się, że te szalone plany mają szansę powodzenia, albowiem jedno z największych amerykańskich wydawnictw, Doubleday, zamówiło u niego książkę o Janie Pawle II. Do jej wydania jednak nie doszło, gdyż tekst odrzucono ze względu na liczne fragmenty o antysemickiej wymowie. Wydawcy zerwali umowę i zażądali zwrotu zaliczki, którą Brycht zdążył już wydać. W tej sytuacji pisarz powrócił do żony – zajął się handlem samochodami, a następnie pracował jako akwizytor. I coraz bardziej tęsknił za krajem.

„Mam ochotę rzucić to wszystko – zwierzał się matce – i pojechać w Karkonosze, tam się w starym domu osiedlić, gdzieś koło Szklarskiej Poręby albo Karpacza. Ale to się chyba nie spełni, nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki. Tyle tej biurokracji wszędzie, przeszkoda na przeszkodzie. Nie mam na to siły już, zresztą na niczym mi nie zależy, dosłownie na niczym, chcę mieć tylko spokój od innych przedstawicieli gatunku, to wszystko”^[91].

W 1984 roku „Twórczość” opublikowała jego opowiadanie *Hubris*, a Brycht miał nadzieję, że niebawem będzie mógł odwiedzić Polskę. Chciał zobaczyć matkę, niepokoił się też o pierworodnego syna, Norberta, perkusistę jazzowego. Przy wszystkich swoich wadach do tych dwojga ludzi czuł autentyczne przywiązanie.

Publikacja *Hubrisu* oznaczała zgodę cenzury na wydawanie Brychta w kraju. Na łamach „Twórczości” pojawiła się *Zmienna ogniskowa*, a warszawska „Kultura” opublikowała opowiadanie *Nawet kamień*. W 1986 roku w kraju ukazała się jego pierwsza od lat książka, *Opowieści z tranzytu*. Otrzymał za nią równowartość tysiąca dolarów.

Recenzenci byli jednak rozczarowani, a w treść książki ingerowała cenzura, usuwając fragmenty mogące obrażać uczucia religijne. Zawiedzeni byli również dawni przyjaciele, a wśród nich Marek Nowakowski, który tak komentował ostatnie dokonania Brychta:

„Czytałem *Zmienną ogniskową* z mieszanymi uczuciami dezaprobaty, lekkiego wstępu, chwilami rozbawienia, rzadziej uznania dla jakiegoś fragmentu, obrazu, dialogu... Relacje między ludźmi, sztuka, miłość, ideały, wszystko jawi mi się jako brudna gra interesów.. Nie ma w tym siły, autentyzmu artystycznego, świeżości. Wyduszone, wydumane. Pretensjonalne, niedobre”^[92] I.

Wydanie książki było pierwszym krokiem Brychta na jego drodze do kraju. Wkrótce otrzymał polski paszport konsularny i we wrześniu 1987 roku wylądował na warszawskim Okęciu. Od chwili jego wyjazdu upłynęło ponad 16 lat.

DO KOŃCA WIERNY SOBIE

Chyba nie do końca wiedział, co właściwie dzieje się nad Wisłą. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że właśnie upada komunizm i że PRL odchodzi w przeszłość. Nie rozumiał również, dlaczego pisarze znaleźli się po dwóch różnych stronach barykady i skąd wziął się podział na literatów reżimowych i opozycyjnych. Ogłaszał jednak publicznie, że zamierza osiąść w kraju i powrócić do literatury.

„Planuję rozejrzeć się za miejscem, gdzie mógłbym tu zamieszkać na stałe – mówił w wywiadzie dla »Dziennika Łódzkiego«. – [...] Inaczej dzisiaj patrzę na Polskę niż wtedy, gdy w niej mieszkałem. Jest to kraj, który naprawdę można lubić. [...] W »Dzienniku Łódzkim« zadebiutowałem w 1953 roku jako literat wierszem pt. *Biblioteka*. Na zasadzie swoistej paraboli chciałbym tą rozmową rozpocząć swój literacki powrót”^[93]].

Pokazał się jeszcze w telewizji, zapowiedział, że niebawem przyjedzie ponownie, i odleciał do Kanady. Powrócił już po trzech miesiącach, gdy do szpitala trafiła jego matka. Do Polski ciągnęła go zresztą jeszcze jedna sprawa, podczas poprzedniego pobytu nawiązał bowiem romans ze swoją własną synową (!), którą odbił pierworodnemu Norbertowi.

„Wielki, zwalisty – wspominał publicysta Romuald Karaś – woził swą malutką, filigranową synową starym, rozklekotanym »maluchem«, gruchotem. Najczęściej do Himilsbacha, na jego działkę w Karolinie. Basica [Barbara, żona Jana Himilsbacha – S.K.] była wściekła, bo oczywiście pili”^[94]].

Nie poświęcał jednak całego czasu wyłącznie na opiekę nad matką, romans z synową i alkohol. Na dłużej zatrzymał się w Oborach, gdzie ukończył *Instynkt mordercy* – historię byłego boksera, który po wielu latach powraca do kraju. Prawa do jej sfilmowania zakupił jeden z zespołów filmowych, a poza tym Brycht dostał zaliczkę za scenariusz komedii. Żaden z tych filmów jednak nigdy nie powstał.

Sprzedał również prawa do polskiego wydania *Stopy Ikara* oraz następnej książki zatytułowanej *Sandra*. Obie miały ukazać się pod pseudonimem, bo pisarz nie zdecydował się na ujawnienie swojego nazwiska. I dobrze wiedział, co robi, gdyż szczególnie *Sandra* mogła mu bardzo zaszkodzić. Książkę reklamowano jako kryminał, jednak w rzeczywistości był to utwór pornograficzny, w którym pojawiały się przykłady wszelkiego rodzaju zbrodni z nekrofilami na czele.

Nie zanieczywał żadnej okazji do zarobienia pieniędzy, jednak tym razem nie była to chciwość, ale zwykła życiowa konieczność. Okazało się, że czytelnicy go jeszcze pamiętają, jeździł zatem na spotkania autorskie, a poza tym pisał

felietony i drobne teksty do prasy. I oczywiście robił to, co najlepiej potrafił, czyli pobierał zaliczki na poczet nienapisanych jeszcze utworów. A żeby było jeszcze ciekawiej, to nie miał już do nich praw autorskich, ponieważ wcześniej oddał je swojemu kanadyjskiemu znajomemu, od którego pożyczył spore pieniądze. Oczywiście w kraju o tym „zapomniał” i inkasował, co tylko było możliwe.

Udało mu się jeszcze raz skupić na sobie uwagę rynku wydawniczego, gdy pod swoim nazwiskiem opublikował *Azyl polityczny* – ostry pamflet będący niewybrednym atakiem na polską emigrację. Najwyraźniej Brychtowi po raz kolejny zabrakło wyczucia, bo w kraju nie było już politycznego popytu na opluskwanie paryskiej „Kultury” i Wolnej Europy.

„*Azyl* nie był powieścią – tłumaczył Henryk Dasko. – Był autobiograficznym reportażem zaludnionym dziesiątkami postaci, z którymi Brycht zetknął się w początkach swojej zachodniej wędrówki. Styl, jakim tę książkę napisał, powoduje, że wymyka się ona wszelkim próbom opisu. Jej przesłaniem była uniwersalna nienawiść do wszystkich napotkanych przez Brychta ludzi, a metodą literacką – rynsztokowa inwektywa. [...] Wulgarna, prostacka, pornograficzna i antysemitka, w jednaki sposób lżyła Polaków i Żydów, katolików i homoseksualistów, uciekinierów od komunizmu i komunistów, Belgów i Amerykanów, Jerzego Giedroycia i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Stefana Kisielewskiego i Czesława Miłosza. Jediną pozytywną postacią książki, wszechmądrą, zdrową psychicznie i fizycznie, ferującą wyroki i oceny ludzi, oceny zdarzeń i systemów, był sam Brycht”^[95]].

Książka wywołała skandal, nie ukazała się jej kontynuacja, a Brycht odleciał do Kanady, gdzie po raz kolejny wywrócił do góry nogami całe swoje życie. Związał się z młodszą o kilkanaście lat psycholożką Lucy McGlynn, która miała zostać ostatnią (piątą już) panią Brycht. Przez pewien czas prowadził względnie spokojne życie, pracując jako kierowca autobusu i zadawałając się stabilizacją u boku nowej partnerki.

Po raz ostatni pojawił się nad Wisłą w 1992 roku. Prowadził rozmowy z wydawnictwem BGW na temat *Nowego raportu z Monachium*, jednak umowy nie sfinalizowano z powodu jego zbyt wygórowanych żądań. I wówczas chyba ostatecznie zrozumiał, że jego czas jako autora dobiegł końca. A gdy umarła jego matka, już nic nie łączyło Brychta z krajem. Powrócił na drugą półkulę i postanowił sam z sobą dojść do porozumienia.

„Tak jakoś nijako przerwała się nasza znajomość – pisał w liście do Henryka Dasko. – Zupełnie niepotrzebnie, ale oczywiście wiem, dlaczego tak się stało.

Napisałem obrzydlistwo, nie ma dwóch zdań. I najgorsze, że to nie jestem ja, że w istocie wcale tak nie czuję ani nie myślę... Jest wiele rzeczy, które należałoby powiedzieć, naprawić, a przynajmniej sprostować – i to są rzeczy o

podstawowym znaczeniu. Nie można niczego dobrego zrobić, jeśli najpierw nie zrobi się porządku z samym sobą. A to czasami długo trwa”^[96]].

Trwało to faktycznie długo, ale Brycht nie był człowiekiem, który łatwo przyznawał się do błędu. Lecz wreszcie zrozumiał, że kariery już nie robi, a zdążył zrazić do siebie praktycznie wszystkich. I chyba szczerze tego żałował.

„Bardzo tego kontaktu potrzebuję – pisał w następnym liście. – W moim procesie odbijania się od dna. Przede wszystkim jest to dno moralne – pewnego dnia zobaczyłem, ile we mnie jest nienawiści, głupoty, ślepoty i słabości. Skąd to przyszło i dlaczego? [...] Nienawiść zajęła całą moją przestrzeń wewnętrzną, a wtedy człowiek kurczy się do rozmiaru wszy, co jest dowodem nie tylko przerażającej głupoty, ale przede wszystkim zaniku moralnego. Mnie samemu trudno jest to zdjąć z siebie i spokojnie odłożyć to moje osobiste piekło, groteskową patelnię, na której dureń podsmaża swój idiotyzm”^[97]].

Niebawem pojawiły się problemy ze zdrowiem – wykryto u niego zaawansowaną cukrzycę, a następnie niezłośliwy guz jamy brzusznej. Aż wreszcie dopadło go bezlitosne przeznaczenie, gdyż zapadł na nowotwór szpiku kostnego.

„Odwiedziłem go w słoneczny, ciepły, październikowy dzień – wspominał Dasko. – Mieszkał w zamożnym i sennym miasteczku Ancaster, nieopodal Hamilton, o godzinę jazdy od Toronto. Otoczony pięknymi drzewami dom jego obecna żona zatrzymała po rozwodzie ze swoim pierwszym mężem. [...] Czytał swoją ulubioną książkę z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, *Każdy umiera w samotności*, niemieckiego pisarza Hansa Fallady. Jego syn Norbert wy dostał gdzieś trudny do zdobycia egzemplarz i przywiózł mu do Kanady”^[98]].

Na koniec spotkania poprosił Henryka, aby ten odmówił za niego kadisz – żydowską modlitwę za umarłych. Na kilka tygodni przed śmiercią wykasował pamięć komputera, spalił również wszystkie wydruki, notatki i rękopisy. Nie chciał, by pozostało cokolwiek z tego, co pisał w ostatnich latach. Zmarł 8 marca 1998 roku i został pochowany na cmentarzu w Hamilton.

„Ostatniego polskiego wieczoru w SPATiF-ie powiedział mi, że wszystko tam odrobi – pisał po śmierci Brychta Marek Łukasiewicz. – Nie odrobił niczego. Pracował jako kierowca i pisał nieudane książki. Naprawdę pisać umiał tylko w Polsce i o Polsce. Zmarł 8 marca. Ta data to symboliczny wyraz tego dramatu. Jeszcze jeden zmarnowany los, który nie figuruje na oficjalnej liście strat”^[99]].



ROZDZIAŁ 3

Demony Edwarda Stachury





**„Zastanawiała dwoistość Edwarda Stachury. Liryczny poeta, piewca
piękna natury, tropiciel ulotnych wrażeń – w kontraście zaś zadymione
spelunki pokerowego znoju. W tej kwestii zachowywał powściągliwość i nigdy
nic nie opowiadał o nocach przy kartach. Dziwny odmieniec. Mieszanina
bożego człowieka, nawiedzonego artysty, kmiota, Francuza**

Marek Nowakowski

FENOMEN STEDA

Zapewne życie żadnego z pisarzy epoki PRL nie obrośło tyłoma mitami, co biografia Edwarda Stachury. Żaden z autorów nie doczekał się też podobnego kultu pośmiertnego ani równie obfitej literatury na swój temat. W przeważającej większości były to jednak całkowicie bezkrytyczne publikacje, a przedstawiany w nich życiorys Stachury przypominał biografię świętego. Jego wielbicielę przekraczali zresztą wszelkie granice uwielbienia – Sted stawał się jednym z wieszczów narodowych, który „cierpiał za miliony”, a jego samobójczą śmierć porównywano do męczeństwa Chrystusa...

Na niezliczonych imprezach organizowanych ku czci Stachury pojawiały się tysiące jego wyznawców, teksty poety przenoszono na sceny teatralne (zdarzyła się też ekranizacja *Siekierzady*), wydawano płyty i kasety z interpretacjami jego piosenek. A każdy gitarzysta hałasujący wieczorem przy ognisku uznawał za punkt honoru posiadanie w repertuarze kilku jego utworów.

Inna sprawa, że „przejmująca” interpretacja piosenek Steda w wykonaniu tych „bardów” często bywała bardzo kłopotliwa w odbiorze. Słuchacze jednak to aprobowali, dla nich było to oznaką czci oddawanej pisarzowi. O poziomie uwielbienia otaczającego Stachurę przekonałem się zresztą osobiście, gdy podczas jakiegoś żeglarskiego rejsu wykonałem pastiszową wersję piosenki *Życie to nie teatr*. Nigdy wcześniej (ani też później) nie spotkałem się z podobną falą milczącego potępienia – przy ognisku zapadła kompletna cisza, w której nagle poczułem się jak człowiek, który opowiadał sprośne dowcipy w kościele...

Tymczasem Stachura był człowiekiem z krwi i kości, który – jak przystało na rasowego poetę – umiejętnie kreował własny wizerunek. Wprawdzie rzeczywiście miał duszę wędrowca, jednak nie oznacza to, że był samotnikiem albo życiowym abnegatem. Na co dzień preferował dżinsowy strój, ale warto wiedzieć, że uznawał wyłącznie ubrania firmy Lee Cooper, nigdy natomiast nie założyłby „zwykłych” lewisów, wranglerów, o rifle ach już nie wspominając. On, który napisał kiedyś, że z nim można tylko „iść na wrzosowisko i zapomnieć wszystko”, był również kobieciarzem, który utrzymywał bliskie kontakty z kilkoma paniami równocześnie.

Wielbicielę Stachury zapewne nie zastanawiali się też nad tym, z czego właściwie utrzymywał się ich idol. Nigdy przecież nie był oficjalnie zatrudniony, a większość życia spędził, pisząc i wędrując z gitarą. Co prawda podczas tych podróży podejmował różne prace fizyczne, ale z reguły była to forma odwdzięczenia się za posiłek czy nocleg. I zapewne mało osób zdaje sobie sprawę z faktu, że ten wrażliwy poeta czerpał poważne dochody z niemal zawodowej gry w karty. Był bardzo utalentowanym pokerzystą, a do tego dorabiał jeszcze, grając o wysokie stawki w szachy.

Prawdziwym fenomenem w dziejach PRL pozostaje natomiast jego interpretacja otaczającej go rzeczywistości. Stachura opisywał Polskę Ludową z perspektywy własnych wędrówek, wysoko cenił bezpośredni kontakt z przyrodą i ludźmi, ale ani w jego utworach, ani w prywatnej korespondencji w ogóle nie ma żadnych akcentów politycznych. I chociaż jego dorosłe życie przypadło na wyjątkowo burzliwy okres (Marzec 1968, Grudzień 1970, Czerwiec 1976), to jednak nigdy nie wykazywał nawet śladu zainteresowania tymi tematami. Opisywał świat wiejskich sklepów, tanich barów i budek z piwem, ale konsekwentnie omijał wszelkie sprawy związane z polityką. Tak jak Bolesław Prus, który w *Lalce* nie zauważał rosyjskiego panowania w Warszawie, Stachura, żyjąc w Polsce Ludowej, zdawał się w ogóle jej nie dostrzegać. Wybrał indywidualną drogę i wydaje się, że nie był ani za ustrojem, ani w opozycji do niego. Po prostu chodził własnymi ścieżkami.

„Po roku 1956 pojawiło się w Polsce kilku młodych pisarzy – mówił profesor Jan Błoński – którzy swoją twórczością jakby dawali do zrozumienia, że nie mogą się zmieścić w tym społeczeństwie, jakie powstało [...]. Stachura był piewcą nieustannej podróży i rzeczywiście stale podróżował po Polsce, a także i po Europie. Ta podróż miała go uwolnić od cierpienia. [...]

I trafił w coś bardzo autentycznego, coś bardzo potrzebnego, zdobył ogromne powodzenie wśród młodych czytelników. I ta jego wędrówka miała rzeczywiście coś osobliwego i coś promiennego. To na pewno zostało w pamięci wielu ludzi”^[100]].

RODZINNE PROBLEMY

Jerzy Edward Stachura przyszedł na świat w sierpniu 1937 roku w Charvieu we Francji. Jego ojciec trafił nad Sekwanę za chlebem, tam też poznał swoją przyszłą żonę, również pochodzącą z rodziny polskich emigrantów. Stachurowie doczekali się czwórki dzieci, a trzy lata po zakończeniu II wojny światowej zdecydowali się na powrót do kraju. Osiedlili się w rodzinnych stronach Jadwigi Stachury, w Łazieńcu koło Aleksandrowa Kujawskiego.

Przyszły pisarz miał problemy z edukacją. Podczas nauki w liceum w Ciechocinku wagarował, kłócił się z nauczycielami, a do tego dochodziło jeszcze upodobanie do kart i papierosów. W końcu wydalono go z internatu, wskutek czego wyjechał do starszego brata do Gdyni. Kontynuował tam naukę, nie obyło się jednak bez kolejnych problemów, tym razem natury rodzinnej.

„Edward poczynał sobie coraz śmieiej, negując nawet prawo mojej żony do wspólnego naszego mieszkania – żalił się jego brat Ryszard Stachura. – Żona była w zaawansowanej ciąży i pewne prace były dla niej uciążliwe. Brat jak zawsze [...] nie chciał pomagać, zachowywał się bardzo niegrzecznie [...],

zachowanie wobec żony było skandaliczne. Człowiek, który otrzymuje lokum, wikt, opierunek i kieszonkowe, winien okazywać minimum szacunku”^[101]].

Ostatecznie Edward zamieszkał w hotelu robotniczym, a jego stosunki z rodziną nadal pozostawiały dużo do życzenia. Interesował się już wówczas hazardem, a pieniądze na grę wymuszał od brata.

„Niemałże co dzień przychodził do sklepu, w którym byłem kierownikiem – narzekał Ryszard. – [...] Wiedział, że mam bardzo dobre dochody, dlatego nie miał żadnych skrupułów. [...] Wiedział, że go kochałem i wykorzystywał moją do niego słabość. Dowiadywałem się, że bardzo często przegrywał otrzymane ode mnie pieniądze w gry hazardowe”^[102]].

LUBLIN

Początkowo Sted nie myślał o karierze pisarza i zamierzał zostać malarzem. Być może wynikało to z tego, że – jak opowiadała Czesława Kulikowska, jego koleżanka z gdyńskiego liceum – był w permanentnym konflikcie ze swoją polonistką, która bardzo nisko oceniała jego osiągnięcia w dziedzinie języka polskiego^[103]]. Planował więc studia na Wydziale Sztuk Plastycznych Uniwersytetu w Toruniu, zmienił jednak zdanie i zdecydował się na Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych w Gdańsku. W 1956 roku zdał maturę (z rysunku otrzymał ocenę bardzo dobrą, a z języka polskiego zaledwie dostateczną!!!) i złożył dokumenty na uczelnię. Stał jednak na z góry przegranej pozycji, nie miał bowiem odpowiedniej teczki prac własnych. I stało się tak, jak musiało się stać.

„Wyobraź sobie, że nie dopuszczono mnie do egzaminów ze względu na słabe prace domowe – pisał do przyjaciela Mieczysława Czychowskiego. – Widocznie mieli rację. Pociesza mnie tylko fakt, że oprócz mnie nie dopuszczono kilkudziesięciu innych. Rok zmarnowany. Postaram się jednak zużytkować go jak najlepiej. Będę dużo pisał i malował”^[104]].

Nie sposób nie zadać sobie pytania, jak potoczyłyby się jego dalsze losy, gdyby jednak został studentem PWSSP. Uczelnia ta była bowiem zapleczem kabaretu Bim-Bom i to właśnie z niej pochodziło wielu jego członków. Kariery na scenie zapewne by nie zrobił (z powodu wady wymowy), ale mógłby przecież zostać scenografem lub autorem tekstów teatralnych. Ciekawe też, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby miał możliwość zetknięcia się z indywidualnościami Cybulskiego i Kobieli. Tego jednak nigdy się nie dowiemy.

Po maturze Stachura powrócił na Kujawy, uczęszczał jako wolny słuchacz na zajęcia na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu w Toruniu. To właśnie z tego okresu pochodzą jego pierwsze publikacje poetyckie na łamach

niskonakładowej prasy. Uczestniczył w różnych spotkaniach literackich na terenie kraju i wtedy poznał Andrzeja Bursę, Ireneusza Ireduńskiego i Romana Śliwonika.

Nie zapomniał jednak o studiach i w następnym roku zdał egzamin wstępny na romanistykę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Nie miał zresztą większego wyboru – musiał się dostać na studia, gdyż osiągnął już wiek poborowy, a wypełnianie „zaszczytnego obowiązku” wobec socjalistycznej ojczyzny jakoś nie leżało w zakresie jego zainteresowań.

„Stachurę poznałem, kiedy »waletowałem« w domu studentów KUL – wspominał Waldemar Michalski. – [...] Późnym wieczorem, korzystając z nieuwagi portiera, wślizgiwał się do akademika. Pokoje były tu ośmio-, a nawet dziesięcioosobowe. Na piętrowych żelaznych łóżkach zawsze znalazło się jakieś wolne miejsce. Blondyn o lekko kędzierzawych krótkich włosach, średniego, ale słusznego wzrostu o dosyć mocnej sylwetce zwracał naszą uwagę także ubiorem: lekko wyblakłym granatowym dżinsowym oryginalnym strojem – taka bluza i spodnie były wówczas marzeniem każdego młodego chłopaka. Na gołe materace łóżka kładł się ubrany, tak jak chodził. Zamiast poduszki podkładał pod głowę kilka numerów kolorowego magazynu »Paris Match«. Wiedzieliśmy, że pisze, chodził więc w glorii poety i to tłumaczyło różne jego obyczaje.

Sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie. Nie szukał biesiadnego towarzystwa, sam wybierał przyjaciół i towarzyszy rozmowy”^[105].

Problemy lokalowe niebawem zresztą zniknęły, bo Stachura oficjalnie dostał miejsce w akademiku oraz stypendium żywnościowe (na KUL-u nie przyznawano zasiłków finansowych). Coraz częściej jednak bywał nieobecny na zajęciach, coraz bardziej wciągało go życie literackie. Szczególnie często wyjeżdżał do Warszawy, gdzie regularnie odwiedzał siedzibę „Współczesności”. Dobrze poznał jej rozrywkowe kolegium redakcyjne, a czasami ze stolicy przywoził nawet prośby o usprawiedliwienie absencji na uczelni (na blankietach firmowych redakcji!).

„Redakcja dwutygodnika »Współczesność« uprzejmie prosi o usprawiedliwienie nieobecności studenta Edwarda Stachury na zajęciach w dniach 24.11 i 25.11.1958 roku. W tych dniach odbywały się w naszej redakcji posiedzenia Teatru Poezji, na które zaprosiliśmy pana Edwarda Stachurę”^[106].

Oczywiście w redakcji czasopisma nigdy nie działał żaden Teatr Poezji i bardziej prawdopodobne wydają się posiedzenia przy piwie za pomnikiem Kopernika lub rajdy szlakiem warszawskich knajp. I to faktycznie mogło przypominać teatr, ale niekoniecznie poezji...

Okazji do zabawy nie brakowało również w Lublinie, a niektóre imprezy miały dość dramatyczny przebieg. Pewnego dnia Stachura przyszedł do

akademika, nieco utykając. Wkrótce okazało się, że w kawiarni Lublinianka wdał się w bójkę i uciekając przed przeciwnikami, wyskoczył z pierwszego piętra na chodnik.

„Bardziej zorientowani w jego obyczajach mówili, że gra namiętnie i skutecznie w pokera – kontynuował Michalski. – Że karta mu »idzie« i że w ten sposób zdobywa pieniądze na życie. Pieniądze go się nie trzymały. Oddawał długi, gustował zwyczajem francuskim w dobrym winie, pożyczał potrzebującym”^[107]].

Nauką też nie przejmował się specjalnie i nigdy nie widziano go w „cichaczu”, gdzie studenci przygotowywali się do zajęć. Bardziej interesowały go dyskusje o poezji i literaturze, podczas których czasem wyciągał gitarę i śpiewał piosenki Georges’a Brassensa. Ale poza tym nie szukał towarzystwa innych ludzi.

„Najbardziej charakterystyczną – wspominał Mirosław Derecki – łatwo rzucającą się w oczy cechą Stachury była, już w tamtych studenckich lubelskich latach, jego osobność. Sted nie tylko był inny – zarówno jako członek studenckiej społeczności [...], jak i początkujący pisarz, dystansujący się wobec młodych grup poetyckich i ich programów. On po prostu był zwykle sam ze sobą. Najczęściej widywało się go, jak samotnie szedł ulicą na wykłady, jak samotnie z lubością wygrzewał się na słońcu zawsze na tej samej ławce na środku KUL-owskiego dziedzińca, po lewej stronie od głównego wejścia, lub gdy samotnie siedział nad szklanką herbaty w którejś z kawiarni”^[108]].

Jego wiersze pojawiały się na łamach lubelskiego „Sztandaru Ludu”, a niebawem także w czasopiśmie o zasięgu ogólnopolskim: „Tygodniku Powszechnym” (debiut w dziedzinie prozy), „Więzi” i „Współczesności”. Jednak pierwszy wieczór autorski zakończył się klęską, albowiem organizatorzy, obawiając się niskiej frekwencji, zaprosili grupę kombatantów wojennych i emerytowanych nauczycieli. Ludzie ci kompletnie nie rozumieli utworów młodego poety, toteż podczas dyskusji doszło do awantury.

„Dość powiedzieć, że wywody dyskutantów, przyzwyczajonych dotąd głównie do odbioru utworów Marii Konopnickiej czy Teofila Lenartowicza, były druzgocące. Sted – do żywego dotknięty – przebił obecnych argumentem, iż jeśli w ogóle zniżył się on, Poeta, do poziomu obecnego na sali audytorium, to tylko ze względu na honorarium, które jest mu niezbędne dla zapłacenia za obiad i butelkę wina, i że dyskutować dalej nie ma zamiaru! O reszcie – lepiej nie wspominać”^[109]].

Nie lepiej było podczas mityngu literackiego zorganizowanego na KUL-u. Młodzi twórcy (był wśród nich Stachura) „zamiast sycić się wzajemnie poezją”, oskarżali się nawzajem o plagiaty, a poeta Andrzej Tchórzewski „wołał wielkim

głosem, żeby niektórzy, zamiast pisać wiersze, poszli lepiej na wieś sadzić buraki cukrowe”.

Trzeba przyznać, że wówczas nie ceniono Stachury i jego utworów. Traktowano go „trochę jak jakiegoś Janka Muzykanta”, który kocha poezję, ale nie posiada talentu. Niektórzy twierdzili wręcz, że „Sted to prymityw”, na co zapewne wpływ miało to, że nie „szukał literackich przyjaźni, dojsć i układów”. Na dodatek podczas dyskusji na ogół milczał albo „mruczał pod nosem przekleństwa”.

Niechęć wzbudzało również jego zachowanie wobec płci pięknej, zdarzało mu się bowiem, że przesiadując na swojej ulubionej ławce na dziedzińcu KUL-u, „pluł »niechący« pod nogi przechodzącym studentkom, warcząc cicho: »Te k-k-urewskie d-d-robnomieszczanki«”. Do wszystkich jego wad dochodziło jeszcze jąkanie się, które skutecznie utrudniało mu interpretację własnych utworów.

W tym czasie jedna z afer z udziałem Steda oparła się nawet o władze uczelni, a poszło o grę w pokera, a właściwie o dużą wygraną Stachury.

„Otóż pewnej nocy – opowiadał Derecki – Sted ograł w pokera do ostatniej nitki niejakiego Rysia X, zwanego powszechnie »Filozofem«. A ten, całkiem nie po męsku, poszedł ze skargą do prorektora Zdzisława Papierkowskiego, prosząc, aby spowodował on zwrot przegranych pieniędzy oraz zegarka. Reakcja Papierkowskiego była natychmiastowa: »Jeśli pan był taki głupi, żeby grać w karty, i jeszcze z takim, który potrafi lepiej od pana, to ma pan tylko jedno wyjście: zmądrzeć przed następnym razem!«. I tak profesor sprawę zamknął...”[¹¹⁰].

NA SZEROKIE WODY

Wydaje się, że Edward w ogóle nie był człowiekiem zdolnym do systematycznej pracy czy nauki. Regularny udział w zajęciach akademickich był obowiązkiem ponad jego siły, podobnie zresztą jak załatwianie różnych wydziałowych formalności. Nie umiał sobie poradzić nawet z najbardziej podstawowymi sprawami.

„[...] nie potrafię studiować, gdyż jestem włóczęgą z urodzenia – przyznawał w liście do Czychowskiego. – Wyobraź sobie, że mam teraz kupę kolokwi, których nie obawiam się absolutnie (a nie mam jeszcze wyrobionego indeksu). Nie wyobrażasz sobie, jaką męką jest dla mnie załatwianie tego rodzaju formalności. Poza tym, cholerny kłopot z łaciną. Nie byłem na żadnym lektoracie. Lektoraty z łaciny są zawsze o wpół do ósmej. Trzeba jeszcze przed tym zjeść śniadanie w stołówce. A więc trzeba wstać co najmniej za 15 siódma”[¹¹¹].

Pierwsze podejście do KUL-u zakończyło się tak, jak musiało się zakończyć –

Stachura został skreślony z listy studentów. Wtedy ponownie zdał egzamin wstępny i tym razem udało mu się zaliczyć pierwszy rok. Niebawem znowu usunięto go z uczelni z powodu „niepodjęcia zajęć uniwersyteckich”, a przy okazji przytrafiło mu się jeszcze postępowanie dyscyplinarne. Chodziło o uprawianie hazardu na terenie akademików..

Wreszcie zdecydował się na wyjazd z Lublina, który najwyraźniej nie był mu pisany. Musiał jednak kontynuować naukę z powodu zagrożenia służbą wojskową, bo w armii na pewno czułby się znacznie gorzej niż podczas załatwiania formalności w dziekanacie. Postanowił więc przenieść się do Warszawy, gdzie były większe możliwości kariery literackiej. Przy okazji zamierzał też wznowić studia na Uniwersytecie Warszawskim.

„Wróciłem przed dwoma dniami z Wrocławia, w którym przebywałem miesiąc chyba, i dobrze przebywałem, bo miałem gdzie spać i co jeść i pisałem dużo i wspaniale – tłumaczył w liście w maju 1960 roku. – Czasami tęsknię do Lublina, choć to było dla mnie miasto przeklęte [...] Będę próbował dostać się [na] Uniwersytet Warszawski, choć nie potrafię zupełnie takich rzeczy, i choć wiem, że dla mnie akademia, to są wiatry przestronne: i ja wśród nich jestem ulubieniec”^[112]].

Czasami jednak zdarzają się cuda, bo niewiele było w tym zasługi samego Stachury. W przeniesieniu się na drugi rok romanistyki Uniwersytetu Warszawskiego pomogli mu literaccy przyjaciele ze stolicy, a najbardziej przydały się prywatne znajomości Henryka Berezy.

„[Byłem] w bardzo dobrych układach towarzyskich z profesorem Maciejem Żurowskim – opowiadał krytyk – i gdy doszło do przenosin Stachury z Lublina, z KUL-u na Uniwersytet Warszawski, mogłem Stachurę profesorowi zarekomendować i przekonać profesora o tym, że mamy tutaj do czynienia z kimś wybitnym i godnym wszelkiej pomocy. I to nie były łatwe sprawy, chodziło o zupełnie podstawowe rzeczy, o wyrobienie dokumentów, o przyjęcie bez dokumentów, chodziło o meldunek”^[113]].

W tym czasie Stachura szczególnie zbliżył się ze Stanisławem Grochowiakiem, który wziął na siebie rolę mentora. W jego domu traktowany był niemal jak członek rodziny, a zażyłość ta powiększyła się jeszcze bardziej, gdy Sted uratował od śmierci córkę swojego starszego kolegi.

„Siedział kiedyś na parapecie okna domu Grochowiaków na Sadybie, gdzie czasem pomieszkiwał i grał na gitarze – wspominał Roman Śliwonik. – Nagle pędem wybiegł z mieszkania, zbiegł kilka pięter, bo usłyszał krzyk dziecka. I zdążył uratować córkę Staszka, która tonęła w fosie”^[114]].

W Warszawie Stachura podjął również pierwszą i ostatnią próbę przyłączenia się do sformalizowanej grupy literackiej. Była nią Orientacja Poetycka Hybrydy

działająca przy klubie studenckim o tej samej nazwie. Grupa wydawała własne pismo („Widzenia”, później „Orientacja”), aktywnie też organizowała różnego rodzaju imprezy literackie. To właśnie dzięki współpracy z „hybrydowcami” Stachura poznał Ryszarda Milczewskiego-Bruno, który miał odegrać znaczną rolę w jego życiu.

Sam jednak nie zagrażał miejsca w „Hybrydach” bo już w 1962 roku opuścił grupę zrażony dyskusjami i sporami o „to, co zawsze pozostanie sporne”. Nie przeszkodziło mu to jednak w debiucie książkowym, albowiem w tym samym roku ukazał się zbiór jego opowiadań *Jeden dzień*.

„[...] niezwykłym zjawiskiem jest niewątpliwie twórczość Edwarda Stachury – pisał w recenzji Jarosław Iwaszkiewicz. – [...] Jego tomik noszący tytuł *Jeden dzień* wzbudził we mnie uczucia obce tym, co piszą o książkach: entuzjazm i wzruszenie. Ta osobliwa proza, ta niby naiwna składnia, przeczyste zdania z dziwnymi powtórkami, ta melancholia – i głębokie, wewnętrzne umiłowanie życia, radość ze wszystkiego, co ono przynosi mniemanemu wagabundzie, wycucie pejzażu polskiego i polskiego codziennego dnia, tęsknota do miłości i wiara w miłość – jakie to wszystko młode i pełne zachwyty”^[115].

Zmiany zachodziły również w życiu prywatnym Steda, który w kwietniu 1962 roku poślubił Zytę Annę Bartkowską.

PRZY KARCIANYM STOLIKU

„Zastanawiała jego dwoistość – wspominał Stachurę Marek Nowakowski. – Liryczny poeta, piewca piękna natury, tropiciel ulotnych wrażeń – w kontraście zaś zadymione spelunki pokerowego znoju. W tej kwestii zachowywał powściągliwość i nigdy nic nie opowiadał o nocach przy kartach. Dziwny odmieniec.

Mieszanina bożego człowieka, nawiedzonego artysty, kmiota, Francuza”^[116].

Nowakowski miał okazję poznać Steda w redakcji „Współczesności”. Młody pisarz zwrócił jego uwagę „swoją odmiennością”, szczególnie widoczną wtedy, gdy „wygłaszał hymny o wolnym życiu na łonie przyrody z dala od miejskiego chaosu”. Uważał, że Stachura jest człowiekiem „leśno-łąkowym”, który darzył „kultem fizyczną pracę” i „podziwiał drwali, kopaczy, tragarzy”. Dzięki temu był całkowicie nowym zjawiskiem w gronie stołecznych twórców – pisarzem, który wnosił w „sprawy miastowych chłopaków świeży powiew”. Jednocześnie Nowakowski zupełnie nie mógł zrozumieć, w jaki sposób taki człowiek może się utrzymywać z gry w pokera.

„[...] miał tajemniczą skłonność do hazardu. Był pokerzystą od czasów studenckich w akademikach Lublina i Warszawy. Później grywał w doborowym

towarzystwie zawodowych graczy. Grywał i wygrywał. Zawodowcy cenili go jako twardego partnera i zapraszali do walki o dużą pulę. Kiedyś nad ranem zadzwonił do mnie z prośbą o pożyczkę.

– Idzie mi karta – powiedział.

Po kilku dniach w zamian za pożyczone pieniądze wręczył mi zegarek marki Doxa. Miał ich kilka do wyboru jako łup po zwycięskiej grze”[¹¹⁷].

Stachura grał wszędzie, gdzie tylko nadarzyła się sposobność, a przy karcianym stoliku zachowywał się inaczej niż zwykle. Skupiony, mało mówny, koncentrował się wyłącznie na kartach. Właśnie w takiej sytuacji poznał go historyk Wiesław Niesiobędzki, rozgrywka odbywała się bowiem w jego pokoju w toruńskim akademiku.

„Było ich czterech – wspominał Niesiobędzki – Ramon, Szeryf, Sosna, ci już od dawna zalęgli się w naszym pokoju jako etatowe »walety« i ten czwarty – jasnowłoso-kędzierzawo-niebieskooki o zręcznych palcach”[¹¹⁸].

Koledzy Niesiobędzkiego solidarnie grali przeciwko Stachurze i pisarz przegrywał. Mimo to przez dłuższy czas zachowywał spokój, jednak gdy przegrał pulę o wartości 2 tysięcy złotych, zareagował.

»[...] wyjął z kieszeni fiński nóż, nową talię kart, położył na stole i podszedł do Szeryfa: – Przesiądziemy się – powiedział. Krzykaczom zrobiło się inaczej. – Sted, nie wygłupiaj się – truchlejącym głosem powiedział chyba Kamon, którego tak nazwano od jego histerycznych wrzasków przy pokerze. [...]

W niecałą godzinę tamci trzej byli wyczyszczeni przy akompaniamencie ich wrzasków i w ciszy jego milczenia. Jasnowłoso-kędzierzawo-niebieskooki Sted nie zgodził się grać o non-ironową koszulę Kamona i czarny kapelusz Szeryfa. Wstał od stołu, schował nóż, karty i pieniądze [...] i powiedział: Idę się napić. – Zostań, człowieku – powiedziałem. Wiedziałem, że ci trzej zaraz się wyniosą, gdyż zawsze po przegranej szybko udawali się na poszukiwanie frajera.

Gdy zostaliśmy w pokoju sami, wyciągnąłem z torby wina [trzy butelki malagi – S.K.] i do północy wypiliśmy wszystko, co miałem, a o północy rzygaliśmy, bo to wino było straszliwie czerwone i słodkie”[¹¹⁹].

Dzięki pokerowej dobrej passie Stachura umeblował mieszkanie, w którym mieszkał z żoną. Dochody z hazardu zapewniały mu również możliwość spokojnej pracy literackiej. Niestety, jak każdy hazardzista, czasami nie wiedział, kiedy należy przerwać grę i zadowolić się dotychczasową, wygraną. Świadkiem jednej z jego spektakularnych klęsk był Roman Śliwonik, który towarzyszył Stedowi w charakterze maskotki mającej przynieść mu szczęście. I początkowo rzeczywiście przynosił.

„Poszedłem – wspominał Śliwonik. – Gra odbywała się w czyimś mieszkaniu w Alejach Jerozolimskich, w okolicy hotelu Polonia. Słyszałem, że Sted grywa w

pokera, jednak nie traktowałem tego poważnie, a tu rzeczywistość potwierdziła wysokie umiejętności i zawodowstwo Steda, bo w domu gry przyjęto go z powagą i szacunkiem.

Gra trwała całą noc, była wódka, poczęstunek przygotowany przez właściciela mieszkania, dla którego chyba przy każdym rozdaniu odkładano sporą sumę pieniędzy”[120].

Śliwonik z zainteresowaniem obserwował Stachurę, bo od tej strony jeszcze go nie znał – Sted „był skupiony, nie dowcipkował, mówił mało i wygrywał”. Atmosfera przypominała zachodni film kryminalny, a emocje potęgował fakt, że wszystko to działo się wbrew obowiązującemu prawu. Grano zresztą o naprawdę duże pieniądze – Śliwonik był zaskoczony wysokością stawek. Nad ranem rozgrywka się skończyła, a Stachura wygrał od przeciwników poważną kwotę.

„Zadymieni, niedopici a skacowani, ale przecież zwycięscy poszliśmy zwyczajem wszystkich pijaków na Dworzec Centralny na piwo. Sted co chwila wyciągał plik banknotów, przeliczał, ja wciąż nie wierzyłem w to wszystko, a już zupełnie nie pojmowałem, że w ciągu nocy można wygrać sumę, która wystarczy na rok, a już na pewno na pół roku życia.

Tak wyceniał swoją wygraną Stachura. Na rok spokoju nawet po spłaceniu długów. Może na pół roku. Cieszył się. Tak radosnego, przepojonego radością jeszcze go nie widziałem. Jakby promieniał, pławił się w szczęśliwości prawie absolutnej. Oto tak wygląda człowiek, z którego bije widoczna radość. Zadowolenie. Prawie pycha”[121].

Niestety, na dworcu Stachura spotkał dwóch znajomych z Lublina, których kiedyś niemiłosiernie ogrywał. Powracali „z dużej gry w Sopocie”, a jeden z nich pokazał nawet „rulon pieniędzy, przy którym rulon Steda był mały”. Edward potraktował to jako zaproszenie, uważał, że bez większych problemów zdyskontuje swój poprzedni triumf. Był przekonany, że tego dnia szczęście mu sprzyja i zapewni sobie środki do życia na jeszcze jeden rok. Śliwonik był jednak zbyt zmęczony, by dalej pełnić rolę maskotki, i nie chciał jechać do mieszkania Stachury.

„Sted posmutniał, kiedy odmówiłem, ale tamci zgodzili się pojechać i sprawa została przesądzona.

– Nie znam się na pokerze — jeszcze ostrzegałem — ale jest ich dwóch. i y zostaniesz sam.

– Rano wpadnę do redakcji – mówił Sted. – Bądź o jedenastej, zapraszam cię na śniadanie do »Harendy«. Będziesz?

Oczywiście, że byłem.

I dobrze, że przyszedłem wcześniej, bo Sted miał chociaż od kogo pożyczyć

na śniadanie. Przegrał wszystko. Wszystko. To ja miałem rację. Przez lata, kiedy się nie widzieli, znajomi Steda stali się zawodowcami.

– Miałeś rację. Miałeś. Było ich dwóch na jednego. Dwóch. Nie miałem szans. Piłem. Byłem zmęczony.

– Szkoda – powiedziałem – mogłeś za te pieniądze dużo napisać.

– Cały rok. Cały rok albo i więcej – mówił zgaszony – można było popisać.

Tak mówiliśmy zawsze, kiedy wpadły nam jakieś pieniądze.

Będzie za co popisać” [122].

ZYTA

Małżeństwo Stachury było dużym zaskoczeniem dla jego znajomych, wcześniej bowiem nie interesował się specjalnie płcią piękną. Podczas studenckich imprez w Lublinie z reguły trzymał się z boku, zadowolając się popijaniem wina. Nie szukał bliższych znajomości i sprawiał wrażenie człowieka, dla którego liczy się tylko pisanie.

„Zyta była dziewczyną bardzo popularną na Uniwersytecie Warszawskim i miała bardzo wielu starających się o jej względy – wspominał jej kolega ze studiów Bogdan Dworek. – Dlatego też trudno mi było zrozumieć, że Stachura, autor poematu *Przystępuję do Ciebie*, właśnie w tak konkretny sposób przystąpił do Zyty, zostając jej mężem” [123].

Wybranka Stachury również przez dłuższy czas poszukiwała swojego miejsca w życiu. Przez trzy semestry studiowała w stołecznej PWST, po czym przeniosła się na filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Na uczelni poznała Stachurę i oboje szybko przypadli sobie do serca.

„To była wielka miłość – wspominała siostra Steda, Eliana. – Zarówno w tamtych czasach, jak i dzisiaj zupełnie niespotykana. Byli w sobie bardzo zakochani. Wielokrotnie podziwiałam ich wzajemne uczucie, kiedy podczas różnych okazji spotykaliśmy się w Aleksandrówku” [124].

Początkowo nie mieli własnego mieszkania, po roku otrzymali jednak niewielką kawalerkę na Grochowie przy ulicy Rębkowskiej. Lokal przyznano Stachurze z puli Urzędu Rady Ministrów, a w jego przydziale bardzo pomógł Jarosław Iwaszkiewicz.

Podstawowym problemem rodziny pozostawały jednak finanse – Sted nigdy nie miał ochoty na stałą pracę, a jego literackie dochody były bardzo nieregularne. Ratował domowy budżet grą w pokera, trudno jednak ten rodzaj zarobkowania uznać za bezpieczny. Pewną stabilizację zapewnił etat Zyty w Polskiej Agencji Prasowej, gdzie przez rok pracowała jako korektorka. Gdy jednak straciła pracę, Stachura ubolewał, że dopóki żona nie znajdzie innego

zajęcia, to będą „bidować”.

„Pamiętam mieszkanie Stachurów na Grochowie – opowiadał Dworek. – Pod nieobecność Steda zaprosiła mnie jego żona, Zyta Oryszyn. Było to dość dziwne mieszkanie, z nieodłącznym psem i ta Zyta, która mimo że była niedopasowana do świata i życia, świetnie dopasowała się do Stachury. Zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić, jak wygląda ich życie na co dzień. O Stachurze mówiła jednak z najwyższym uwielbieniem”^[125].

W tym mieszkaniu czasami działy się naprawdę dziwne rzeczy. Poeta Wacław Tkaczuk, który mieszkał w ich kuchni przez kilka miesięcy, był świadkiem dziwnych fascynacji Stachury. Przez pewien czas pisarz interesował się bowiem (całkiem na poważnie) wywoływaniem duchów, a był przy tym wybredny i dlatego najbardziej interesowały go możliwości kontaktu ze zmarłymi pisarzami i filozofami.

„Tych seansów spirytystycznych nie traktowałem serio – relacjonował Tkaczuk. – Wywoływaliśmy duchy Swinarskiego i Teilharda de Chardina [francuski jezuita i filozof – S.K.]. Stachura zadawał mu pytania po francusku. Odpowiedzi były też po francusku. O dziwo, bardzo zgodne z założeniami filozofii de Chardina. Stachura nie znał tych problemów, dlatego też dało mi to do myślenia”^[126].

Pomimo wszelkich niedogodności był to chyba jedyny okres stabilizacji w życiu Steda. Szczególnie wtedy, gdy dobrze mu szło w pokera, ich kawalerka sprawiała wrażenie normalnego inteligenckiego domu.

„Mieszkanie Zyty i Edwarda Stachurów na Rębkowskiej – dodawał Tkaczuk – było przez wiele lat najnormalniejszym w świecie mieszkaniem. Chciałbym, aby o tym wiedzieli ci, którzy wędrówki Stachury zbyt pospiesznie i zbyt dosłownie utożsamiają z bezdomnością. Jadało się tu w czasach dostatku dobrze i do syta. I zawsze przy nakryciu leżały świeże płóciennne serwetki”^[127].

Zyta czasami towarzyszyła mężowi w jego wędrówkach po Polsce. Często odwiedzała z nim okolice Głogowa, gdzie Sted przygotowywał się do pisania *Siekierzady*. Mieszkali wówczas u zaprzyjaźnionego pisarza Jana Czopika-Leżachowskiego. I sądząc z zachowanej korespondencji Steda, jego żonie nie brakowało wówczas fantazji.

„Jesień jest niesamowita w lesie i na polu – pisał Stachura do poety Janusza Żernickiego. – Wieczorem mgły też niesamowite. W Zaduszki byliśmy z Zytą i Czopikami na starym całopalnym cmentarzu łrzyckim pod Głogowem. Tam na wydmach paliliśmy świeczki, a potem rozpaliliśmy wielkie ognisko z kartoflanych lętów i skakaliśmy przez nie, i piliśmy alpage, wylewając pół butelki w piasek – duchom w gardła”^[128].

Coś jednak zaczęło się psuć w ich związku. Bezpośrednich przyczyn nie znamy – Stachura nigdy o nich nie mówił, a i Zyta do dzisiaj zachowuje wzorową dyskrecję. Niewykluczone, że przyczyną kłopotów był brak stabilizacji finansowej oraz upodobanie pisarza do koczowniczego trybu życia. Swoją rolę mogły również odegrać ambicje obojga, albowiem Zyta również pisała i nie zamierzała się zadowolić rolą żony przy mężu. *Tym* bardziej że tego męża często nie było w domu.

W 1969 roku na łamach „Twórczości” opublikowano debiut powieściowy Zyty, *Najada*, rok później książka pojawiła się w księgarniach nakładem Czytelnika. Pani Stachura występowała pod pseudonimem (jako Zofia Oryszyn), najwyraźniej nie chcąc, by jej książkę kojarzono z osobą męża. Ale i tak odniosła sukces, otrzymała Nagrodę imienia Wilhelma Macha za najlepszy debiut roku. Rok po *Najadzie* pojawił się *Melodramat*, a niebawem *Gaba-Gaba, czyli 28 części wielkiego okrętu*.

„Te pierwsze trzy książki to była taka erupcja wyobraźni – mówiła wiele lat później. – Byłam takim dzieckiem, które w domu zachowuje się normalnie, ale jak wybiegnie na podwórko, to szaleje, jest w innym wszechświecie, gdzie żyją skrzaty, duchy i inne postaci, i pejzaże. Nawet jako dorosła miałam w głowie jakieś swoje wszechświaty i chciałam się po nich wybiegać”^[129].

W marcu 1969 roku Stachura wyjechał na roczne stypendium do Meksyku. Studiował literaturę i język hiszpański na UNAM (Universidad Nacional Autónoma de México – Narodowy Uniwersytet Autonomiczny Meksyku), tłumaczył i publikował w miejscowych pismach utwory własne i przyjaciół. Zafascynowała go literatura latynoamerykańska, przekładał Borgesa, Cortazara i Marqueza, tłumaczył także meksykańskie piosenki, które wykonywał na spotkaniach literackich. Ale przede wszystkim tęsknił za Zytą i w związku z tym żył bardzo oszczędnie, pragnąc, by przyjechała do niego. I rzeczywiście żona pojawiła się za oceanem, jednak ich wspólny pobyt tam trudno nazwać szczęśliwym. Właśnie wówczas nastąpił ostateczny rozkład ich związku.

„[...] na ten świat ja wiem, po co przyszedłem – pisał Sted w styczniu 1970 roku – ale żałuję tego, lepiej byłoby dla mnie, żebym nigdy nie narodził się, przeklinam dzień ten [...], wiem, że kochałem i Kocham jak nikt inny nie kochał na tej śmierdzącej zafajdanej planecie i wiem, że mam prawo płakać teraz i za kilka dni [...], a może już za chwilę żyły sobie podciąć, bo nie mam już nic [...], nie mam włoska, na którym [...] 10 lat wisiąłem [...], dlatego umrzeć chcę, żeby nigdy nie przestać Ciebie kochać”^[130].

Po raz pierwszy poważnie myślał o samobójstwie – odejście ukochanej kobiety było dla niego nie do zaakceptowania, tym bardziej że pomimo założonej sprawy rozwodowej nadal mieszkali pod jednym dachem – i do tego w

kawalerce.

„Po ataku – zapisał pod koniec sierpnia 1970 roku. – Trzy, cztery razy dziennie napadało mnie straszliwie, żeby skończyć. Ale walczyłem, walczyłem, chwyciłem się powietrza, walczyłem o życie, oczywiście nie dla siebie, ale dla kogoś, komu ciągle przyznawałem sumienie i bałem się, że będzie temu komuś czasami być może trochę niedobrze przez to właśnie, że ja formalnie skończę moje od dawna, od wielu miesięcy zakończone życie”^[131] .

Był jednak drażliwy, miał do Zyty pretensje o to, że „zrobiła sobie jedzenie, a jemu nie”. Jeszcze raz spróbował o nią walczyć – razem spędzili kilka tygodni na Bliskim Wschodzie, jednak bez rezultatu. Nic już nie dało się uratować i we wrześniu 1972 roku orzeczono rozwód. Niemal przez trzy lata mieszkali jeszcze razem na Rębkowskiej.

„Chodziłem po ulicach kompletnie otumaniony [...] i gładziłem jej głowę, jej włosy, to znaczy powietrze obok mnie, bo jej nie było już przy mnie, sam byłem, w samotności straszliwej [...] otoczony powietrzem, które stawało mi w gardle”^[132] .

Niewykluczone, że to właśnie z powodu żony całkowicie oddał się wówczas wędrownemu trybowi życia, uciekając przed nią i przed wspomnieniami o niej. Pojawiały się wprawdzie kolejne kobiety, ale właściwie nigdy już nie powrócił do równowagi psychicznej. I być może początek jego tragedii miał miejsce właśnie w chwili rozpadu ich małżeństwa.

Zyta powędrowała natomiast własną drogą. Wydawała powieści i zbiory opowiadań, związała się z opozycją (Sted zapewne nigdy by tego nie zrozumiał), publikowała w drugim obiegu, współpracowała z Niezależną Oficyną Wydawniczą, działała w Komitecie Kultury Niezależnej. W 1996 roku wyszła za mąż za Andrzeja Kaczyńskiego i razem z nim publikowała na łamach „Rzeczpospolitej”. I nigdy nie udzieliła wywiadu o Stedzie, do dzisiaj też nie udostępnia pamiątek po nim.

ŻYCIOPISANIE

„Wracając na gapę z Poznania w 1957 roku – wspominał Janusz Żernicki – wbrew technice trampa, którą Sted miał doskonale opanowaną, schwytano nas – zarobiliśmy na bilet i karę (ba, nawet na jakieś wino) występując w wagonach. Na szczęście konduktor był pobłażliwy. Sted grał i śpiewał (grał na organkach), ja recytowałem wiersze Gałczyńskiego”^[133] .

Upodobanie do koczowniczego trybu życia Stachura przejawiał od lat, ale dopiero po rozwodzie ciągle wędrowki stały się jego sposobem na życie. Czerpał z tego ogromną radość, nigdy bowiem nie potrafił zbyt długo przebywać w

jednym miejscu. Podróżował po kraju, przemieszczając się pociągami, autobusami, autostopem, a czasami pieszo. Nocował u znajomych albo w zupełnie przypadkowych miejscach, a gdy pogoda pozwalała, sypiał pod gołym niebem.

„Przed świtem, gdy zaczęło się rozwidniać, zapadłem trochę głębiej w płytki sen i spałem przez jakieś trzy godziny dobrotliwe, łaskawe, w ciągu których nic mi się takiego straszliwego nie śniło, żebym musiał ostrym krzykiem, takim wyjąłym rżeniem przebijać się przez gęstą plazmę na powierzchnię, do jawy. Obudziłem się zziębnięty i jak zawsze niewypowiedzianie zaczarowany tym cudem, że wszystko, wielkie dzięki, jest na swoim miejscu: ziemia, niebo, rzeka, drzewa nad rzeką, ptaki w listowiu, i że nie trzeba na nowo tworzyć tego, co już zostało, wielkie dzięki, stworzone. Kiedy człowiek budzi się w domu, pod dachem, wśród czterech ścian, nie zawsze jest pewien, że na zewnątrz domu, na dworze, wszystko jest, jak było”^[134]].

Tryb życia trampa potrzebny był Stachurze nie tylko jako człowiekowi, ale również jako pisarzowi. Sted tworzył bowiem wyłącznie z autopsji i nie wyobrażał sobie pisania opartego na relacjach innych ludzi. Dlatego też podczas pracy nad *Siekierzą* przez dłuższy czas pracował wśród drwali na ziemi głogowskiej, a umożliwił mu to jego przyjaciel Jan Czopik-Leżachowski.

„Był u nas taki nauczyciel, nazywał się pan Czopik i przyszedł do mnie z kolegą — wspominał Władysław Majdański opisany w powieści jako leśniczy Bogdański. — Mówi: czy ja potrzebuję robotnika do pracy. Byłem wówczas, pracowałem jako leśniczy. Pracy w lesie zawsze mi... było moc, dużo... i pracowników zawsze mi, nam potrzeba. Mówię: bardzo chętnie. On mówi: mam takiego kolegę, który chce pracować w lesie. Młody, zdrowy, silny. No, mówię: takich nam potrzeba do pracy. No i przedstawił mi tego pana Stachurę”^[135]].

Pisarz nie był jednak najlepszym nabytkiem, wprawdzie twierdził, że wie, jak wygląda praca drwala, ale okazało się, że ją „zna raczej ze słyszenia”. Nie orientował się nawet w zasadach działania piły spalinowej, w efekcie przesunięto go do obcinania i palenia gałęzi. Zarabiał niewiele, ale z uśmiechem mówił, że „na papierosy wystarczy”. Dla niego liczyła się obserwacja środowiska, zachowania i mentalności ludzi.

„W niedzielę zapraszaliśmy go do nas na obiad — opowiadał Majdański. — Był bardzo przyjemny i bardzo grzeczny. O sobie mówił mało, lubił słuchać. [...] Nic nie mówił, że zamierza napisać książkę o Grochowicach, nie było widać, żeby coś zapisywał czy notował”^[136]].

Przebywając wśród drwali, nie żył jednak wyłącznie z tego, co zarobił w lesie. Przed wyjazdem zadbał o przyznanie mu ryczałtu terenowego z kasy Związku Literatów Polskich. Sted mógł być trampem i włóczęgą, ale nigdy nie zapominał,

że jest pisarzem.

I gdy była możliwość otrzymania pieniędzy, które miały mu umożliwić pracę nad książką, to nie zamierzał z tego rezygnować.

Udało mu się również rozwiązać jeden z najważniejszych problemów pisarzy – opracował metodę notowania spostrzeżeń i pomysłów. Podczas wędrówek było to faktycznie utrudnione, bo pisarz zabierał ze sobą tylko plecak (lub chlebak) i gitarę. Rozwiązaniem okazały się tak zwane zeszyty podrózne, w których na bieżąco zapisywał swoje obserwacje. Dzisiaj stanowią one prawdziwą kopalnię informacji o samym pisarzu, o jego nastrojach i stanie psychicznym.

„Te zeszyty podrózne wzięły się stąd, że one były najbardziej poręczne – wyjaśniała bliska przyjaciółka Stachury, Marta Kucharska. – Mieściły się po pierwsze w chlebaczku, poza tym można było pisać na kolanie, można było pisać w przedziale kolejowym, a potem [...] siadał przy maszynie i pracował nad tym, co się zebrало po tych knajpach i dworcach”^[137]].

Podobieństwo między twórczością i sposobem życia Steda sprawiło, że o jego pisarstwie zaczęto mówić „życiopisanie”. W istocie chyba nigdy nie pisał z fantazji, z reguły opierając się „na tym, co stanowiło jego bezpośrednie doświadczenie”. Ale też nie do końca, gdyż jak przystało na pisarza, przekształcał własne wrażenia, nadając im nową treść. Nie był dokumentalistą, tylko twórcą, który swobodnie beletryzował rzeczywistość.

„Nieustannie gra, nakłada maski, zgrywa się, udaje – uważa krytyk Piotr Śliwiński. – Jeśli spojrzeć na bohaterów i narratorów jego prozy, których każe nam identyfikować z samym sobą, to przecież dostrzegamy, że oni nie są robotnikami leśnymi. Oni nie są robotnikami, [tylko] wolnymi najmitami, którzy mają się rozmaitych zajęć, sprawdzają jakby swoje człowieczeństwo. Oni w istocie jakby bawią się w to, udają. Co więcej, narzucają sobie te role”^[138]].

Tak było w przypadku *Catej jaskrawości*, gdzie do biografii realnych osób (w tym własnej ciotki Marii Potęgowej) wplótł wydarzenia, które nigdy nie miały miejsca. Przebywając u ciotki, wcale nie pracował przy odmulaniu stawów, gdyż jego głównym zajęciem była gra w karty. Nie pił też wódki na dnie stawu, zdecydowanie preferując okoliczne plenery i lokale.

„U Potęgowej we wsi pod Aleksandrowem nie przepracowaliśmy się, to prawda – przyznawał poeta Wincenty Różański. – Wiecie, jak to jest na wsi. Babcia przychodzi i mówi, tu macie spać, tu macie jeść, a potem trzeba to odrobić. To się rąbało drewno, zamiatało się, naprawiało płot, to to, to owo. Tak konkretnie to myśmy nie pracowali. Stachura to zmyślił. Może brzmi to jak obrazoburstwo. Żartuję – zbieraliśmy przecież kartofle”^[139]].

Stachura lubił jednak pracę fizyczną, która była zresztą ważnym elementem jego filozofii życiowej. Dlatego też jeździł co roku do Czopika-Leżachowskiego

pomagać przy żniwach, a kiedy szedł „przez jakąś wioskę”, często „najmował się do pracy u gospodarza, gdy był głodny”. A po obiedzie ruszał dalej.

Starał się żyć tak, jakby PRL był normalnym, demokratycznym państwem. Unikając polityki, stworzył swój własny świat, dzięki czemu czuł się wolnym człowiekiem. W sferach politycznych uważano go za nieszkodliwego dziwaka, a cenzura zupełnie się nim nie interesowała, gdyż to, co pisał, w ogóle „nie dotyczyło władzy”. Nikogo też nie obchodziło, że w czasach, gdy istniał obowiązek pracy, a nazwę firmy wpisywano do dowodu osobistego, Stachura nigdzie nie był zatrudniony.

Badacze korzystający z archiwów IPN mogą się czuć rozczarowani ich zawartością. Właściwie nie ma tam żadnych dokumentów związanych ze Stedem, można odnaleźć jedynie jego wnioski paszportowe. Ale dzięki nim wiadomo, w jaki sposób uniknął służby wojskowej – po obronie pracy magisterskiej został przeniesiony do rezerwy, gdyż przekroczył określony prawem limit wieku (25 lat)[¹⁴⁰].

„Odseparował się szczelnie od politycznej rzeczywistości – twierdził Marek Nowakowski – od ubowa, partii, kłamliwej propagandy, sowieckiej dominacji. Nie dopuszczał tych spraw do swojego pisania od początku. Choć znał życie pod podszewką doskonale. W swoich wędrówkach stykał się z ludźmi różnych poglądów, doświadczeń. Nasłuchiwał się rozmów i zwierzeń, koczując po dworcach, sypiając w hotelach robotniczych, pociągach, pekaesach, przesiadując w miasteczkowych gospodach, barach mlecznych, studenckich stołówkach. Jednak o tym milczał”[¹⁴¹].

Programowa apolityczność przynosiła pewne profity, bo Stachura nigdy nie miał problemów z uzyskaniem paszportu. I podróżował po świecie – długo przebywał w Meksyku, dwa razy był w Norwegii (za drugim razem prywatnie), bywał też we Francji i w Hiszpanii, odwiedził Bliski Wschód i Stany Zjednoczone, a w Szwajcarii osobiście odebrał Nagrodę Kościelskich (3 tysiące franków). Mimo to zawsze tęsknił za polską prowincją, a szczególnie za Kujawami. Tam czuł się najlepiej i tam spędzał czas tak, jak lubił.

„Steda u mnie [...] nie było – pisał w liście do przyjaciela w lutym 1971 Ryszard Milczewski-Bruno. – Rozstaliśmy się w Toruniu. Bo zaczynało być źle, ponosiło nas. [...] Byliśmy ze Stedem u jego rodziców koło Aleksandrowa (koło Potęgowej), u J. Żernickiego w Ciechocinku (pieszo z A. do C.). A potem w Toruniu. Szczyt!!! Krew, gazy, podarta koszula, Izba Wytrzeźwień, pogubione czapki, szaliki [...]. Poezja w każdym bądź razie rządziła nami cnie”[¹⁴²].

Zdarzało mu się zresztą tracić rzeczy o wiele cenniejsze niż czapka i szalik. Pewnego razu, kiedy był w stanie całkowitego upojenia alkoholowego, skradziono mu gitarę i chlebak, w którym znajdowały się jego notatki do *Fabuła*

rasa. Czasem też z powodu zamiłowania do trunków tracił sporo zdrowia, a także czasu, który był mu niezbędny do odzyskania sił. Janusz Anderman tak wspomina ich niegdysiejsze spotkanie „u wód”:

„Zimą 1973 r. pojechałem do Krynicy-Zdroju, bo wiedziałem, że on tam mieszka w domu pracy twórczej. Wcześniej znaliśmy się korespondencyjnie. Powitalna flaszka, druga, trzecia, czwarta. Po trzech dobach witania się Stachurę opuściły siły i wylądował w miejscowym szpitalu, gdzie pod kroplówkami wolno dochodził do siebie. Potem o tym pobycie w szpitalu napisał w tomie *Wszystko jest poezją*. Powstał liryczny autoportret wycieńczonego trudami twórczej egzystencji poety”^[143].

KREACJA

Ważnym elementem legendy Stachury były jego spotkania autorskie. Początkowo nie przepadał za nimi, widząc w nich wyłącznie możliwość zdobycia dodatkowej gotówki. Ale nawet gdy był kompletnie bez pieniędzy, uważał je za ostateczność.

„Nie zwracaj sobie głowy jakimś załatwianiem mi spotkania w Opolu – pisał do polonisty Bolesława Żurakowskiego. – Ja tych rzeczy bardzo nie lubię. Muszę być rzeczywiście przy ścianie, żeby się zgodzić na jakiś wieczór. Ja wieczory autorskie traktuję jako dopust. Więc, proszę bardzo, daj spokój”^[144].

Z czasem jednak jego stosunek do tego rodzaju spotkań zaczął się zmieniać, miał bowiem coraz więcej wielbicieli, szczególnie w większych ośrodkach akademickich. Jego twórczość i tryb życia dobrze wpisywały się w posthipisowską filozofię, uważany był za uciekiniera od cywilizacji, z którą nic go nie wiązało.

„Krağ słuchaczy siadał, potem ludzie siadali troszeczkę dalej, a Stachura opowiadał, a właściwie zdobywał kolejną publiczność – wspominał poeta Maciej Rembarz. – I najdziwniejsze było to, że często w sposób ewidentny dla fachowca kłamał, bo na przykład twierdził, że przyjechał pociągiem towarowym. Ja przez pięć lat utrzymywałem się z konwojowania bydła i doskonale znam się na pociągach towarowych i [wiem, że] nikt tak czysty z pociągu towarowego wysiąść nie może”^[145].

Stachura był świadomy własnych ograniczeń (jąkanie), dlatego na ogół wolał śpiewać, niż mówić. Nie był specjalnie muzykalny i nie miał dobrego głosu, ale kiedy śpiewał, nie zacinał się. Ważniejszy zresztą był nastrój, a pisarz znakomicie potrafił stworzyć więź ze słuchaczami. A to liczyło się najbardziej.

Ja nie śpiewam dobrze, a gram jeszcze gorzej – przyznawał Sted na jednym ze spotkań. – Nie jestem zawodowym muzykiem, ja po prostu piszę. I te

piosenki są jakimś dalszym ciągiem mojego pisania [...]. Nie mam pretensji, aby grać i śpiewać jak zawodowy grajek. Mówię to tylko po to, aby słuchacze zechcieli łaskawie słuchać tego i patrzeć z przymrużonym okiem”[¹⁴⁶].

Zachowane relacje wskazują, że słuchaczom nie przeszkadzały braki wokalne Stachury. Sted miał charyzmę, potrafił skupić na sobie uwagę, a jego utwory nie były zwykłymi piosenkami. To też była poezja, a jej uproszczona forma gwarantowała łatwiejszą percepcję. Akordy i melodię szybko kopiowano, a teksty zapisywano jeszcze podczas spotkania. W pierwszej połowie lat 70. wyszły dwa zbiory jego piosenek, dzięki czemu utwory te stały się ważnym elementem turystycznych wypraw i spotkań towarzyskich młodzieży.

Stachura nigdy nie zerwał więzów łączących go z realnym światem. Regularnie otrzymywał nagrody i stypendia (do czego specjalnie się nie przyznawał), coraz rzadziej jednak udzielał się w oficjalnym nurcie wydawniczym. Zdecydowanie wyżej cenił kontakty z autorami niemal w ogóle niepublikowanymi. To właśnie z nimi należał do „kuflowego bractwa”, którego członkowie regularnie spotykali się w plenerze na prowincji, by recytować wiersze i wlewać w siebie ogromne ilości złocistego trunku.

„Sted miał »gdzieś w Polsce« kilku przyjaciół na śmierć i życie, na dobre i na złe – mówił Krzysztof Mętrak. – Bywali postaciami w jego prozie i fantomami w jego poezji. [...] Sted – jedyny z nich – cieszył się oficjalnym uznaniem, pozostali uprawiali kult szlachetnej samoadoracji, słusznego szyderstwa, zwróconego przeciw szachrajstwu poetyckiemu, uprawianemu na łamach literackich gazet. Wszyscy odczuwali brak porozumienia z odbiorcą i wszyscy uprawiali sztukę, upatrując w niej sens istnienia. Bruno-Milczewski, grudziądzki szaławita, zawisły w ekscesie i cyganeryjnym obyczaju wędrowców, szukał w Stedzie oparcia i Sted – w swoich niepokojach – szukał oparcia w nim”[¹⁴⁷].

NIE TYLKO ŻYTA

W lutym 1973 roku Stachura poznał Barbarę Czochralską, biofizyczkę zatrudnioną na Uniwersytecie Warszawskim. Pani doktor okazała się dla niego idealną partnerką intelektualną, a on sportretował ją nawet (jako Biofizyka) we *Wszystko jest poezją*. To właśnie ona podczas jednego ze spotkań (na Stadionie Dziesięciolecia) wykonała słynne zdjęcia bosego poety trzymającego butelkę wina.

We wrześniu oboje znaleźli się w Paryżu – Czochralska przyjechała na kongres naukowy, natomiast Sted trafił tam po odbiorze Nagrody Kościelskich w Genewie. Czy przyjechał do Paryża specjalnie po to, by spotkać się z Barbarą, tego niestety nie wiadomo. Po spotkaniu zanotował jednak w swoim dzienniku, że „madame znowu coś niezadowolona”.

Spędzili razem jeden dzień, który Stachura opisał we *Wszystko jest poezją*:

„Chodziłem z Biofizykiem cały dzień po Paryżu, pokazując mu miasto co nieco mi znane. Następnego dnia (niedziela) Biofizyk pojechał do Pont-à-Mousson w Lotaryngii na wspomniany międzynarodowy kongres naukowy, gdzie miał wygłosić komunikat o swoim ostatnim, odkryciu, w którym to odkryciu był Biofizyk tak wspaniałomyślny zaznaczyć swoście i wyraziście (wręcz tytułarnie) obecność mojej osoby. W ten sposób lansowane przeze mnie tu i tam połączenie sił: naukowcy z poetami i odwrotnie – znalazło już jakiś wyraz” [148].

Nie wiemy, jak daleko zaszły ich wzajemne relacje, wiadomo jednak, że Stachura wciąż nie otrząsnął się po odejściu żony. Trudno też powiedzieć, czy Sted spotykał się z Barbarą regularnie, czy też ich kontakty miały wyłącznie sporadyczny charakter. Na pewno widzieli się podczas podróży pisarza do USA, gdzie w tym czasie przebywała również pani Barbara. Spotkanie to było jednak końcem ich znajomości. Można podejrzewać, że Stachura nie chciał się angażować, a poza tym, sądząc po pewnych wzmiankach w jego zapiskach, nie odpowiadał mu również charakter Czochralskiej.

„Wstąpiliśmy na kawę i tu powiedziałem, że więcej nie będę się z nią spotykał. Biofizyk: czemu, dlaczego, czy coś złego zrobiłam i tak dalej. Co miałem mówić? Powiedziałem, że nie po to żyję [...] żeby ktoś [...] kogo umysł cenię [...] ciągle o coś miał do mnie pretensje [...] sprawa jest jasna [...] ona by chciała oczywiście coś więcej, niż czyste spotkanie intelektualne. Romans jej się marzy. Niech go nawiąże z kimś innym [...]. I to, co jest najgorsze, to ten brak poszanowania mojego uczucia, mojej miłości do kogo innego” [149].

Poważniejszy był natomiast kolejny związek, mający zresztą nieco skandaliczny posmak. W roku swojego rozwodu poznał córkę znajomych, 14-letnią (!) Danutę Pawłowską. Zwrócił na nią uwagę podczas wizyty u jej rodziców, a w próbach oczarowania dziewczyny wcale nie przeszkadzało mu to, że był od niej 21 lat starszy.

„[...] mieszkałam z rodzicami w Toruniu – wspominała Danuta. – Mama poprosiła mnie o pomoc w zanieśieniu herbaty do pokoju, gdzie siedzieli goście. Był tam Stachura Pierwszego wrażenia zupełnie nie pamiętam. Zbyt byłam speszona. Kiedy następnego dnia wróciłam ze szkoły, mama wręczyła mi *Siekierządę* z wpisaną dedykacją: »Pani Danusi z całą serdecznością, Edward Stachura«” [150].

Trzy lata później, po przypadkowym spotkaniu, zaczęli prowadzić ożywioną korespondencję, po czym pisarz zaproponował Danucie wspólny wyjazd w Sudety, a dziewczyna, pomimo oporu rodziców, zaproszenie to przyjęła.

Zapewne to romans ze Stedem spowodował, że Danuta nie zdała matury, a

niedługo później spakowała się i wyjechała do Warszawy. Zyta zdążyła się już wyprowadzić, toteż panna Pawłowska zajęła jej miejsce w kawalerce na Rębkowskiej.

„Sted mnie w pewien sposób ukrywał, czy raczej chronił przed większym towarzystwem – opowiadała Danuta. – Nie jeździłam z nim na wieczory autorskie itp. Zostałam oderwana od swojego środowiska, od dawnych przyjaciół. Nie mieliśmy wspólnych znajomych, kiedy się z kimś spotykaliśmy, byli to zawsze znajomi Edka i zwykle dużo ode mnie starsi, co mnie bardzo onieśmiało. Naturalnie i swobodnie czułam się tylko, kiedy byliśmy sami”^[151]].

Stachura miał powody, by ukrywać swoją nową dziewczynę. Romans z 17-letnią panną na pewno nie przysporzyłby mu popularności, tym bardziej że wśród czytelników zdążył się już wykreować na samotnika z wyboru. Niemniej jednak Pawłowska z perspektywy lat uważała ten okres za bardzo szczęśliwy, bo dopiero z czasem wszystko zmieniło się na gorsze. Dziewczyna dorastała, a Sted zaczął zdradzać objawy choroby umysłowej.

„Czułam się dość przytłoczona. To on urządzał mi życie, niedużo miałam do powiedzenia. Byłam cichą, grzeczną towarzyszką i w tej roli trochę siebie tłamsiłam”^[152]].

Na domiar złego Stachury praktycznie nigdy nie było w domu, toteż jej życie zamieniło się w ciągłe oczekiwanie na powrót partnera. Oderwana od swojego toruńskiego środowiska czuła się w stolicy obco, często nie miała nawet z kim porozmawiać. Wreszcie zbuntowała się, wróciła do rodzinnego miasta i rozpoczęła studia. Ostatni raz widziała się ze Stedem na kilka tygodni przed jego śmiercią, już po tragicznym wypadku na torach pod Bednarami.

DROGA W DÓŁ

Pod koniec lata 1974 roku pisarz wyruszył na kilka miesięcy do Stanów Zjednoczonych. Nie był to najlepszy pomysł, bo jak zwykle chciał wędrować samotnie, a w kontaktach przeszkadzała mu słaba znajomość języka. Z drugiej strony znalazł tam jednak ludzi, z którymi rozumiał się bez słów. Często wówczas nocował w komunach hipisowskich. Był to czas zaostrenia obsesji Stachury i pogłębienia się jego izolacji od ludzi. Po powrocie do kraju uznał, że krytycy zmówili się przeciw niemu, i wydaje się, że szczerze wierzył w te swoje urojenia.

„W innym świecie, w którym mnie już dawno nie ma, ktoś mnie znowu plugawi, nie wiedzą, że jestem już od dawna nie-tykalny, nie-dotykalny. Nie można mnie dotknąć ni plugastwem, ni najwyższą pochwałą”^[153]].

Zdarzało mu się przeleżeć cały dzień „jak kawał beznadziejnego złomu”, a czasami wciąż chciało mu się płakać. Niedobrze działo się z psychiką Edwarda Stachury.

Antidotum na czarne myśli stanowiły nieustanne wędrówki – obsesyjnie krążył po kraju, uważając, że tylko wtedy może normalnie funkcjonować. Zaczął zdradzać symptomy klaustrofobii, w zamkniętych pomieszczeniach cierpiął na bezsenność i zdarzało się, że nie potrafił przez 10 godzin zasnąć. Normą stawały się dwie doby bez snu, a rekordem było ponad sześćdziesiąt godzin. Odłączał wówczas telefon i skarżył się, że zaczyna „słyszeć różne odgłosy: wycie psa, poruszanie się drzwi, oddech czyjś, płacz małego dziecka, trzask otwieranego i zamykanego okna”. Czasami uciekał przed swoimi lękami do rodziny.

„Edek przyszedł do nas w piątek – wspominała jego bratowa Janina. – [...] Przyszedł bardzo późno i mówi: »Czy mogę się u was przespać, bo u mnie ktoś jest?«, a nikogo nie było, sprawdziliśmy. U nas przenocował. I rano było tak, [że] w domu została nasza córka, Monika [...] miała osiem lat. Ja zadzwoniłam z pracy, a ona mówi: »Mamusiu, wujek jeszcze śpi. Co ja mam zrobić, bo muszę iść do szkoły?«. Ja mówię: »To zajrzyj do wujka i go obudź«. Ona za chwilę wraca do słuchawki i mówi: »Wujek nie śpi, ale mnie nie słyszy«. Wróciliśmy z pracy, zaprosiłam go na obiad, ale on nie, wstał i wyszedł”^[154]].

Odwiózł ich jeszcze dwa dni później, a wtedy jego brat zauważył, że Sted bardzo głośno oddycha – właściwie było to ciągłe sapanie. Następnego dnia po raz pierwszy usiłował odebrać sobie życie.

MARTA KUCHARSKA

„Dlaczego niektórzy chcą ze mnie zrobić bożyszcze? – dziwił się Stachura na kilka lat przed śmiercią. – Potrzebują? Mało mają tych gwiazd i gwiazdozbiorów? [...] Nikt nie rozumie moich ostrych, zdecydowanych, antygwiazdorskich ripost”^[155]].

Chyba każdy autor lubi popularność, bo stanowi ona potwierdzenie jego talentu. Jednakże Stachurę, mającego coraz większe problemy psychiczne, zaczynał już męczyć kult, którego rozmiarami był zaskoczony. Po śmierci pisarza uwielbienie to przybrało takie rozmiary, że nawet matka Steda pytała zgorszona, „dlaczego oni chcą z Edka zrobić Boga?”

Większość czytelników Stachury zatrzymała się zresztą na jego wcześniejszych, znacznie łatwiejszych w percepcji utworach, nie zajmując się specjalnie jego schyłkową, mroczną twórczością. Postępująca choroba odbiła się bowiem na tematyce utworów Steda, który przestał być człowiekiem ceniącym nieskomplikowane przyjemności i promieniującym radością życia.

Coś zmieniało się również w życiu intymnym Stachury, bo odrzucił on wtedy

monogamię uczuciową, która cechowała go w czasie małżeństwa z Zytą. Wprawdzie w mieszkaniu na Rębkowskiej czekała wierna Danuta Pawłowska, ale pisarz utrzymywał równoległe kontakty z innymi paniami w różnych miejscach kraju.

„Miał łatwość zawierania znajomości – tłumaczył Róžański. [...] Na niego strasznie babki leciały, ponieważ był przystojny. On zresztą skrzętnie to wykorzystywał”^[156].

Do tego był popularnym poetą, prozaikiem i mężczyzną otoczonym legendą samotnika. Czy trzeba było czegoś więcej, by kobiecie serce zaczęło bić mocniej? Zapewne niejedna z pań, które spotykał na swojej drodze, pragnęła stać się jego muzą.

Co prawda wielbicielki pisarza były bardzo mało odporne na „jego chłopięcy wdzięk”, to jednak on nie zawsze to wykorzystywał. Nie z każdą sprzyjającą mu czytelniczką od razu szedł do łóżka, chociaż bywały również i takie przypadki. Ostatecznie był mężczyzną w sile wieku i miał określone potrzeby.

Będąc jeszcze związanym z Danutą Pawłowską, nawiązał romans z Martą Kucharską. Początek był dość typowy, bo 16-letnia dziewczyna z Łowicza wspólnie z koleżanką po prostu wysłała list do swojego ulubionego autora. Odpowiedział dopiero po wielu miesiącach, ale dla Marty i tak było to najważniejszym wydarzeniem w jej dotychczasowym życiu.

„Pamiętam smak tego święta – wspominała po latach. – [...] To było jak wyzwolenie. Zostałyśmy utwierdzone, że idziemy przez życie dobrą ścieżką. Że słusznie czujemy tę niewidzialną przestrzeń koło nas, w której jedyną miarą wartości człowieka jest jego duch i zdolność widzenia poezji w tej niepoetyckiej rzeczywistości. A przecież wszystko jest poezją. Tylko że świat ludzi dorosłych był konsekwentnie przeciwny takiemu widzeniu spraw. I nagle ktoś z tego dorosłego świata mówił takim językiem jak my. Pisał o tym, co nam w duszy grało. Był dorosły, ale zupełnie osobny. Osobny jak każdy z nas”^[157].

Nawiązali stałą korespondencję, która trwała trzy lata. Marta pisała „długie i dopracowane listy, a on przysyłał karteczkę”, którą ona „oczywiście przechowywała jak świętość”. Wreszcie, jesienią 1975 roku spotkali się osobiście. Stachura przysłał do Łowicza utrzymany w jego stylu telegram:

„Przyjadę w okolicy południa albo w samo południe, jeśli tak się wydarzy”^[158].

Wydarzyło się, a wtedy razem pojechali do oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów majątku, w którym urodził się jej ojciec. Chodzili polami, on obejmował ją i w ogóle było tak, jak w jego poezji. A dziewczyna całkowicie straciła dla niego głowę.

Marta nie dostała się na filozofię na Uniwersytet Warszawski, nie chciała

jednak wracać do rodzinnego miasta. Znalazła zatrudnienie jako portierka w Teatrze Rozmaitości, czasami przychodził tam do niej Stachura. Ale to „był tylko przystanek w jego włóczędze przez życie” i dopiero wiele lat później zdała sobie sprawę z faktu, że „była jedną z pięćdziesięciu, może stu”, które „odwiedzał, gdy było mu po drodze”.

Po roku panna Kucharska po raz drugi nie dostała się na filozofię i wtedy wróciła już do Łowicza. Dzięki protekcji kolegi została kierowniczką Gminnego Ośrodka Kultury w Kocierzewie, a potem przeniosła się do Wojewódzkiego Domu Kultury w Skierniewicach.

„Widywaliśmy się czasem zaplanowanie, czasem nie – wspominała. – Wędrował i czasem zatrzymywał się u mnie w drodze [...] czasem spotykaliśmy się gdzieś w Polsce”^[159]].

Czy wiedziała, że w mieszkaniu Stachury mieszkała w tym czasie Pawłowska? Czy też było to jej obojętne, bo zadowalała się chwilami spędzonymi u boku uwielbianego poety?

BEDNARY

Stan psychiczny pisarza systematycznie pogarszał się i w końcu popadł on w głęboką depresję. Przestał w ogóle otwierać przychodzącą korespondencję, nie czytał nawet listów od Ryszarda Malczewskiego-Bruno. Z drugiej strony jednak planował wyjazd na Węgry i prosił swojego tłumacza Istvana Kovácsa o przygotowanie miesięcznego pobytu dla dwóch osób w Szigliget nad Balatonem. Nie wiemy, czy chciał wyjechać z Pawłowską, czy też z Kucharską, wiemy natomiast, że wyjazd ostatecznie nie doszedł do skutku. Wcześniej bowiem wydarzyło się coś, co całkowicie zmieniło życie pisarza.

Zmiany nastrojów Stachury, powracające stany depresyjne oraz prześladowająca go bezsenność wydają się świadczyć, że pisarz od dawna cierpiał na cyklofrenię. Kolejna zapaść psychiczna miała przynieść niezwykle poważne konsekwencje. Rankiem 3 kwietnia 1979 roku wsiadł do pociągu i wyjechał z Warszawy. Marta twierdziła, że jechał do niej, do Łowicza, natomiast matka uważała, że wybierał się do Aleksandrówka na grób ojca. Tego, dokąd się wybierał, już nie ustalimy, wiadomo jednak, że wysiadł z pociągu na jednej ze stacji przed Łowiczem.

„On potem, już w szpitalu opowiadał, że jak jechał tym pociągiem, to od jakiegoś momentu strasznie go wszystko zaczęło drażnić, denerwować, ludzie, ich rozmowy – wspominał Ryszard Stachura – Mówił, że rozsadzało mu głowę i musiał wysiąść”^[160]].

W pobliżu stacji Bednary rzucił się pod pociąg towarowy. Skład poruszał się z niewielką prędkością (około 30 km/h) i maszyniście udało się wyhamować,

pisarz stracił jednak większą część prawej dłoni wraz z czterema palcami.

Stachura twierdził później, że szedł po torach i słyszał nadjeżdżający pociąg, ale „nogi wrosły mu w ziemię” i nie potrafił uskoczyć. Nie było to chyba prawdą i na większą wiarę zasługuje relacja maszynisty, według którego Stachura ewidentnie chciał popełnić samobójstwo.

„[...] on szedł torem bocznym, potem wskoczył. Tylko pierwszy zestaw kół najechał mu na rękę... on się wyrywał i trzymaliśmy go w sześciu, jak wyciągnęliśmy go spod kół, to chciał wskoczyć pod nadjeżdżającą jednostkę. Wszedł mi prosto pod koła, nic nie mogłem zrobić”^[161].

Rannego przewieziono do szpitala w Łowiczu, w którym niebawem pojawili się Marta oraz rodzina pisarza. Podobno to właśnie wtedy Stachura zwrócił się do młodszego brata z pewną bardzo osobistą prośbą.

„Edward podczas pobytu w szpitalu prosił mnie o poradę w sprawie natrętnej znajomej próbującej zmusić go do ślubu – opowiadał Jan Stachura. – Chciał się wyzwolić od jej bezustannego, męczącego towarzystwa”^[162].

Czy chodziło o Martę Kucharską? Niewykluczone, ale warto pamiętać, że jego rodzina nie darzyła dziewczyny sympatią. Po śmierci Steda doszło pomiędzy nimi do otwartego konfliktu, którego przedmiotem były mieszkanie na Rębkowskiej oraz spuścizna literacka po pisarzu.

Zapewne nigdy nie dowiemy się, gdzie zniknęły jego zapiski z miesięcy poprzedzających wypadek pod Bednarami. Notatki prowadził od 1966 roku, zapisywał najważniejsze wydarzenia, refleksje, swoje prywatne opinie. Ktoś jednak zadbał o to, by osobista relacja Stachury ma temat wydarzeń poprzedzających jego próbę samobójczą nie ujrzała światła dziennego. W efekcie nie wiemy, co sądził o rozstaniu z Danutą Pawłowską i kim tak naprawdę była dla niego Marta Kucharska.

Czy notatki Steda zabrała jego rodzina, czy też znalazły się one w posiadaniu Marty? A może pisarz sam zniszczył je przed śmiercią? Kolejna tajemnica...

ŚMIERĆ POETY

Po wyjściu ze szpitala w Łowiczu Stachura trafił na własną prośbę do szpitala psychiatrycznego w Drewnicy koło Warszawy. Początkowo umieszczono go w izolatce, a następnie przeniesiono na zwykłą salę i zastosowano leki przeciwpsychotyczne. Kiedy odwiedzali go znajomi, sprawiał wrażenie, że dochodzi do równowagi umysłowej, jednak z drugiej strony dość dziwnie zareagował na informację o śmierci Milczewskiego-Bruna. Powiedział tylko, że przyjaciel jest już wolny...

Niewykluczone, że lekarze niewłaściwie dobrali środki farmakologiczne, na dłuższą metę kuracja nie przynosiła bowiem poprawy.

„Zażywam lekarstwa i ciężko mi się skupić, ciężko mi zebrać myśli. Lekarstwa działają otępiająco i nasennie. To chyba celowe. Przypuszczalnie nie ma dobrego lekarstwa na tę najbardziej tajemniczą z chorób”^[163]].

Podobno o poradę w tej sprawie zwrócił się do jednej z lekarek w Drewnicy, ale ona „nie czuła się na siłach, aby mu pomóc”! Doprawdy, zadziwiające wyznanie jak na lekarza psychiatrę...

Sted opuścił szpital i przez kilka tygodni przebywał u matki na Kujawach. Odwiedzali go tam znajomi, pojawiała się również Marta. Uczył się pisać lewą ręką i wydawało się, że jego stan ulega poprawie, co zresztą potwierdzili lekarze podczas badań kontrolnych w Drewnicy.

Na początku lipca Stachura przyjechał do Warszawy i zamieszkał razem z Martą Kucharską. Dziewczyna zamierzała dzielić z nim życie, nie wiadomo jednak, czy zdawała sobie sprawę z prawdziwego stanu psychicznego partnera.

„Od wczoraj w Warszawie – zanotował pisarz 10 lipca. – W domu na Rębkowskiej zacieki na ścianach w kuchni. Kurzu pełno, pajęczyny. Marta sprząta. We dwoje poradzilibyśmy sobie szybko. Aleja, z jedną ręką, co mogę zrobić? Przeszkadzam tylko”^[164]].

Dziesięć dni później spotkał się na obiedzie z Zytą i Waldemarem Tkaczukiem, a po południu w towarzystwie przyjaciela Ziemowita Feddeckiego pojechał do Drewnicy. Ponownie prosił lekarzy o zmianę lekarstw i zgodnie z ich zaleceniami postanowił zostać w szpitalu.

Nie został jednak na długo, bo już następnego dnia uciekł z placówki i zamknął się w domu. W szpitalu nie od razu zauważono jego nieobecność i dopiero nazajutrz powiadomiono znajomych i rodzinę. I wówczas nastąpiło coś zupełnie niezrozumiałego, bo podobno intensywnie go poszukiwano, ale nikt nie pofatygował się do jego mieszkania. A przecież wszyscy doskonale wiedzieli, że jest w depresji i że prześladują go myśli samobójcze. Tymczasem bliscy zachowywali się tak, jakby chcieli mu ułatwić realizację tragicznej decyzji...

24 lipca, po trzech dniach pobytu na Rębkowskiej, Stachura zaczął pisać wiersz (*List do pozostałych*), po czym zażył ogromną dawkę leków przeciwpsychotycznych. Nie dokończył wiersza, usiłował podciąć sobie żyły nożem kuchennym, ale ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu. Stał na taborecie i włożył głowę w pętlę sznura umocowanego do haka żyrandola. Był jednak już zbyt oszołomiony, by wytrącić spod siebie taboret i w efekcie udusił się w pozycji półwiszącej. Martwego już pisarza odnaleźli Zyta, Waldemar Tkaczuk i Marta Kucharska.

„OSTATNIA NARZECZONA”

Pogrzeb odbył się cztery dni później, a zaraz potem rozpoczęła się wojna

między Martą a rodziną Steda. Stachurowie pozwolili Kucharskiej przebywać na Rębkowskiej jeszcze tylko przez tydzień, ta jednak zajmowała mieszkanie przez prawie rok. Tłumaczyła to potrzebą uporządkowania rękopisów pisarza i to właśnie tej pracy zawdzięczamy ostatni tom słynnego „dżinsowego” pięcioksięgu wydanego w 1982 roku (*Fabuła rasa. Z wypowiedzi rozproszonych*). Tymczasem według rodziny Steda Kucharska miała być sprytną intrygantką, która chciała zawłaszczyć mieszkanie i pamiątki po pisarzu.

„[Jan Stachura] przychodził z milicją – wspominała Marta. – [...] Zaczęły się nękania, naciski, żebym się wyprowadziła i oddała im klucze. Ja musiałam uporządkować papiery. To wszystko przecież by zginęło. Efektem tej pracy był piąty tom, który z Rutkowskim składaliśmy na Rębkowskiej z tych papierków. Jak już było gotowe, wyprowadziłam się bez awantur. Zrobili mi kolegium za włamanie się do domu. Przestraszona stanęłam przed kolegium, wyjaśniłam i odstąpiono od tej sprawy. Wcześniej zaczęli mi przysyłać mamę Edka pod drzwi. Pukała i wołała: »Proszę mnie wpuścić do mieszkania mojego syna!«”^[165]].

Część papierów po pisarzu spaliła jego matka w Aleksandrówku. Podobno niektóre z nich wynieśli z mieszkania przy Rębkowskiej ludzie odwiedzający Martę po śmierci Steda. Tak przynajmniej twierdził Jan Stachura, ale do jego opinii należy podchodzić bardzo ostrożnie, gdyż młodszy brat pisarza sam usiłował przejąć spuściznę po Edwardzie. Głośno też protestował, gdy Kucharska przekazała posiadaną dokumentację do Muzeum Literatury.

„Myśmy mieli przeboje z jednym z braci Stachury, który za wszelką cenę próbował odebrać nam ofiarowane przez Kucharską dzienniki – potwierdzał Tadeusz Januszewski, kierownik Działu Rękopisów tej placówki”^[166]].

Marta wiedziała, że niewiele znaczyła dla Stachury, bo gdyby „ją kochał, to nie zabiłby się”. Ale chyba odnalazła się w roli „niedoszłej wdowy” po pisarzu, bo zawsze i konsekwentnie twierdziła, że mieli się pobrać. Jednak po śmierci „niedoszłego męża” miała 25 lat i musiała zrobić coś ze swoim życiem.

Trafiła do dziwnej komuny zajmującej mieszkanie przy ulicy Capri na warszawskich Stegnach. Dużo tam było alkoholu i innych używek, natomiast z reguły brakowało pieniędzy. Radzono z tym sobie na różne sposoby.

„Wszyscy od wszystkich pożyczali – relacjonował Wojciech Tochman. – Ktoś zarobił na winobranii we Francji, ktoś coś zrobił i sprzedał. Jedni malowali obrazy, inni nawlekali na żyłkę kolorowe koraliki, szyli szelki, robili na drutach. Ludzie wzajemnie się odwiedzali, pili wódkę i rozprawiali o tym, czy dzieci warto wychowywać na uczciwych ludzi, czy nie, bo sobie w życiu nie poradzą”^[167]].

Z pomocą Marcie przyszedł przypadek, poznała bowiem poetkę Barbarę Sadowską, która doskonale pamiętała Steda z czasów Hybryd. Jej mieszkanie na

Hibnera w Warszawie było niemal bez przerwy okupowane przez opozycjonistów, trwał właśnie stan wojenny. Obie panie zbliżyły się do siebie i to właśnie Sadowska nazwała Martę „ostatnią narzeczoną” Stachury.

„Dwa ciasne pokoje ze ślepą kuchnią – kontynuował Wojciech Tochman. – Gospodyni lubiła się napić i miała serce miękkie dla chłopaków. [...] Dniem i nocą mieszkanie przy Hibnera było pełne hutników, mechaników, ślusarzy, księży z gór albo znad morza, nastolatków, poetów i tych, którzy chcieli być poetami. Każdy mógł tam wejść, zjeść, wyspać się i liczyć na pomoc. A więc i Marta tam nocowała. Kochała gospodynię, gospodyni rozumiała jej biedę”^[168].

Kucharska próbowała swoich sił w literaturze – zadebiutowała w rok po śmierci Stachury, a później publikowała wiersze, opowiadania i reportaże na łamach „Twórczości”, „Poezji”, „Zapisu” i „Tygodnika Kulturalnego”. Będąc stałym gościem w mieszkaniu przy Hibnera, polubiła też nastoletniego syna przyjaciółki, Grzegorza Przemyka. Podarowała mu nawet chlebak Stachury i wówczas nie przyszło jej do głowy, że rzeczy po samobójcy podobno nie przynoszą szczęścia. W maju 1983 roku chłopak został zakatowany przez milicję, a trzy lata później zmarła na chorobę nowotworową jego matka.

Po upadku komunizmu Kucharska zaczęła pracować w biurze poselskim Jacka Kuronia. Była też współautorką jego książki *Gwiezdny czas*. Podobno wyjątkowo drogo sobie za nią policzyła, czemu po latach wcale nie zaprzecza. Wydała również wybór listów *Kuroń, ty draniu!* i nadal publikowała w prasie.

Coraz gorzej było natomiast z jej zdrowiem – zachorowała na gościec i z tego powodu przeszła poważną operację rąk. I gdy miała już dość Warszawy, za honoraria autorskie kupiła dom w Michałowku koło Łowicza. Osiadła tam na stałe, wzięła jednak udział w realizacji kilku projektów związanych ze Stachurą.

Gdy w 1999 roku „ostatnią narzeczoną” Steda odwiedził Krzysztof Tochman, był zaskoczony zarówno otoczeniem, jak i prezencją samej Kucharskiej. Dom wyglądał na zrujnowany, obok straszył porzewiały wrak volkswagena, podwórko było mocno zaniedbane. Właścicielka mieszkała samotnie, jeżeli nie liczyć trzech kotów i starego psa. Jednocześnie uważała, że wreszcie znalazła spokój, co mocno podkreślała w rozmowie z dziennikarzem.

„Marta często przekonuje, że spokój jest wartością najwyższą, celem życia – pisał Tochman. – Osiągnęła go, zapewnia. Ma czterdzieści pięć lat, rude włosy ostrzyżone na jeża, oczy brązowe i figlarne, dłonie jakieś dziwne. Trzyma w nich puszkę piwa Warka Strong. Jest rencistką. Stać ją tylko na tę jedną puszkę raz na tydzień, więc nawet gdyby chciała się upić – nie bardzo majak. A poza tym swoje już w życiu wypić”^[169].

Niezależnie od tego, co sądzi się na temat roli i znaczenia Marty Kucharskiej w ostatnim okresie życia Edwarda Stachury, nie sposób nie docenić jej wysiłków

na rzecz zachowania i udostępnienia spuścizny po nim. Wypada też zauważyć, że „niedoszła wdowa”, w odróżnieniu od swojego partnera, potrafiła odnaleźć spokój jeszcze za swojego ziemskiego życia...



ROZDZIAŁ 4

Aktorka największych nadziei





„Podczas rozmowy z Teresą Tuszyńską czuło się, że to jest ktoś, kto interesuje się nie tylko swoim wyglądem. Robiła wrażenie, że nie zwraca uwagi na to, jak wygląda. Oczywiście dokładnie kontrolowała absolutnie wszystko. Doskonale porozumiewała się i z kostiumologami, i z

kostiumolożkami. Wiedziała, o co jej chodzi. Wyglądała zawsze świetnie. Obojętnie, czy w słońcu, czy na kortach, czy nad morzem, czy wśród budynków”

Wowo Bielicki

DZIEWCZYNA Z WOLI

Teresa Tuszyńska, przyszła gwiazda polskiego kina, miała poważne problemy z nauką, a edukację na poziomie podstawowym pobierała w aż trzech różnych placówkach. Przez półtora roku była uczennicą szkoły z internatem sióstr felicjanek w podwarszawskim Wawrze, zakonnice uznały ją jednak za „zbyt żywiołową”, w związku z czym została przeniesiona do podobnej placówki na warszawskim Powiślu. Tam również nie poradzono sobie z energiczną dziewczynką, która ostatecznie ukończyła zwykłą szkołę podstawową przy ulicy Ożarowskiej.

Teresa była jednym z trojga dzieci Janiny i Andrzeja Tuszyńskich, właścicieli sklepu mięsnego na Woli. Od najmłodszych lat sprawiała kłopoty wychowawcze, co spotykało się z dezaprobatą jej surowych i konserwatywnych rodziców. W przyszłości miało to zaowocować konfliktem dziewczyny z matką, pani Janina uznała bowiem pozowanie nastoletniej córki do zdjęć ukazujących się na okładkach czasopism za rodzaj prostytucji...

Rodzice jednak nie protestowali, gdy po ukończeniu szkoły podstawowej podjęła edukację w Państwowym Liceum Techniki Teatralnej. Szkoła uchodziła za elitarną, przygotowywano w niej do zawodów związanych z obsługą przedstawień teatralnych, a uzyskany w niej dyplom nie stanowił przepustki na samą scenę.

Niestety, po raz kolejny dał o sobie znać trudny charakter Teresy, która po roku nauki została relegowana ze szkoły. Zdecydowały o tym liczne nieobecności, siedem (!) ocen niedostatecznych na koniec pierwszej klasy i niewłaściwe zachowanie po zajęciach lekcyjnych.

„Kilkakrotnie jeździłem z nią do »Stodoły« lub do »Hybryd« na Mokotowską – wspominał jej starszy brat Bogdan. – Mama chciała, żeby późno wracając, miała jakąś ochronę. Ale jak to młodzi ludzie, na zabawie chodziłem swoimi drogami, a ona swoimi. Często bawiła się w »Stodole«, tańczyła z Heniem Melomanem”[¹⁷⁰].

Stodoła była w tamtych latach jednym z dwóch miejsc w stolicy, gdzie organizowano taneczne imprezy przy zachodniej, granej na żywo muzyce. Odbywały się tam również koncerty jazzu tradycyjnego i działał znakomity kabaret, w efekcie lokal cieszył się ogromnym uznaniem wśród młodzieży. Teresa nie miała problemów z wejściem na salę, albowiem była bardzo wysoka, urodziwa i wyglądała nad wiek poważnie. I już wtedy przejawiała dużą skłonność do znacznie starszych od siebie mężczyzn.

PIERWSZA SESJA

Zmiany polityczne po śmierci Stalina spowodowały, że z okładek czasopism zniknęły dzielne przodownice pracy, a dziewczęta już oficjalnie mogły oddawać się marzeniom o karierze gwiazdy filmowej. Tygodnik „Film” ogłosił konkurs „Piękne dziewczęta na ekrany!”, krakowski „Przekrój” zaś zainicjował akcję „Dziewczyny z okładek trafiają na ekran”. Efekty były znakomite, zwyciężczynią konkursu „Filmu” w 1959 roku została 17-letnia Ewa Wiśniewska, natomiast rok wcześniej na okładce „Przekroju” pojawiła się maturzystka Beata Tyszkiewicz. Z kolei zdjęcie z okładki „Dookoła Świata” stało się przepustką do kariery dla Poli Raksy.

Poszukiwanie nowych talentów było wspólną inicjatywą dziennikarzy i filmowców, polskie kino cierpiało bowiem na brak młodych aktorek. Władze szkół aktorskich zakazywały studentkom grania w filmach, natomiast aktorki teatralne raziły filmowców sceniczną manierą. W cenie były utalentowane amatorki, toteż w komisjach konkursowych chętnie zasiadali przedstawiciele kinematografii poszukujący kandydatek do pracy na planie filmowym.

O losie Teresy Tuszyńskiej zadecydowało jej spotkanie z fotografem Andrzejem Wiernickim, którego poznała podczas balu karnawałowego w Stodole.

„Pracowałem w »Expressie Wieczornym« – wspominał Wiernicki. – Zostałem wysłany służbowo do »Stodoły«, na Emilii Plater, aby obfotografować coraz głośniejszy kabaret. No i wsiąknę” [171].

Podczas jednej z imprez karnawałowych fotograf pojawił się tam prywatnie i właśnie wówczas wypatrzył Teresę. Nie mógł jej zresztą nie zauważyć, bo niespełna 16-letnia dziewczyna została wybrana Królową Balu i Miss Stodoły. Takiej okazji rasowy fotograf nie mógł zmarnować.

„Piękna, wysoka – wspominał po latach. – Niesłychanie zgrabna. Co za uroda! Jeden z kabareciarzy, pseudonim Długi, zaczął z nią tańczyć. Był bardzo wysoki. Ona miała metr siedemdziesiąt pięć, a do tego jeszcze buty na obcasach. [...] Miałem aparat fotograficzny, zrobiłem jej parę ujęć. Zacząłem ją namawiać na sesję w moim studiu. Z wielkimi oporami, ale zgodziła się” [172].

Sesja zorganizowana przez Wiernickiego stała się dla Teresy przepustką do kariery. Zdjęcia wypadły znakomicie, dziewczyna okazała się bardzo fotogeniczna, a do tego posiadała rzadką umiejętność naturalnego zachowania przed obiektywem.

„Gdy ją zobaczyłem w »Stodole«, uderzyła mnie jej uroda. Ale nic więcej. Dopiero w atelier, kiedy ta nastolatka zaczęła mi ustawiać się do zdjęć jak profesjonalistka – zauważyłem, że ona do tego ma jakiś wrodzony talent” [173].

Wiernicki współpracował z „Kobietą i Życiem” oraz „Zwierciadłem”, a były to wówczas czasopisma ekskluzywne i opiniotwórcze. Redakcja pierwszego z

nich zainteresowała się zdjęciami Tuszyńskiej i fotografia dziewczyny trafiła na okładkę wielkanocnego numeru pisma.

Był to ogromny sukces, jednak rodzina Teresy przyjęła ten fakt z oburzeniem. Matka dziewczyny pojawiła się nawet w domu fotografa, grożąc konsekwencjami prawnymi, ale ostatecznie zrezygnowała z protestów. Niebawem zresztą miało się okazać, że sprawa nie zakończy się na publikacji tego jednego zdjęcia.

Kolejna sesja zaowocowała bowiem następną okładką, a fotografia Teresy ukazała się również w „Zwierciadle”. Wiernicki ponadto wysłał swoje prace na konkurs zorganizowany przez „Przekrój”, uważając, że jego podopieczna ma duże szanse na zwycięstwo.

„Uznałem, że naprawdę nadaje się na aktorkę – wspominał fotograf. – Była piękna, wiedziała, jak się ustawić, jak się ubrać, jak poruszać ustami, gdzie skierować wzrok. Można było nic nie mówić, wiedziała wszystko. A przecież była wówczas 16-letnią uczennicą. Nie skończyła żadnej szkoły w tym kierunku”^[174]

l.

Pierwszą nagrodę w konkursie stanowiła rola w jednym z nowych polskich filmów, nic zatem dziwnego, że nadeszło ponad tysiąc zgłoszeń. Kandydatki miały być w wieku od 17 do 23 lat, wskazane było posiadanie matury lub przynajmniej nauka w szkole średniej. Do dalszego etapu zakwalifikowano 28 dziewcząt, a podczas finałowej rozgrywki oceniano ich fotogeniczność oraz talent aktorski.

Bezapelacyjnie wygrała Teresa, choć właściwie nie spełniała warunków konkursu. Nie miała jeszcze 17 lat i niedawno została usunięta ze szkoły. Jednak członkowie jury zauważyli, że mają przed sobą prawdziwy brylant, i uznali, że takie sprawy jak wiek czy wykształcenie są drobiazgami bez większego znaczenia.

NIEUDANY DEBIUT

Tuszyńska miała zagrać w nowym filmie Jana Rybkowskiego *Ostatni strzał*. Była to propagandowa opowieść o tym, jak były dowódca oddziału antykomunistycznego próbował zemścić się na dzielnym funkcjonariuszu Milicji Obywatelskiej. Film kręcono w plenerach Augustowa, a Tuszyńska obok innych finalistek konkursu miała wystąpić w drobnym epizodzie. W jednym z numerów „Przekroju” ukazał się reportaż z planu, który zbulwersował redaktora Jerzego Hańbowskiego z „Panoramy Północy”.

„Dziewczęta rzeczywiście grają – pisał dziennikarz – ale... tłum wczasowiczów na planie – pobierają przy tym gażę tysiąca złotych plus utrzymanie – co wydaje się nam szokująco wysokim uposażeniem. Nie gra tylko

i prawdopodobnie nie będzie grała młodziutka, bardzo utalentowana Teresa Tuszyńska, która na zdjęciach w Łodzi wypadła rewelacyjnie”^[175]].

Teresa faktycznie zniknęła z planu i podobno uczyniła to bez zgody ekipy filmowej. Nie znamy przyczyn tego wydarzenia, ale warto pamiętać, że dziewczyna nie miała jeszcze 17 lat i od kilku tygodni przebywała w obcym dla siebie środowisku. Tak więc jej niedojrzałe zachowanie nie powinno specjalnie zaskakiwać.

Artykuł nie pozostał bez echa, bo kilka tygodni później pojawiła się polemika pióra Anatola Kobylińskiego, członka ekipy filmowej.

„Obawiam się, że pan Hańbowski, broniąc Tuszyńskiej, wyświadczył jej tak zwaną »niedźwiedzią przysługę«. Nie mieliśmy zamiaru publicznie wytykać jej błędów, ale skoro sprawa ta została już poruszona, gwoli prawdzie należy ją do końca wyjaśnić. Wbrew temu, co twierdził pan Hańbowski, Tuszyńska grała w *Ostatnim strzale* jeden z epizodów [...] i jeżeli nie została do końca w ekipie, to wyłącznie z własnej winy, gdyż wyjechała z Augustowa bez wiedzy Kierownictwa Produkcji, co sprzeczne jest z warunkami podpisanego kontraktu”^[176]].

Przy okazji wytknięto Tuszyńskiej sprawę usunięcia jej ze szkoły, a tego rodzaju argumenty zawsze trafiały do przekonania dużej grupy czytelników. Z drugiej jednak strony Kobyliński nie zaprzeczał, że Tuszyńska posiada prawdziwy talent i po uporządkowaniu spraw edukacyjnych zapewne powróci przed kamerę...

„[...] Teresa Tuszyńska powinna przede wszystkim zdać maturę, a z czasem, gdy wykaże się zdolnościami i poważnym stosunkiem do pracy, przypuszczam, że nie będzie miała trudności przy powtórnej próbie startu w filmie”^[177]].

Nie znamy bliższych szczegółów zajścia w Augustowie, jednak wydaje się, że Teresa weszła w konflikt z jedną z zawodowych aktorek. Podobno pojawiły się pretensje, że jest zbyt młoda i nie ma ukończonej szkoły teatralnej. W efekcie Tuszyńska, „jak to czasami między kobietami bywa, poczuła się zraniona” i bez słowa „uciekła z planu”.

Inna sprawa, że film Rybkowskiego okazał się wyjątkowo nieudaną produkcją, a jedyne, co było godne zauważenia, to ładne plenery i krótkie epizody z dziewczynami z „Przekroju”. Powszechnie również żałowano, że reżyser nie dał im więcej zagrać.

„Prasa pisała jednogłośnie niemal, że film słaby – mówił filmoznawca Krzysztof Trojanowski – ale dziewczyny sprostały zadaniu; owszem, wyżywają się aktorsko przy jedzeniu zupy. Dziennikarze zarzucają także Rybkowskiemu, że zbyt mało je wykorzystał, że pochował”^[178]].

BIAŁY NIEDŹWIEDŹ

Afera na planie filmu Rybkowskiego nie zaszkodziła Tuszyńskiej i Jan Zarzycki, przystępując do realizacji *Białego niedźwiedzia*, powierzył jej główną rolę kobiecą. Miała zagrać u boku samego Gustawa Holoubka i niestychanie popularnego po *Popiele i diamentach* Adama Pawlikowskiego.

„Nie jedynie zewnętrzne walory – mówiła Tuszyńska w wywiadzie dla »Wiadomości Filmowych« – [...] zdecydowały o mojej pierwszej roli. Gra w filmie wymaga poważniejszych kwalifikacji. Nim powierzono mi rolę w *Białym niedźwiedziu*, musiałam zagrać przed obiektywem ileś najróżniejszych scen. Była to właściwa próba moich zdolności, umiejętności skupienia się, możliwości odtwarzania poszczególnych cech różnych postaci”^[179].

Wydaje się jednak, że casting był tylko formalnością. Teresa była dziewczyną o niezwykłej urodzie, posiadała również niezaprzeczalny talent aktorski. Wielkim atutem były także jej zdjęcia na okładkach „Przekroju” oraz „Kobiety i Życia” – udział Tuszyńskiej w danej produkcji automatycznie zwiększał zainteresowanie filmem. Mimo to Teresa bardzo przeżywała próbne zdjęcia.

„Miałam wiele rywalek – opowiadała. – Na pierwszy ogień kazano mi zagrać bardzo zdenerwowaną dziewczynę, nie umiejącą już zapanować nad sobą, płaczącą. Byłam tak przerażona i stremowana, że naprawdę nie mogłam się zupełnie opanować i... wybuchłam płaczem. Właśnie okazało się, że zagranie tej sceny wypadło bardzo naturalnie, a była to najtrudniejsza scena ze zleconych mi prób”^[180].

Film miał interesującą fabułę opartą na prawdziwych wydarzeniach z czasów okupacji, a rola Tuszyńskiej umożliwiła jej wykazanie się umiejętnościami. Ta dziewczyna naprawdę miała duży talent aktorski i nie zginęła na tle bardziej doświadczonych kolegów.

„Obraz jest opowieścią o losie żydowskiego chłopca, który asystując zakopiańskiemu fotografowi ulicznemu, ukrywał się przed Niemcami w skórze niedźwiedzia – pisano na łamach »Przekroju«. – Wątek tej noweli [Roberta] Azderballa zaczerpnięty został z autentycznego zdarzenia. [...] Aby pracą w filmie nie przerywać przygotowań do matury, Tuszyńska bierze ze sobą do Zakopanego całą walizkę podręczników”^[181].

W rzeczywistości Teresa wcale nie myślała o nauce – nie była uczennicą żadnej szkoły i nie zaprzętała sobie głowy maturą. Jednak taka informacja była konieczna, bo czytelnicy nie mogli się przecież dowiedzieć, że aktorka zakończyła edukację na szkole podstawowej.

Ekipa przyjęła ją bardzo ciepło, a szczególne zainteresowanie okazywał jej Pawlikowski. Aktora nie zraziła znaczna różnica wieku (15 lat), toteż niebawem

nawiązali romans, który miał trwać przez wiele lat.

„Ona, jak wszyscy zgodnie podkreślali, czaruje na ekranie – pisał dziennikarz Jacek Kowalski. – No, po prostu daje radę. Są tam długie sceny z monologiem partnera – ona musi słuchać i emocje przekazywać twarzą. Gra mimiką, spojrzeniem, uśmiechem. Potrafiła partnerować Holoubkowi [...]. Sprawdziła się”^[182].

Kariera Teresy nabrała rozpędu. Dziewczyna wygrała konkurs najważniejszego polskiego tygodnika, zagrała u boku uznanych sław aktorskich. Niebawem też została najważniejszą modelką Mody Polskiej, a tysiące polskich dziewcząt uznały ją za symbol życiowego sukcesu.

MODA POLSKA

Niewiele już osób pamięta, jaką rolę w epoce PRL odgrywały przedsiębiorstwo Moda Polska i jej dyrektorka Jadwiga Grabowska. Kolekcje tej firmy, w których czuło się powiew zachodniej elegancji, wzbudzały prawdziwą sensację, a krótkie serie ubiorów były marzeniem większości kobiet w Polsce.

Tuż po zakończeniu wojny Grabowska prowadziła w Warszawie Dom Mody „Feniks”, gdzie ubierały się żony i córki dygnitarzy partyjnych. Nie ocaliło to jednak przedsiębiorstwa, które w ramach tak zwanej „bitwy o handel” zostało zlikwidowane. Pani Jadwiga jednak nie zrezygnowała – spokojnie czekała na sprzyjającą okazję, a ta nadeszła w 1957 roku.

„[...] razem ze znajomą Marią Borowską – wspominał projektant Jerzy Antkowiak – [...] jeździły do NRD na Targi Lipskie i coś tam próbowały kupować, załatwiać. I któregoś razu wróciły, poszły do Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i powiedziały, że na Targach Lipskich oczekują polskiej mody, że chcą tam promować polską firmę, tylko trzeba taką firmę założyć. I tak powstało Biuro Mody do Współpracy z Targami Lipskimi”^[183].

Rok później utworzono Modę Polską z panią Jadwigą jako dyrektorem artystycznym. Grabowska regularnie jeździła na Zachód, znała kilka obcych języków i była w doskonałych stosunkach z tamtejszymi projektantami. Przeszczepiała na polski grunt najnowsze zachodnie pomysły, miała przy tym znakomite wyczucie koniunktury. Po pierwszym paryskim koncercie Beatlesów wiedziała już, że ten zespół zdobędzie światową sławę.

„Wróciła – wspominał Antkowiak – wezwała mnie do siebie i orzekła: – Jureczku, przeczeszesz się. Teraz będziesz nosił grzywkę i zapuścisz baki, a potem nałożysz wysoko zapiętą marynarkę. Gdyż młodzi mężczyźni będą się nosić tak jak ta czwórka z Liverpoolu”^[184].

Dwa razy w roku Moda Polska przygotowywała tak zwane kolekcje wiodące,

uważane za zalecenia dla krajowych firm krawieckich. Pomysłów Grabowskiej nie traktowano jednak dosłownie, bo większość krajowych producentów nie mogła sobie pozwolić na luksus importu dewizowych tkanin i materiałów.

„To było zawsze bardzo elitarne – wspominała Barbara Hoff. – Pokazy tylko na zaproszenia, krawcowe bardzo starały się tam dostać ciekawe krojów, bo wtedy żurnale nie dochodziły. Potem dyskutowało się o tym”^[185]].

Firma pani Jadwigi potrzebowała efektownych modelek, w związku z czym na łamach prasy regularnie pojawiały się ogłoszenia o naborze. Dla dziewcząt z całego kraju była to szansa na odmianę życia i poznanie lepszego świata.

„Modelka »Mody Polskiej« pracowała 4 godziny dziennie – wyjaśniał biograf Tuszyńskiej, Mirosław J. Nowik – w tym czasie trwały przymiarki, projektanci i styliści realizowali swoje projekty. Podstawowe wynagrodzenie wynosiło 1000 złotych. Każdy pokaz krajowy był wynagradzany kwotą 300 złotych. Pokazy te odbywały się zwykle trzy-cztery razy do roku po przygotowaniu kolekcji, zwykle wiosenno-letnich i jesienno-zimowych”^[186]].

Do tego dochodziły jeszcze dobrze płatne wyjazdy zagraniczne, a praca na wybiegu mogła przynieść propozycję z filmu lub korzystną ofertę matrymonialną. I to niekoniecznie od krajowego wielbiciela. Dlatego też nigdy nie narzekano na brak kandydatek na modelki. Jednak w przypadku Tuszyńskiej to sama Grabowska zabiegała o podpisanie kontraktu. Pośrednikiem był oczywiście niezawodny Wiernicki.

„Na którymś pokazie pani Grabowska zagadnęła mnie:

– Słuchaj, fotografujesz tyle rozmaitych dziewczyn. Nie masz kogoś odpowiedniego do mojego zespołu?

– Mam – odpowiedziałem. – Już ją znacie. To początkująca aktorka. Grała z Holoubkiem w *Białym niedźwiedziu*.

Skończyło się na tym, że Teresa przyszła do Grabowskiej. I wszyscy wpadli w zachwyty. U Jadwigi Grabowskiej było masę równie pięknych dziewczyn, ale ona mimo wszystko wyróżniała się. Była zjawiskiem. Fantastyczna”^[187]].

Doszło do wydarzenia bez precedensu w dziejach firmy, bo pani Jadwiga, która potrafiła rzucać popielniczkami w dyrektorów i ministrów, osobiście pofatygowała się do matki kandydatki na modelkę. Poprosiła ją o zgodę na pracę córki na wybiegu, nie przejęła się również faktem, że Teresa ma tylko podstawowe wykształcenie (dotychczas przyjmowano do pracy dziewczyny po maturze). A wszystko to dlatego, że Tuszyńska rzeczywiście była wyjątkowa.

„Podczas pierwszej rozmowy i każdej następnej czuło się, że to jest ktoś – wspominał Wowo Bielicki. – Ktoś, kto interesuje się nie tylko swoim wyglądem. Robiła wrażenie, że nie zwraca uwagi na to, jak wygląda. Oczywiście dokładnie kontrolowała absolutnie wszystko. Doskonale porozumiewała się i z

kostiumologami, i z kostiumolożkami. Wiedziała, o co jej chodzi. Wyglądała zawsze świetnie. Ubrana i doskonale ucharakteryzowana. Obojętnie, czy w słońcu, czy na kortach, czy nad morzem, czy wśród budynków”[188].

Teresa zaczęła pracować jako modelka i szybko stała się ulubienicą szefowej. Nie zapomniała jednak o filmie i gdy tylko pojawiła się interesująca propozycja, natychmiast ją przyjęła. Przeczucie jej nie myliło, bo rola, którą zaproponowali jej Janusz Morgenstern i Zbyszek Cybulski, uczyniła z niej gwiazdę pierwszej wielkości.

„Praca w każdym filmie – opowiadała Tuszyńska – to kawałek życia, innego życia. Ciężka, wyczerpująca praca, po kilkanaście godzin dziennie, gra wywołuje wzruszenia, których nie da się zapomnieć z dnia na dzień. [...] Gdy zaproponowano mi rolę w *Do widzenia*, miałam właśnie jako modelka wyjechać do trzech krajów. Mając paszport w kieszeni, rzuciłam natychmiast tę nęcącą propozycję i zdecydowałam się na film”[189].

MARGUERITTE

Był to debiut reżyserski Janusza Morgensterna, a scenariusz przygotował osobiście Zbyszek Cybulski (ze względów formalnych jako autorów dopisano jeszcze Bogumiła Kobielię i Wilhelma Macha). Postać, w którą wcieliła się Tuszyńska, była inspirowana osobą 18-letniej Françoise Buron.

„Prototypem tej postaci była dziewczyna, która mieszkała wówczas w Polsce – wspominał Morgenstern. – Córka dyplomaty, konsula francuskiego. Siedziba konsulatu mieściła się wtedy w Sopocie. Na stałe mieszkała w Paryżu. Jej obecność w Trójmieście, w tamtych czasach, stanowiła ewenement nie z tej ziemi. Szczyty Zachodu”[190].

Ojciec Françoise objął stanowisko konsula w 1956 roku, ale dziewczyna na co dzień mieszkała w Wiedniu, gdzie uczyła się w liceum francuskim, a do Trójmiasta przyjeżdżała na wakacje i święta. Pewnego dnia trafiła tam na przedstawienie kabaretu Bim-Bom i od tej pory regularnie brała udział w próbach zespołu.

Połączył ją flirt ze Zbyszkiem Cybulskim, który przez pewien czas pozostawał pod jej urokiem. Ale ich znajomość nie miała przyszłości, toteż pewnego dnia dziewczyna zniknęła z Trójmiasta, aby więcej się już tam nie pojawić.

Do widzenia, do jutra był pierwszym powojennym filmem poświęconym wyłącznie sprawom młodzieży i o kilka miesięcy wyprzedził *Niewinnych czarodziejów* Wajdy. Wydaje się też, że lepiej zniósł próbę czasu, bo jest po prostu piękną opowieścią o miłości.

„Nie ma w nim odwołań do okupacji i historii – potwierdzał krytyk Janusz Wróblewski – są natomiast obrazki życia codziennego studenckiej bohemy, marzącej o lepszym życiu i nieosiągalnej w peerelowskiej rzeczywistości pełni szczęścia”[191].

Film *Morgenstern* jest również subtelniejszy od filmu *Wajdy* – nie ma w nim cynizmu ani gry pozorów. To reporterski zapis z poszukiwań idealnego uczucia, którego nie można osiągnąć.

„Robimy film o miłości – tłumaczył reżyser – gatunek raczej nieznan w naszej dzisiejszej kinematografii i przez to trudny, zwłaszcza w uchwyceniu specyficznego, lirycznego tematu. Chcemy pokazać, że między młodymi ludźmi może się wywiązać uczucie szlachetne, czyste, że nasza młodzież nie jest tak zepsuta i cyniczna – jak się powszechnie sądzi”[192].

Podczas zdjęć reżyser zdecydował się też na rozwiązanie, które na zawsze zapewniło mu miejsce w dziejach polskiej kultury. Włączył do filmu fragmenty przedstawień kabaretu *Bim-Bom* oraz studenckiego Teatru *Rąk „Co To”* i tym samym przekazał następnym pokoleniom jedyne zachowane zapisy występów tych legendarnych zespołów.

Natomiast inna reżyserska decyzja dotyczyła osoby *Tuszyńskiej*. *Morgenstern* uznał bowiem, że nie poradzi sobie ona z wygłaszaniem kwestii po polsku z wyraźnym, obcym akcentem. W efekcie jej rola została w całości zdubbingowana.

„To był dość ryzykowny pomysł, który jednak, moim zdaniem, podniósł wartość całego filmu – wspominał *Morgenstern*. – Głos podłożyła *Eleonora Kałużyńska*. Zjawiała się w wytwórni z *Fordem* [z reżyserem *Aleksandrem Fordem* – S.K.], znałem ją już przedtem jako żonę *Zygmunta Kałużyńskiego*, zacząłem z nią rozmawiać i nagle uderzył mnie jej akcent. To było dokładnie to, czego potrzebowaliśmy dla naszej *Margueritte*, i to idealnie zdało egzamin”[193].

Tuszyńska jak zwykle cieszyła się na planie specjalnymi względami. Cała ekipa otoczyła ją opieką, a szczególnie dbał o nią *Cybulski*. On też rozwiązał problem z jedną z kluczowych scen filmu.

„[...] kręciliśmy bardzo trudne sceny nocą – wspominał operator *Jan Laskowski* – czas ucieka, wszystko ginie. Nastrój też... Robiliśmy scenę pożegnania *Teresy* ze *Zbyszkiem*. W jej oczach powinny pojawić się łzy. *Tuszyńska* nie umiała tego zagrać. *Zbyszek* obserwował ją dłuższą chwilę, po czym podszedł do niej i dmuchnął lekko dymem papierosowym. W oczach *Tereski* pojawiły się łzy i delikatny uśmiech wdzięczności. Kamera cały czas filmowała twarz *Tereski* – scenka wypadła wspaniale”[194].

Film spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem widzów i umiarkowanymi głosami krytyki. Podkreślano wprawdzie, że „liryczne zadanie rozwiązał Morgenstern z rzadkim jak na debiutanta smakiem”, ale uznano też, że przedstawił zbyt idealny wizerunek rzeczywistości. Pisano złośliwie, iż w całym filmie nie ma „ani jednego pijaka, ani jednego starego młodzieńca, ani jednej smętnej i nieuczesanej dziwożony”. Nie słychać było też brzydkich słów, a ulice i budynki Gdańska prezentowały się podejrzanie czysto i estetycznie. Nienaturalnie wyglądali również aktorzy, było zbyt wiele „ślicznych dziewcząt i wesołych normalnych chłopaków”. Natomiast Krzysztof Teodor Toeplitz na łamach „Świata” skrytykował aktorstwo Tuszyńskiej:

„[...] wyglądała bardzo ładnie, jednakże najlepsza część p. Tuszyńskiej znajdowała się poza ekranem. Mam na myśli głos Eleonory Kałużyńskiej, która mówiła kwestie bohaterki łamaną polszczyzną. Słuchając tego głosu, bogatego w intonacje, inteligentnego i głębokiego, żałowaliśmy, że nie możemy oglądać jego właścicielki”^[195].

Inni dostrzegali jednak u Teresy „świetne wyczucie roli”, zagranej przez nią tak, „jak zachowują się w naszej wyobraźni »dziewczyny z ciepłych krajów«, które znikają z ostatnim dniem lata”. Zachwyceni byli również widzowie, i to bez względu na płeć oraz wiek. Dla mężczyzn Tuszyńska była ideałem kobiecej urody, natomiast dla płci pięknej – wzorem do naśladowania. W efekcie w 1960 roku Teresa wygrała plebiscyt na najpopularniejszą polską aktorkę. I tylko nieliczni wiedzieli, że rola w tym filmie nie przyniosła jej większych korzyści finansowych. Teresa nie miała bowiem wykształcenia aktorskiego i zgodnie z ówczesnymi przepisami zarabiała tyle co statystka.

PANNA TUSZYŃSKA SIĘ BAWI

Po zakończeniu pracy na planie filmowym Teresa rzuciła się w wir życia towarzyskiego. Jeszcze przed *Do widzenia, do jutra* wzięła udział w słynnym Jazz Kampingu na Kalatówkach, gdzie zjechali najpopularniejsi jazzmani i filmowcy. Panowała tam atmosfera nieskrępowanej zabawy, w oparach alkoholu organizowano liczne jam session, a Teresa rywalizowała z Basią Kwiatkowską o miano najpiękniejszej uczestniczki imprezy.

„[...] zamieszkałam z Teresą w jednym pokoju – wspominała Grażyna Hase. – Wspólny pokój, ale z dostępem do niego bywało różnie. Traktowała moją walizkę jak szafę. Wykorzystywała jej zawartość do oporu. Tym sposobem często sama nie miałam się w co ubrać. Drzwi do pokoju często były zamknięte [...]. W każdym razie zdarzało się, że musiałam szukać noclegu gdzieś indziej”^[196].

Teresa była świadoma własnej urody i doskonale wiedziała, że większość panów traci głowę na jej widok. Czasami wykorzystywała to w dość obcesowy

sposób, przy czym jej ofiarami padali przypadkowi mężczyźni, którzy mieli nieszczęście przypatrywać się jej zbyt natarczywie.

„Zawsze musiały to być dobre samce – opowiadał Kazimierz Kutz. – Zauważała, że facet po prostu gapi się na nią. [...] Nic nie mówiąc, wstawiała od stolika i przysiadła się do tego człowieka. I zaglądała mu w oczy. Żaden z tych panów nie wytrzymał tego spojrzenia. Po jakimś czasie facet się denerwował, a ona mówiła: »No to cześć«. Swoim zachowaniem starała się skompromitować faceta, onieśmielić. Gasiła go. Niektórzy nawet przepraszaali”^[197]].

Podczas kręcenia *Do widzenia, do jutra* szalała z Cybulskim po trójmiejskich knajpach, miała zresztą mocniejszą od niego głowę. Ale rano na planie zawsze była trzeźwa, a na jej twarzy nie było widać śladów nocnych imprez. Miała wręcz niesamowitą zdolność regeneracji organizmu.

Jej pierwszym poważniejszym partnerem życiowym był „Tusik” (Justyn?) Strumiłło, w którym podobno była bardzo zakochana. Spędzili razem wakacje w Łebie w 1959 roku, jednak związek ten nie trwał zbyt długo. Zdaje się, że wierność nie była najmocniejszą stroną partnera, doszło więc do zerwania, a Strumiłło wyjechał do Paryża, gdzie zginął w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach.

Jego miejsce zajął Adam „Duduś” Pawlikowski, którego Teresa poznała podczas realizacji *Białego niedźwiedzia*. To właśnie on miał się okazać największą miłością i zarazem przekleństwem jej życia, a ich związek przetrwał praktycznie aż do śmierci aktora.

ADAM PAWLIKOWSKI

Miejsce w dziejach polskiego filmu zapewniła mu rola w *Popiele i diamentach*, a konkretnie scena, w której razem ze Zbyszkiem Cybulskim palili spirytus w kieliszkach na cześć poległych kolegów z AK. Ale Adam Pawlikowski to nie tylko aktorstwo – w czasie okupacji był działaczem podziemia, powstańcem warszawskim, jeńcem oflagów, żołnierzem armii Andersa, a przy tym muzykologiem, kompozytorem, dziennikarzem, znawcą literatury i malarstwa. Kobiety uważały go za bardzo przystojnego, a on zawsze okazywał im dużą przychylność.

„Był pięknym mężczyzną – wspominała Agnieszka Osiecka. – Ciemne, duże oczy lśniły diabolicznie pod jaśniepańskim czołem [...] Otaczały go [...] stale roje panien i pań, a on sprzyjał im, że tak powiem dla eksperymentu. Drwił z nich bez cienia litości, ale działało się to za ich milczącym przyzwoleniem, niejako dla dobra nauki. A wiedza Pawlikowskiego w tym przedmiocie była olbrzymia”^[198]].

Pawlikowski sprawiał wrażenie człowieka renesansu, miał ogromną wiedzę z

różnych dyscyplin, dobrze znał kilka języków, komponował muzykę filmową. Tajemnicą pozostawały jednak jego źródła utrzymania, albowiem otrzymywane honoraria nie gwarantowały mu życia nawet na poziomie minimum socjalnego.

„Dobry we wszystkim, czego się dotknął – opowiadał dziennikarz i bon vivant Andrzej Roman. – Grywał na okarynie, pisał o wszystkim. Felietony, recenzje, dywagacje. Porządnie odczytany, przystojny. Niemal demoniczny. Dla wielu był wzorem do naśladowania [...]”^[199] .

Uważano, że jest „efektownie cyniczny”, imponował jego „szydery humor” i „pański styl bycia”. A z niektórych relacji wynika nawet, że lubił się popisować paranormalnymi zdolnościami, w które raczej trudno uwierzyć.

„»Wiesz, mam tak ogromną siłę koncentracji – zwierzył się kiedyś fotografowi Markowi Karewiczowi – że jak chcę, to przepalam ludziom korki elektryczne«.

Zapadał zmrok – wspominał Karewicz – wyjrzałem przez okno – w domu naprzeciwko pogasły wszystkie światła”^[200] .

Pawlikowski był starszy od Tuszyńskiej o 15 lat, ale Teresa zawsze obracała się w gronie znacznie starszych od siebie mężczyzn. Ich romans miał wyjątkowo burzliwy przebieg, obfitował w niecodzienne wydarzenia i nie przerwały go nawet kolejne małżeństwa aktorki.

„Teresa oznajmiła Pawlikowskiemu, że idzie na spotkanie z Kubą Morgensternem – opowiadał Kazimierz Kutz. – Pawlikowski za nią łąził i śledził ją. [...] Tak się zdenerwowała, że w pewnej chwili zaczęła się na Pawlikowskiego i go pobiła.

Nie chciała, aby połała się krew. Znała wszystkie wielbicielki Pawlikowskiego. Po incydencie zadzwoniła do jednej z jego przyjaciółek i powiedziała:

– Ty, weź tu przyjdź, weź sobie tego Adama”^[201] .

Na złość Pawlikowskiemu wyszła nawet za męża, a jej wybranym został jego przyjaciel, grafik Jan Zamojski. Ślub odbył się zresztą w tak błyskawicznym tempie, że były problemy ze znalezieniem świadków. Jednym z nich został taksówkarz, a drugim – plastyk Stanisław Zagórski, który przypadkowo przejeżdżał w pobliżu.

„Jej wieloletni dramat polegał na tym, że Pawlikowski ją uwiódł – tłumaczył Kutz. – Ona śmiertelnie się zakochała. A potem całe życie robiła wszystko, żeby Pawlikowski się w niej zakochał. Wtedy mogłaby go rzucić, tak jak kiedyś on rzucił ją. Puentą tego było małżeństwo z jego przyjacielem. [...] Wszystko bardzo dokładnie obliczyła. Umówiła się z Adamem u Dziennikarza i pojechała tam ze świeżo poślubionym mężem. Była ciekawa, co na to Pawlikowski. Opowiadała, że wyszedł do toalety i zwymiotował. Był zszokowany. Zwycięstwo”^[202] .

TARPANY

Styl życia i zachowanie Tuszyńskiej spowodowały, że filmowcy nie zarzucali jej ofertami. Poza tym aktorka stała się wybredna i czekała na rolę, która umożliwiłaby jej zdyskontowanie sukcesu *Do widzenia, do jutra*. Przy okazji była rozczarowana niskimi gażami, toteż obrażona na świat filmu powróciła do Mody Polskiej. Grabowska przyjęła to z zadowoleniem, bo dziewczyna zawsze była jej ulubienicą, a jej udział w pokazach mody znacznie podnosił ich prestiż.

Film *Morgensterna* został dostrzeżony na Zachodzie, a przy okazji zwrócono też uwagę na Tuszyńską. Aktorka zaczęła dostawać propozycje gry za żelazną kurtyną, ale zachowywała się tak, jakby jej na niczym nie zależało.

„Byliśmy wtedy małżeństwem – wspominał Zamoyski. – Z Francji przyjechała z Romkiem Polańskim producentka Lola Mouloudji. Romek chciał natychmiast zabrać Teresę do Paryża. Rano mieli lot. Wspólnie czekaliśmy do trzeciej lub czwartej nad ranem. Nie doszło do spotkania. Teresa w ogóle nie przyszła. Potem powiedziała mi, że ma w nosie cały wyjazd do Francji, ona nigdzie nie będzie jeździć”^[203].

Wydaje się, że sława i popularność przyszły zbyt szybko jak na możliwości nastoletniej dziewczyny. Zaczęła przejawiać lekceważący stosunek do życia i niczego nie traktowała poważnie. Tymczasem w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby zadbać o jej karierę i zaopiekować się nią zawodowo. A sama Teresa nie była osobą, która potrafiła podejmować właściwe decyzje.

Na pewno wpływ na to wszystko miał również Pawlikowski. Teresa nie chciała się z nim rozstawać, a wiedziała, że jej wyjazd na Zachód zniszczy ten związek. A przecież „Duduś” był jedynym mężczyzną, na którym naprawdę jej zależało.

Zagrała niewielką rolę w *Drugim człowieku* Konrada Załęskiego, ale prawdziwą szansę dał jej dopiero Kazimierz Kutz, angażując ją do *Tarpanów*. Powierzył Teresie główną rolę kobiecą, a była to postać zupełnie inna niż w poprzednich filmach.

„Rola Basi w *Tarpanach* jest krańcowo różna od dotychczasowych moich ról – mówiła Teresa w wywiadzie. – Jest bardziej poważna, gram studentkę biologii i kocham się nieszczęśliwie w żonatym mężczyźnie. Poprzednie moje role były mniej skomplikowane, mniej problematyczne”^[204].

Film opowiadał historię czworokąta uczuciowego, którego jednym z wierzchołków była Tuszyńska. Darzyła uczuciem swojego szefa, Adama, kierownika stacji PAN, realizującego na Mazurach projekt zdżyczenia stada tarpanów. Człowiek ten, zajęty wyłącznie swoją pracą naukową, oddalił się od żony (Niny), nie zauważał też uczuć Basi. W pobliżu pojawił się również

adorator studentki (Jędrak), który stał się osobą nieobojętną dla żony kierownika.

„Wzięliśmy ślub w pierwszych dniach powstania [warszawskiego – S.K.] – tłumaczyła Jędrkowi Nina. – Mój mąż był wtedy postacią prawie legendarną. Łudziłam się, że po wojnie stanie się wreszcie zwykłym człowiekiem. Żeby być z nim, zrezygnowałam ze studiów, z życia w mieście. Niestety, nie umiał oderwać się od swojej legendy. Zawsze wokół nas musiało być wyjątkowo, niezwykle. Tak też pozostało do dziś...”[205]

Kutz zażądał od Teresy całkowitej abstynencji i punktualności – „na planie miała być wyspana i trzeźwa”. Tuszyńska przyjęła to do wiadomości, ale w zamian postawiła swój warunek. Oznajmiła zaskoczonemu reżyserowi, że „muszą się natychmiast przespać”.

„To nie wchodziło w rachubę – wspominał Kutz. – Mówię:

– Teresa, nie wygłupiaj się. Ja z zasady tego nie robię przy filmie. Tu jest moja niedawno poślubiona żona, jak ty sobie to wyobrażasz?

Ona mówi:

– Jesteś idiota. Chodź, chociaż raz, żeby nam się lepiej pracowało. Nie rozumiesz?

– Nie. Widocznie trafiałaś na jakichś felelnych reżyserów, którzy wymagali tego od ciebie.

– Fatalnie.

To było [...] zabawne. I było jednocześnie szczere. Uwielbiałem na nią patrzeć, bo wszystko obracała w żart. Była potwornie, nieludzko śmieszna”[206]

Aktorka w istocie miała bardzo specyficzne poczucie humoru i niebawem reżyser miał się o tym osobiście przekonać. Tuszyńska uznała bowiem, że jego wierność wobec żony jest sprawą naganną i wybrała rodzaj kary raczej rzadko stosowany przez kobiety.

„Zauważyła, że zamieszkaliśmy z żoną na drugim końcu kempingu w Mikołajkach, i że trzymam żonę z dala od filmowych »narad produkcyjnych«. Tuszyńska postanowiła zdemaskować moją podwójną moralność i omal się jej to udało. Pewnego wieczoru zaczęła się na mnie i na środku rześkiego oświetlonego placu, głośno, z dużą ekspresją, odegrała scenę gwałtu. Umierałem ze strachu, a ona nie posiadała się z radości”[207]

Niestety, *Tarpany* nie były udanym filmem i nie przyniosły Teresie sukcesu. Ale na pewno pomogły jej w powrocie do równowagi psychicznej, bo znów zaczęła zachowywać się jak młoda dziewczyna. W wywiadach ponownie prezentowała właściwą sobie beztroskę.

„Już od trzech lat nie mogę wykorzystać okresu letniego i nie mogę się

opalać – skarżyła się dziennikarzowi »Panoramy Północy«. – [...] Mam takie szczęście, że w okresie letnim zbiegają się propozycje filmowe. Najpierw kręciłam *Do widzenia, do jutra*, w zeszłym roku *Drugiego człowieka*, a w tym – *Tarpany*. Stale jestem w szmince, która izoluje promienie słoneczne”[208].

PROBLEMÓW CIĄG DALSZY

Abstynencja Tuszyńskiej w okresie pracy nad *Tarpanami* była tylko krótkim epizodem. Wkrótce w życiu Teresy ponownie pojawił się alkohol, stając się główną przyczyną rozpadu jej małżeństwa.

„Powodem naszego rozejścia był alkohol – przyznawał Zamoyski. – Absolutnie tak. Miałem wtedy bardzo dużo pracy. Zabieranie jej z »Bristolu« albo z innych knajp, gdzie akurat się znajdowała, było dość męczące. Dzwoniła, żebym po nią przyjechał. Przyjeżdżałem jak idiota, wyczekiwałem. [...] Była w bardzo dziwnych miejscach, gdzie normalni ludzie nie chodzili. Jeździła tam na picie z jakimiś dziwnymi ludźmi. Wszystko razem było bardzo dziwne. Tak to wyglądało”[209].

Zamoyski był bardzo tolerancyjny, a Teresa podobno „robiła z nim, co chciała”. Od samego początku ich związku nie potrafiła już obejść się bez alkoholu, a z czasem sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu. Wprawdzie w tym środowisku pili praktycznie wszyscy, ale dla Teresy stanowiło to coraz większy problem.

Z tego też powodu musiała ostatecznie zrezygnować z pracy modelki. Co prawda Grabowska miała do niej słabość, jednak Tuszyńska zdecydowanie nadużywała zaufania. Po całonocnych imprezach albo nie pokazywała się w firmie, albo zjawiała się całkiem niedysponowana. I jak zwykle sprawiała wrażenie osoby, której na niczym nie zależy.

„Teresa w pewnym momencie była nie do opanowania w swoich alkoholowych wycieczkach – kontynuował Zamoyski. – I kiedyś zaginęła. Nie mogli jej znaleźć. I kontakt się urwał. Prawdopodobnie Grabowska też już miała dosyć. Nie mogła polegać na Teresie”[210].

Do tego wszystkiego doszła jeszcze sprawa pobicia milicjanta w SPATiF-ie – aktorka stanęła przed sądem i dostała wyrok dwóch lat więzienia. Na decyzję sądu zapewne wpłynął fakt, że na rozprawie zjawiała się kompletnie pijana. Nawet w takiej chwili nie potrafiła zapanować nad sobą...

Ostatecznie przed więzieniem ocaliła ją amnestia, ale wydarzenie to niewiele zmieniło w jej postępowaniu. Jedną z najzdolniejszych (a na pewno najpiękniejszą) aktorka młodego pokolenia systematycznie niszczyła swoje życie i karierę...

OSTATNI ZRYW

Udało się jej jeszcze zagrać w kilku filmach, z których na szczególną uwagę zasługuje *Cała naprzód* Stanisława Lenartowicza. Reżyser nie wystraszył się jej reputacji i nie wyobrażał sobie współpracy z inną aktorką.

„Nie robiliśmy castingu – wspominał producent Jan Włodarczyk. – Lenartowicz z góry powiedział, że zatrudniamy Teresę. Prosił, żeby ją zatrudnić. I już. [...] To był ktoś, na kogo ten film czekał. Uważam, że Lenartowicz nie mógł przegapić takiej możliwości. Bo kto inny? Rozbudowany scenariusz, plenery zagraniczne, zjawiskowa kobieta. Zaczniemy szukać po teatrach? Nie za bardzo”^[211].

Ponownie partnerowała tam Zbyszkowi Cybulskiemu – film składał się z kilku opowieści, a Tuszyńska wcielała się w cztery różne postacie. Wyszła z tej próby zwycięsko, udowadniając, jak dobrą jest aktorką, ale niestety był to już ostatni pokaz jej talentu. W późniejszym o rok *Poczmistrzu* zagrała wprawdzie poprawnie, ale nie była to ani zbyt wymagająca, ani zbyt błyskotliwa rola.

„Teresa przy tym filmie zrobiła na mnie wrażenie dojrzałszej dziewczyny – opowiadał Włodarczyk. – Kobiety. Nie było już wesołych wspomnień. Była bardziej refleksyjna. [...] Może była akurat po osobistych przejściach? Dobrze zagrała tę rolę. Nie, żeby coś szczególnego wydarzyło się w ekipie. Pewnie wszystkie szaleństwa młodości, wszystkie historie miała już za sobą. Nie przypominam sobie, żebym miał jakieś problemy z aktorami”^[212].

Tuszyńska faktycznie miała powody, by na planie zachowywać się „bardziej refleksyjnie”. W tym czasie poważne problemy mieli jej rodzice, którzy byli zamieszani w głośną aferę mięsną. I właśnie w związku z tą sprawą matka aktorki trafiła na rok do aresztu.

ŚMIERĆ ADAMA

Niedługo później towarzyskie samobójstwo popełnił Adam Pawlikowski, który z nieznanых powodów zgodził się zeznawać przeciw Januszowi Szpotańskiemu oskarżonemu o „rozpowszechnianie informacji szkodliwych dla interesów państwa”.

Szpoński był autorem pamfletu *Cisi i gęgacze*, w złośliwej formie przedstawił stosunki polityczne w kraju. Jego utwór wywołał furję Władysława Gomułki, który określił go jako „reakcyjny paszkwil, ziejący sadystycznym jadem nienawiści do naszej partii”. Dostało się również samemu autorowi, którego towarzysz Wiesław nazwał publicznie „człowiekiem o moralności alfonsa”.

Sprawa była z góry przesądzona, Gomułka zażądał bowiem przykładnego

ukarania pisarza. Służba Bezpieczeństwa zmusiła Pawlikowskiego do współpracy, zapewne dysponując przeciw niemu odpowiednimi argumentami. „Dudusiowi” nie pomogła nawet próba schronienia się w zakładzie psychiatrycznym – na salę rozpraw dowieziono go wprost ze szpitala. I chociaż ostatecznie jego rola w procesie okazała się stosunkowo nieduża (rozprawa była formalnością), to jednak „Dudusia” dotknął ostracyzm towarzyski.

„Fakty te dotarły do Wolnej Europy – wspominał Jerzy Karaszewicz – i cała Polska dowiedziała się, że Adam Pawlikowski to ubecki kapuś, którego na żądanie Gomułki bezpieczeństwa musiała odtajnić. Podobno »Duduś« był narkomanem i morfinistą i tym to »cisi« płacili mu za infiltrację środowisk inteligenckich. I tak Szpotański poszedł na kilka lat za kratki, a dla Pawlikowskiego zaczął się koszmar.

Nikt go już nigdzie nie zapraszał, dawni przyjaciele przechodzili na drugą stronę ulicy. On, ozdoba »salonów«, stał się nagle strasznie samotny i nikomu niepotrzebny. Nikt mu już nie proponował filmu, gdziekolwiek się pojawiał, siadywał samotnie. I teraz nie wiadomo, czy początkowo zaczął udawać, a po tym naprawdę zachorował, czy był chory od początku – wylądował [po raz drugi] w szpitalu psychiatrycznym.

Kiedy w końcu wyszedł, był już inny. Zaczepiał znajomych – a to udając beztroskiego wesołka, a to wpadając w agresywną wściekłość”[²¹³].

Faktycznie, Pawlikowski zaczął zdradzać objawy choroby umysłowej i kilka lat później zakończył życie, wyskakując z ósmego piętra jednego z warszawskich wieżowców.

Teresa przyjęła wiadomość o jego śmierci spokojnie, tłumacząc znajomym, że w niczym nie mogła mu pomóc. Ale od tej chwili zaczął się jej prawdziwy upadek...

NA DNIE

Była już wtedy rozwódką po raz drugi, albowiem po 10 latach małżeństwa rozeszła się z Włodzimierzem Kozłowskim. Partner był specjalistą od filmowego dubbingu i tak jak wielu innych mężczyzn stracił dla niej głowę już podczas pierwszego spotkania. Początkowo zamieszkali u jej rodziców, z czasem Kozłowski dostał przydział na mieszkanie na osiedlu Za Żelazną Bramą.

Związek ten nie miał jednak szans na przetrwanie, bo małżonek był typem pracoholika, a Tuszyńska szybko zaczęła się nudzić. I szukała typowych dla siebie rozrywek.

„[...] lubiłem moją pracę, która wymagała mojej obecności w studiu – przyznawał Kozłowski. – A Teresa nie miała w tym czasie co robić. W domu nudziła się – nic zresztą dziwnego. Zaczęły się więc spotkania ze znajomymi,

wódeczka.. ”[[214](#)].

Próbowała jeszcze grać w filmach za naszą południową granicą, pojawiła się na planie dwóch obrazów realizowanych w Pradze. W pierwszym z nich, noszącym tytuł *Vreckari (Kieszonkowcy)* zgodziła się nawet na sceny rozbierane, co w Polsce wzbudziło duży niesmak. W kinematografii krajów bloku wschodniego nagość ciągle jeszcze stanowiła szokującą nowinkę.

Po raz ostatni pojawiła się przed kamerą w połowie 1970 roku w filmie *Kto wierzy w bociany*. Choć miała zaledwie 28 lat, zagrała tam matkę nastolatka. Alkohol zrobił swoje i Teresa wyglądała znacznie starzej, niż wskazywała jej metryka. I na tym filmie zakończyła się kariera artystyczna Teresy Tuszyńskiej – jedna z najzdolniejszych polskich aktorek przegrała walkę ze swoimi słabościami.

Dwa lata później rozwiodła się z Kozłowskim, który miał już dość jej uzależnienia i ciągłych zdrad. Zdecydował, że ich związek nie ma sensu, i odszedł, pozostawiając jej mieszkanie.

„[...] bardzo szybko [je] sprzedała – wspominał pan Włodzimierz. – Później spytałem ją przy jakiejś okazji, co zrobiła z pieniędzmi. Powiedziała, że komuś pożyczyła, a ten ktoś nie oddał. Może... A może po prostu przepuściła” [[215](#)].

Na kilka lat związała się z pewnym pracownikiem cenzury, a po jego śmierci, w 1990 roku postanowiła po raz trzeci wyjść za mąż i poślubiła Jana Perzynę. Początkowo mieszkali w dużym, bardzo zaniedbanym lokalu przy Nowogrodzkiej, a później przenieśli się do mniejszego przy Górczewskiej.

„Ostatnie lata życia aktorki rodzina wspomina niechętnie – pisał jej biograf Mirosław J. Nowik. – Jeden z mieszkańców budynku, w którym zmarła Tuszyńska, przypomina sobie nieustanne burdy i milicyjne [policyjne – S.K.] interwencje. Ale obciąża nimi właściciela mieszkania. Wydawał się szczerze zaskoczony, gdy dowiedział się, że mieszkała tam jakaś kobieta. Nie widywał jej” [[216](#)].

W ostatnim okresie czasami spotykała na ulicy dawnych znajomych, ale z reguły sprawiała wrażenie, jakby ich nie poznawała. Tylko od Grażyny Hase pożyczyła 50 złotych, obiecując, że odda za kilka dni. Oddała po dwóch tygodniach.

Teresa Tuszyńska zmarła 19 marca 1997 roku. Prawdopodobnie przyczyną śmierci był wylew krwi do mózgu. Ostatni mąż uznał, że nie stać go na opłacenie pogrzebu, i pozostawił to jej rodzinie. Nie wiadomo, jak dalej potoczyły się jego losy.

„Nie miała w sobie potrzeby robienia kariery – mówił Kazimierz Kutz. – Gdyby miała, może byłoby z nią zupełnie inaczej? Nie miała jednak tego, co posiada większość dziewcząt. Pchania się w media. »Jestem zdolna, piękna,

świat musi być mój«. Nie, nie. Ona właśnie była tego pozbawiona. I to było jej kalectwo. Ta dysproporcja pomiędzy jej warunkami, sprzyjającymi okolicznościami, a brakiem chęci, nawet potrzeby zrobienia kariery. Dlatego nie mogła jej zrobić”[²¹⁷].



ROZDZIAŁ 5

Bruno





„Podczas wieczoru autorskiego Ryszard Milczewski-Bruno czytał swoje wiersze w sposób dość osobliwy, właściwie zmaśniał te wiersze. Z pewnym nabożeństwem chodził po sali, powodowało to różne reakcje. Jedną z moich oburzonych koleżanek, polonistka, dość ortodoksyjna, krzyknęła w pewnym momencie: »Panie Milczewski, pan łamiesz związki frazeologiczne«. I wtedy Bruno odpowiedział: »Frazeologia to jedno, a życie to drugie. Żyć trzeba dla życia, a nie dla frazeologii«”.

Włodzimierz Kowalewski

PIEWCA POLSKI POWIATOWEJ

Nie tylko Edward Stachura był wielbicielem polskiej prowincji – jego serdeczny przyjaciel Ryszard Milczewski-Bruno najlepiej czuł się w rodzinnym Grudziądzu i jakoś specjalnie nie ciągnęło go do wielkich miast. Nigdy też nie interesowały go zagraniczne stypendia i tak naprawdę to chciał tylko pojechać do Moskwy, bo uważał, że „tam najtaniej zbierać materiał literacki”. Zapewne w sowieckiej stolicy bez problemu znalazłby wspólny język z miejscowymi literatami, podobnie bowiem jak większość z nich był gorliwym wielbicielem alkoholu we wszelkich jego postaciach. Marzenie to jednak nigdy się nie spełniło, a Bruno tylko raz wyjechał na trzy miesiące do Czechosłowacji. I wrócił stamtąd zadowolony, gdyż zawsze lubił piwo.

„Był smakoszem Polski powiatowej, jej bystrym obserwatorem i kronikarzem jej osobliwości – pisał krytyk Jan Marx – znał ją z autopsji i był świetnie w niej zdomowiony. Lubił tę zawianą, śmierdzącą wódką prowincję w kufajkach i gumiakach przelewającą się po bazarach, targowiskach, punktach skupu, pijackich melinach, kłębiącą się na dworcach kolejowych i autobusowych”^[218]].

Bruno nie miał w zwyczaju wylewać za kołnierz, a najbardziej gustował w typowo proletariackich trunkach. Częściowo wynikało to z braków finansowych, ale wydaje się, że miał do nich rzeczywistą słabość. Regularnie i w dużych ilościach pijał „wino patykiem pisane”, czyli produkt winopodobny solidnie zaprawiany dwutlenkiem siarki. Nie gardził również „bimbrem złamanym w anyż” ani zwykłą wódką.

Tak jak Stanisław Przybyszewski uważał, że każdy nieprzepity pieniądz jest zmarnowany, i zgodnie z tą zasadą topił w alkoholu większość swoich niewielkich dochodów.

„[...] trzy dni miałem zajebiste – zwierzał się w liście przyjacielowi. – Nie żałuję. Wiesz sam, »życie – moje – już mnie nie budzi (bawi)«. Że żyję? Aha, w dodatku przepierdoliłem z soboty na niedzielę – całe honorarium (232 zł) plus 136 zł z »Nurtu« (napisałem dzisiaj do nich zażalenie – za trzy wiersze tyle groszy – toć to wstyd albo pomyłka”^[219]].

Często pił z przygodnymi kompanami w różnych podejrzanych miejscach. I czasami kończyło się to niezbyt przyjemnym przebudzeniem.

„Ktoś mi przyjechał w tył głowy – skarżył się Januszowi Żernickiemu. – Byłem nieprzytomny. Obudziłem się bez zegarka. I kilka dni wracałem do formy. Łupie mnie jeszcze prawa strona czaszki. Ucho niedomaga i smaku nie mam. Jakiś nerw mi chyba przerwało”^[220]].

Jednocześnie nie odmawiał udziału w żadnego rodzaju konkursach i turniejach poetyckich na terenie całego kraju, a nawet starał się uczestniczyć w

jak największej ich liczbie. Cieszyły go nagrody finansowe, a jeszcze bardziej alkoholowe spotkania z kolegami po piórze. Najczęściej bowiem panowała tam wyjątkowo swobodna atmosfera, co czasami dziwiło publiczność przyzwyczajoną do poważnego traktowania pisarzy i ich twórczości.

„[W Poznaniu] odbywa się konkurs poetycki – wspominał Roman Sliwonik – panuje wielkie napięcie, bo dla wielu konkurs to ostatnia szansa na zdobycie nagrody pieniężnej, za którą będą mogli kupić bilet powrotny do domu.

W jury same świetne nazwiska: Mieczysław Jastrun, Julian Przyboś, Julian Rogoziński, Anatol Stern. Konkurs prowadził Anatol Stern.

I regularnie, co pięć minut, całą ceremonię i powagę rozwała Tadeusz Kubiak, który wolno i z trudem podnosi się z krzesła, unosi w górę dwa palce i pyta z żarliwą, pijacką powagą:

– Bardzo państwa przepraszam, czy jest może na sali Maria Konopnicka?

Siada, dziękuje. Anatol Stern nie daje się wyprowadzić z równowagi. I znów Kubiak:

– Przepraszam bardzo, czy jest może na sali Maria Konopnicka?

I tyle w tym dramatyzmie. A po latach trzeba opowiadać własnymi słowami, co poeta miał na myśli”^[221]].

Bruno był duszą towarzystwa na podobnych imprezach, a wielu ich uczestników uzależniało swój udział od jego obecności. Przyjazd Milczewskiego stanowił bowiem gwarancję dobrej zabawy, przy której nagrody i dyplomy wydawały się drobiazgami bez większego znaczenia. Inna sprawa, że przy okazji poważny problem mieli organizatorzy, którzy zastanawiali się, co tym razem Bruno i jego kompani wymyślą.

„Niektórzy spośród publiczności uczestniczący w wieczornym turnieju byli może zaskoczeni swobodą dwóch kolegów-poetów – relacjonował spotkanie w Pile dziennikarz »Ziemi Nadnoteckiej« – ale jak słusznie wyjaśnił przewodniczący jury, trzeba rozumieć spontaniczność w manifestowaniu uczuć przyjaciół spod znaku Pegaza. Słowem – licentia poetica”^[222]].

I trzeba przyznać, że podczas tego turnieju manifestowano uczucia wyjątkowo żywo i spontanicznie, albowiem Bruno powrócił do domu bez trzech przednich zębów...

PRZEDMIĘSCIA

Ryszard Brunon Milczewski miał prawdziwie proletariackie korzenie. Urodził się w lutym 1940 roku na grudziądzkim osiedlu Tarpno nad kanałem Trynka, w typowo robotniczym otoczeniu. Ojciec poety był z zawodu murarzem, a rodzina dochowała się trojga potomków. Małżeństwo państwa Milczewskich nie było jednak udane – dwukrotnie zawierali związek małżeński i dwukrotnie się

rozchodzili, a w międzyczasie ojciec poety zdążył się jeszcze raz ożenić. W efekcie skomplikowanej sytuacji rodzinnej Bruno został nawet przyjęty do internatu, gdy uczył się w miejscowym technikum rolniczym.

Z tego też okresu pochodzi jego pseudonim literacki będący modyfikacją drugiego imienia.

„Było to początkowo przezwisko Rysia wymyślone przez któregoś z naszych internackich kolegów – wspominał jego szkolny znajomy Edward Walasiewicz. – Rysiek z tym »Brunem« walczył i niejedną z jego ręki z tego powodu oberwał. Ale irytacja wywierała skutek odwrotny. Rysiek coraz mniej był dla nas Ryszardem, a coraz więcej Brunem. W końcu przestał negatywnie reagować na »Bruno« i przyjął to imię jak swoje własne”^[223].

Wtedy też zaczął pisać wiersze, których tematyka dziwiła jego kolegów. Ich treść „obracała się w kręgu podwórkowych śmietników, polnych świątków i ludzi, którzy borykają się ze światem własnej nędzy” Nie czekał też długo na oficjalny debiut poetycki, bo jeszcze przed maturą jego wiersz zamieszczono na łamach „Orki” będącej poprzedniczką „Tygodnika Kulturalnego”. Udzielał się również w nowo powstałej, grudziądzkiej „grupie poetyckiej 59”.

„[...] miałem w Grudziądzu swój wieczór autorski – pisał w liście do przyjaciela. – Wypadł dość dobrze. Był trochę szokujący dla większości słuchaczy (młodzież). Powód prosty: znajomy uczeń w innej roli”^[224].

Po ukończeniu technikum planował studia na Uniwersytecie Toruńskim na Wydziale Sztuk Plastycznych (podobnie jak Stachura), ale ostatecznie udał się do Wrocławia, gdzie pozytywnie zdał egzaminy na polonistykę. Długo jednak tam nie wytrwał, a przyczyną tego stanu rzeczy były problemy materialne.

„Jestem w cholerniej sytuacji – zwierzał się w liście do Jerzego Lesława Ordana. – Stypendium nie dostałem. Mieszkania nie mam. Groszy także. Wypada mi zwinąć manele i pryskać do Grudziądza. Sypiam na gapę w akademiku. »Wyczuli« już mnie. Mieszkanie na mieście słono kosztuje. Trzeba płacić z góry. I to jeszcze trudno coś znaleźć. Słowem: nic z tego. Szkoda. Chciałem szczerze się pouczyć. Ale moja kieszeń za duża i za pusta. Warunki domowe na taką wyżerkę są zbyt chude, by można było coś wypocić”^[225].

Zrezygnował ze studiów i przeniósł się do Nowej Huty, gdzie znalazł pracę w tamtejszym kombinacie metalurgicznym w charakterze ogrodnika kwiaciarza. Miejscowe warunki uznał za znacznie lepsze od tych, do których przyzwyczyił się na przedmieściach Grudziądza, toteż zaplanował ściągnąć do siebie młodszego brata, Henryka.

Już od dzisiaj pracuję. W swoim fachu – informował przyjaciela Kazimierza Grefkowicza. – Gdzieś ca 1500 zł zarobię. Mieszkam w pięknym hotelu-klubie.

Pokoiki są dwuosobowe. Gdy przyjedzie Henio, to będziemy mieli raj”^[226]].

Henryk Milczewski był utalentowanym bokserem, więc Bruno chciał, by podjął treningi w miejscowym Hutniku. Drużyna właśnie awansowała do I ligi, sekcja bokserska uchodziła za „oczko w głowie huty”, a „warunki treningowe i materialne zawodnika były bajeczne”. Młodszy brat przyjechał pod Wawel, jednak nie potrafił się tam zaaklimatyzować i szybko wrócił do Grudziądza. W przyszłości miał osiągnąć wiele sukcesów – był medalistą mistrzostw Polski, członkiem kadry narodowej i olimpijskiej, ale nigdy nie wyjechał z rodzinnego miasta. Lokalny patriotyzm przeszkadzał mu w zrobieniu większej kariery, ale Henryk nie wyobrażał sobie życia poza Grudziądem.

Po jego wyjeździe Bruno również niedługo zabawił w Krakowie. Zdążył jednak urządzić kilka afer alkoholowych, bo już wtedy przejawiał duże skłonności do obscenicznych zachowań. Zdarzały mu się kilkudniowe ciągi połączone z ekscesami natury obyczajowej.

„W poniedziałek zeszłego tygodnia byłem bardzo lichej – relacjonował Grefkowiczowi. – Wlazłem m.in. do gabinetu śmiechu (wiesz, to takie lustro w wagonie na karuzeli) i obrzygałem takiemu łysemu fagasowi cztery lustra. To był kunszt rzygania. [...] Bo widzisz, rzygać to jeszcze nie wszystko, trzeba dobrze rzygać. Przekupiłem fagasa za kapelusze (czyli 5 dych). Bo chciał już glinę wołać i drakę urządzać. A ja już byłem na dechach, tak że po co drugi raz. Choć właściwie to w każdym kiciu inaczej. Ale przecież do roboty raniutko...”^[227]].

IRENA POLAKOWSKA

Podczas pobytu w Nowej Hucie Bruno nie zajmował się jednak wyłącznie spożyciem alkoholu i szokowaniem bliźnich. Pisał również wiersze, brał udział w pracach Koła Młodych przy ZLP w Krakowie i uczestniczył w turniejach poetyckich. Jego utwory ukazały się w wydanym w tym czasie almanachu *Młoda wieś pisze*.

Pracę nad nowymi utworami kontynuował po powrocie do Grudziądza, chociaż jego ówczesną sytuację trudno uznać za komfortową. Po krótkim epizodzie pracy w klubie sportowym „Ruch” trafił do Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Lipnie w charakterze instruktora skupu żywca. Zajęcie to niespecjalnie mu odpowiadało, chociaż kiedy odwiedzał okoliczne gospodarstwa rolne, miał okazję do wielu ciekawych obserwacji o niemal etnograficznym charakterze.

Wolny czas poświęcał na lekturę, przy czym na uwagę zasługuje rozległość jego czytelniczych zainteresowań. Lubił „pisarzy z jajami”: Bursę, Hłaskę, Nowakowskiego, Różewicza, Grochowiaka, ale podziwiał też Leśmiana, Tuwima i Gałczyńskiego. Dużo czasu poświęcał na studia nad Dostojewskim. I to

wszystko w przechodnim, zimnym pokoju w prowincjonalnym Lipnie.

Interesująco kształtowały się jego ówczesne poglądy na temat płci pięknej, które określić można jako zadecydowanie antyfeministyczne. O kobietach miał „ustaloną markę – tępę”, uważał, że „tylko o dupie i ślubie można z nimi pogadać”. Przyznawał zresztą, że ponad kontakty męsko-damskie przedkłada „piwo i krajobraz”.

Zmienił jednak poglądy, gdy poznał Irenę Polakowską, a sądząc z zachowanej korespondencji, zakochał się w niej bez pamięci. Pisał do niej niemal codziennie, nie wystarczały mu weekendowe spotkania. Z jej powodu postanowił też zmienić pracę, powrócił do Grudziądza, gdzie zatrudnił się jako inspektor plantacyjny w Przedsiębiorstwie Obrotu Nasionami „Centrala Nasienna”. A gdy jego wybranka zaszła w ciążę, to w sierpniu 1963 roku zawarł z nią małżeństwo.

PEKNIĘCIA

W tym czasie dużo malował, zawsze zresztą miał upodobanie do plastyki i nawet listy ozdabiał rysunkami. Starał się zachowywać pogodę ducha, chociaż sytuacja młodego małżeństwa nie należała do najłatwiejszych. Zarabiał niewiele i razem z ciężarną żoną mieszkał w koszmarnych warunkach.

„Najgorzej z mieszkaniem – zwierzał się Szatkowskiemu. – Mieszkamy w baraku obrzuconym tynkiem na ośmiu metrach kwadratowych. Do ustępu daleko, po wodę też. Ale powoli będzie lepiej”^[228]].

Niebawem jednak stracili także i ten lokal, co stało się przyczyną pierwszych poważnych nieporozumień małżeńskich. Na dodatek Bruno postanowił rzucić pracę i utrzymywać się wyłącznie z pisania. W efekcie Irena odeszła od niego, a Ryszard dopiero wtedy zrozumiał, jak bardzo była mu bliska. Postawił jednak na swoim i zaczął pisać felietony do lokalnej prasy. Wkrótce uległ namowom żony i ponownie podjął stałą pracę. Tym razem odszedł od rolnictwa i został kierownikiem Poradni Instrukcyjno-Metodycznej Pracy Kulturalno-Oświatowej w Grudziądzu.

Małżonkowie znowu zamieszkali razem, nadal jednak pojawiały się nieporozumienia. Milczewski nie ukrywał, że jednym z ważniejszych powodów kłótni było jego wzrastające upodobanie do alkoholu. I twierdził, że nigdy z niego nie zrezygnuje.

„[...] widzisz – tłumaczył Szatkowskiemu – to, co najbardziej Kocham, zaczyna się oddalać. [...] Jestem (tak jest! Nie wstydzę się tego ani nie jestem zarozumiały!) poetą z mordowni. I jeżeli coś mnie boli, to zaraz do kufla [...]. Kiedyś byłem bogiem, dzisiaj dają mi resztki. A ja już nie mogę na tym wikcie”^[229]].

Obiektywnie trzeba jednak przyznać, że starał się być dobrym ojcem. Zajmował się synem, a jego pierworodny na zawsze zapamiętał ich wspólne wędrówki po rodzinnym mieście. I wcale nie były to odwiedziny kolejnych budek z piwem.

„W trakcie owych spacerów – wspominał Sławomir Milczewski – po drodze wstępowałem z ojcem do kawiarni »Kaprys« mieszczącej się wówczas na Rynku. Tam tata rozmawiał ze znajomymi i często notował coś na serwetkach, a ja zajadałem się rurkami z kremem, popijając lemoniadą. Kiedy indziej ojciec zabierał mnie na wycieczki po mieście i był to szmat drogi usianej różnymi niespodziankami. Na placu Stycznia zachodziliśmy do [...] poety Leona Grajewskiego, gdzie ojciec wypijał kawę i rozmawiał, kurząc fajkę. Natomiast ja uwielbiałem patrzeć przez balkonowe okno na ludzki gwar dworca autobusowego [...]. Następnie udawaliśmy się na ulicę Kosynierów Gdyńskich. Tam na poddaszu jednej z kamienic Krzysztof Cander malował obrazy, nie wiedząc zapewne, że kiedyś będzie szanowanym profesorem Wydziału Sztuk Pięknych UMK”^[230]].

Bruno odnosił kolejne sukcesy poetyckie, drukowała go miejscowa prasa, jego wiersze pojawiły się w almanachu *Poeci pomorscy*. Dostał również stypendium twórcze od Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, co poprawiło jego sytuację materialną. Finanse były tym ważniejsze, bo pomimo ciągłych kłótni z żoną rodzina się rozrastała i po Sławomirze na świat przyszła córka Anna.

ZAWSZE POD PRĄD

Wydaje się, że jedną z przyczyn niepowodzeń życiowych poety była jego niezdolność do zawierania kompromisów. Jako lokalny twórca mógł przecież zostać ulubieńcem miejscowych władz, a wówczas niczego by mu nie brakowało.

„Bruno nigdy nie wstydził się swojego rodowodu – pisał Krzysztof Nowicki. – Instynktownie zrozumiał, że to jego źródło. Trzeba się przyjrzeć temu, co sprawdzalne, dostępne na wyciągnięcie ręki. Recepta wydawała się prosta, ale później zaczęła się komplikować. Tym bardziej że Bruno zrezygnował z plebejskości stylizowanej. Nie chciał brać udziału w cepeliadzie”^[231]].

Milczewski jednak kompletnie nie nadawał się na „dworskiego poetę”, nie potrafił schlebiać władzy ani też pisać na zamówienie. Uważał, że podobne zachowania uwłaczają godności pisarza, wolał pozostać piewcą piwa i małomiasteczkowych knajp. A z perspektywy czasu wydaje się dziwne, że do dzisiaj żaden z kujawsko-pomorskich browarów nie wprowadził na rynek gatunku piwa nazwanego jego imieniem...

„A mógł przecież bez trudu przyjąć rolę zdolnego lirycznego pejzażysty, który uprzyjemnia wyimaginowany obraz Polski prowincjonalnej – kontynuował Nowicki. – Mógł założyć garnitur i wypiąć pierś, by przypięto mu regionalne odznaki. Tymczasem najchętniej obrażał miejscowych notabli, choć tak bardzo zależało mu na ułożeniu warunków życiowych, które bywały po prostu nieznośne, a Bruno stale je pogarszał”^[232]].

W efekcie Milczewscy dalej żyli w fatalnych warunkach i przez dwie kolejne zimy chronili się przed mrozami u rodziców Ireny. Dopiero w styczniu 1967 roku otrzymali mieszkanie zastępcze, ale i ono nie było przesadnie komfortowe. Pokój z kuchnią bez ustępu Bruno wyremontował na własny koszt.

Ubocznym efektem jego działalności felietonistycznej była utrata pracy. W lokalnej prasie poruszał niewygodne tematy i miał zbyt cięte pióro jak na wytrzymałość miejscowych decydentów. W efekcie musiał powrócić do wyuczonego zawodu (z dziennikarstwa nie utrzymałby rodziny) i został klasyfikatorem żywca rzeźnego. To jednak zajęcie dość odległe od poezji, nawet jak na możliwości Milczewskiego...

„Gdzie ten Bruno nie pracował! – nie mógł się nadziwić Jan Żernicki. – W jakich zawodach, on, który marzył o prywatnych nagrodach fundowanych przez niego, o piśmie, o którym mógłby powiedzieć »moje«, o działalności publicystycznej. On, który odgrażał się napisaniem powieści – a mogłaby stać się rewelacją”^[233]].

Faktycznie, Milczewski zaczął przyznawać sygnowane swoim nazwiskiem „wyróżnienia” poetyckie. Najważniejszym z nich było „wino patykiem pisane”, potem następowało „duże piwo grzane z łyżką” oraz „mała kawa z biszkopciem”. Pierwszym laureatem „honorowej alpagi” został Edward Stachura, którego Bruno znał i cenił od lat.

DROGI I BEZDROŻA ŚWIATA POEZJI

Wydawniczy debiut Milczewskiego nastąpił w 1967 roku, a był to tomik o tytule *Brzegiem słońca*. Krytycy literaccy dostrzegli talent autora, z niewiadomych jednak powodów zbiór nie trafił do jury konkursu Czerwonej Róży – najważniejszej nagrody dla poetów młodego pokolenia. A szkoda, gdyż miał duże szanse na wygraną.

„Bruno-Milczewski – pisał w recenzji prasowej Bolesław Fac – prezentuje w nim poezję o śmiałej wyobraźni wywodzącej się z leksyki ludowej (robotniczo-chłopskiej), ocierającej się o doświadczenia Białoszewskiego, z tym jednak, że autor eksperymentuje w warstwie literackiej, a wierny zapis mowy (gwary, żargonu) podnosi do rangi literackiej. Jestem pewien, że gdyby tomik Bruno-Milczewskiego udostępniony był jury, to sukces tego młodego poety byłby

faktem. Siła wyrazu jego pisarstwa jest bowiem zniewalająca”^[234]].

Najwyraźniej coś sprzysięgło się przeciw poecie, bo niedługo później Wydawnictwo Morskie odmówiło publikacji tomiku *Krzyk z natury*. Powołano się na opinię jednego z krytyków, Jerzego Kwiatkowskiego, który uznał, że publikacja zbioru „wyrządziłaby krzywdę zarówno wydawnictwu, jak Autorowi. Tym bardziej że jest to poeta utalentowany”.

Nie była to jedyna porażka Milczewskiego w tym czasie. Od wczesnej młodości miał problemy zdrowotne (w dzieciństwie uległ poważnemu wypadkowi), więc rozpoczął starania o rentę inwalidzką, ale komisja lekarska ZUS odrzuciła wniosek poety, motywując, że w jego przypadku „inwalidztwo istnieje od dzieciństwa”, wobec czego renta mu się nie należy. ZUS zawsze rządził się swoimi, nie zawsze zrozumiałymi prawami...

Pewnym pocieszeniem było natomiast wyróżnienie I stopnia w turnieju poezji społecznie zaangażowanej, w którym ponownie zwrócono uwagę na język wierszy Milczewskiego. Faktycznie, pod względem słowotwórstwa Bruno szedł śladami Bolesława Leśmiana, nawet jeśli opiewał tylko polską prowincję epoki socjalizmu.

„[...] pisał o Polsce, jaką widział – wspominał jego znajomy, prozaik Włodzimierz Kowalewski. – Nie z perspektywy salonów [...], ale z perspektywy jakiejś małej miściny, PGR-u, brudnego wagonu kolejowego, knajpy dworcowej. Nie było to żadne epatowanie prowincją, było to po prostu pisanie prawdy. [...] Ale poezja Milczewskiego to zjawisko o wiele szersze, o wiele bogatsze artystycznie i trudno tu mówić, żeby to była poezja, która cokolwiek naśladowała czy powielala. Milczewski był poetą jedynym w swoim rodzaju, właściwie nie mającym poprzedników. Można go usytuować [...] gdzieś pomiędzy futuryzmem a Leśmianem. Wbrew pozorom ma wiele z Leśmiana, jeżeli weźmiemy pod uwagę jego język”^[235]].

W 1971 roku ukazał się tomik *Poboki* i tym razem Bruno mógł czuć się usatysfakcjonowany. Dostał nagrodę miesięcznika „Poezja” za najciekawszy poetycki zbiór roku oraz nagrodę imienia Tadeusza Peipera. Ale rok później znów odrzucono jego kolejny tomik (ponownie powołano się na sugestię Jerzego Kwiatkowskiego), ostatecznie został on wydany dopiero rok później.

„W 1972 roku nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej ukazuje się trzeci tom *Podwójna należność* – wspominał syn poety. – Po tej książce nawet najbardziej zatwardziali konserwatyści spuszczają z tonu. Konsekwentne »Ugrupowanie Literackie 66« z Wrocławia przyznaje Milczewskiemu-Bruno nagrodę imienia Stanisława Piętaka [w rzeczywistości była to nagroda Tadeusza Peipera przyznana mu po raz drugi – S.K.], Bruno spłaca zaległe długi i kupuje pralkę automatyczną do domu”^[236]].

Otrzymał również Nagrodę Literacką imienia Stanisława Piętaka, a Marek Grechuta umieścił na płycie *Droga za widnokres* jeden z jego wierszy (*Gdzieś w nas*), co można uznać za wyjątkową nobilitację.

ROZPAD

Wydaje się jednak, że uznanie i wyróżnienia przyszły zbyt późno. Bruno był już w tym czasie uzależniony od alkoholu i chyba niczego nie chciał zmieniać w swoim dotychczasowym życiu. Regularnie oddawał się wielodniowym pijaństwom, początkowo podczas wyjazdów poza Grudziądz, ewentualnie pod nieobecność żony.

„Z tą formą – kit ci w oko – pisał do Jerzego Świątkowskiego. – Jerzy [Szatkowski – S.K.] wyjechał dzisiaj [...]. Ledwo (po tygodniu) doszliśmy do siebie. On nawet (bo wywoływał) pałą dostał. Ale. Zaczynam się bać tego motocykla. Jutro wraca Irena”^[237] .

W chwilach trzeźwości starał się jednak być dobrym ojcem i mężem. Przejmował wówczas na siebie część obowiązków domowych.

„[...] było wiele zwykłych dni, kiedy ojciec gotował, prał i generalnie zajmował się domem – wspominał Sławomir Milczewski. – Miał na to czas, gdyż pracował wtedy dla bydgoskich »Faktów«, gdzie pisywał felietony oraz otrzymywał stypendium z Ministerstwa Kultury”^[238] .

Z czasem jednak podstawowym problemem stały się jego ucieczki z domu, które od tytułu swojej wiersza nazywał „podróżami bezdomnymi”. Wyjeżdżał na jeden dzień, a wracał po tygodniu, na dodatek mocno sponiewierany. A tego chyba żadna kobieta na dłuższą metę nie będzie w stanie tolerować.

„[...] poznaliśmy się – popłynęliśmy – opowiadał o spotkaniu z Brunem Edward Redliński. – Ja koło trzeciego dnia urwałem się do Warszawy, on ze Sławkiem Pezowiczem – u którego stacjonował – pożeglowali jeszcze do Bielska Podlaskiego, do Jurka Plutowicza”^[239] .

Na to wszystko nałożyła się tragedia rodzinna – drugi syn Milczewskich, Rafał, zmarł wkrótce po urodzeniu. Na domiar złego córka chorowała na serce i wymagała specjalistycznej opieki. Tymczasem Bruno pił coraz więcej, a po alkoholu bywał agresywny, co kończyło się pobytami w izbie wytrzeźwień lub wyrokami kolegów. W efekcie dom Milczewskich czasami odwiedzał komornik.

„Mam 850 zł do jutra zapłacić »za kolegium« – zwierzał się przyjacielowi. – O, kurwa – skąd? Gdybym był sam – poszedłbym miesiąc pokiblować. A tak? Klęska. Bo w domu nikt nie wie”^[240] .

Nawet wyjeżdżając na stypendium do Czechosłowacji, nie potrafił uporządkować swoich spraw karnych. Dostał dwa wezwania: do zapłaty grzywny

z kolegium oraz do stawienia się w więzieniu. Najwyraźniej zwlekał z zapłatą grzywny i postanowiono zamienić ją na areszt. Poprosił wtedy o pożyczkę Edwarda Redlińskiego, któremu chciał oddać w zastaw magnetofon... jednego ze swoich przyjaciół.

SZORSTKA PRZYJAŹŃ POETÓW

„Byli różni – pisał Janusz Żernicki o przyjaźni Bruna ze Stachurą – a jednak życie przeplatało ich drogi ustawicznie. Darzyli swoją twórczość ogromnym szacunkiem, co zresztą »nawołując« się w tejsze – uwidocznili. Tolerowali nawzajem swoje odrębności, z tym że tolerancja Brunona była większa. Mówiąc najkrócej, Bruno był roślinny, wyrastał z ziemi, Sted jak ptak drapieżny do niej przypadał. Bruno tłuł się po kocich łbach Polski powiatowej, Sted wpijał mózgiem w rzeczywistość”^[241].

Faktycznie, byli sobie bliscy i przez wiele lat regularnie się spotykali. Wiele ich łączyło – obaj kochali Kujawy, polską prowincję, alkohol i podrzędne knajpy. Obaj też nie potrafili dać sobie rady z życiem rodzinnym.

Ich poezja była podobna i odmienna zarazem – Stachura „jeździł i pisał z tezą”, natomiast Bruno „jeździł i pisał, bo szukał tezy”. Spędzali razem dużo czasu, co niekiedy kończyło się interwencjami milicji lub pobytami w izbie wytrzeźwień.

W pewnej chwili ich przyjaźń uległa jednak rozluźnieniu, a w pewnym stopniu przyczyniła się do tego rosnąca popularność Stachury. Tym bardziej że goniący za sukcesem Sted nie zawsze zwracał uwagę na wrażliwość swoich kolegów po piórze. Tak właśnie było w pewną zimową noc w Łodzi.

„Na dworze była śnieżna zawierucha – wspominał Żernicki – toteż z radością ujrzałem Bruna i Steda [...] popijających wino. Wtedy to też Bruno sprzedał swoje porzekadło, które mniej więcej brzmiało tak: »Jeśli mnie kochasz, co jest niemożliwe, kup mi najdroższą białą lokomotywę« – Sted zapalił się, że zrobi z tego piosenkę. Istotnie zrobił, i to znakomitą, a sława *Białej lokomotywy* przyłgnęła do niego”^[242].

Sted nie potrafił też zrozumieć osobistych problemów Bruna, sam nigdy nie miał dzieci i nie znał z autopsji obowiązków rodzicielskich. Żył samotnie, robił to, co chciał, i na ogół potrafił zdobywać pieniądze na zaspokojenie swoich potrzeb. W efekcie nie musiał godzić twórczości z pracą zarobkową.

„Bruno siedział pochmurny, zgnębiony, cichy, jakby »walec drogowy na wiosnę go przejechał« – kontynuował Żernicki. – Znow nie układały mu się stosunki w kolejnej pracy. Sted tymczasem brylował i gdy tylko Bruno coś o poezji próbował wtrącić, [to go] lekceważył. [...] Przygnębienie Bruna wzrastało – był już pewien, że jego problemy są żenująco żadne wobec przedmiotu

rozmowy. Powiedziałem Stedowi, czy ty wiesz, co to znaczy mieć dwoje dzieci, żonę, dom, konieczność zarobkowania nie tylko na swoje potrzeby, czy znasz cenę kartofli, węgla, bucików dziecinnych, płaszczy na zimę itd., itd. Przyznaję, [...] że uderzałem boleśnie, znałem kompleks Steda z powodu braku dzieci. Sted się obraził, ale tak, jak to miał w zwyczaju, gdy nie chciał się tłumaczyć, wyniośle. »No to ja już pójdę do łaźni«. I znikł”[²⁴³].

Nie zerwali jednak całkowicie kontaktów – w dalszym ciągu dedykowali sobie nawzajem swoje utwory, czasami też spotykali się, oczywiście w oparach alkoholu i poezji. Zniknęło jednak coś nieuchwytnego, a ich przyjaźń straciła swoją magię. Każdy z nich poszedł własną drogą, która w obu przypadkach miała doprowadzić do tragicznego końca, nadając nowy sens znanym wersom Stachury:

Ruszaj się, Bruno, idziemy na piwo;
Niechybnie brakuje tam nas!
Od stania w miejscu niejeden już zginął,
Niejeden zginął już kwiat!
Nie zdechniemy tak szybko,
Jak sobie roi śmierć!
Ziemia dla nas za płytka,
Fruniemy w góry gdzieś!

BOŻENA

Małżeństwo Milczewskich skończyło się tak, jak można było przewidzieć – ich związku nie ocalał nawet przydział spółdzielczego M-4. Irena zdecydowała się na rozwód, zresztą w jej życiu pojawił się inny mężczyzna. Bruno był zaskoczony, że nowy partner jest aż o dziesięć lat od niego starszy, ale specjalnie nie protestował.

„Otóż – moi kochani! – od dwóch miesięcy nie żyjemy z Ireną razem – pisał w czerwcu 1976 roku do Iwony i Jerzego Szatkowskich. – Ona tylko ze mną [zamieszkuje] pod tzw. dachem wspólnym. Czekamy na mój powrót z Czechosłowacji (mam stypendium rządu CSRS na 3 miesiące, od 18-31X b.r!), by brać rozwód, który już się nie wycofa, jak drzewiej bywało!”[²⁴⁴].

U boku Bruna od pewnego czasu była już Bożena Palus, synowa pochodzącego z Grudziądza poety, Władysława Wągla. Nie wiadomo, w jakich okolicznościach się poznali, ale korespondowali ze sobą już od 1974 roku. Początkowo listy były dość rzadkie (zapewne spotkania również), z czasem ich znajomość przekształciła się w związek uczuciowy. A gdy Bruno wyjechał do Pragi, pisali do siebie właściwie bez przerwy, a z treści listów wynikało, że ich zażyłość przekroczyła już granicę przyjaźni. Bruno musiał też osobiście poznać

małego synka Bożeny, bo w każdym liście dodawał pozdrowienia dla chłopca, a czasem nawet wysyłał krótkie listy bezpośrednio do niego.

Bruno przebywał nad Wełtawą przez trzy miesiące i chyba czuł się tam bardzo dobrze. Mieszkał w przyzwoitych warunkach, oglądał czeskie zabytki i smakował miejscowe trunki. Tłumaczył, że przecież musi oszczędzać, więc co miał pić, skoro piwo kosztowało niecałe dwie korony, a coca-cola aż pięć? Poza tym bardzo przypadła mu do gustu mentalność Czechów.

„Rubasznosc Brunna i jego plebejski humor – pisał Janusz Żernicki – nieokiełznana skłonność do robienia psikusów i kawałów bardzo przypomina charaktery bohaterów Haska, Hrabala lub tak bliskiego mojemu sercu Jana Drdy. Nic też dziwnego, że podczas pobytu w Pradze Bruno czuł się nad Wełtawą tak, jakby to jego rodzinna Wisła czy Trynka była”^[245]].

Bruno wprawdzie tęsknił za synem (czasami do niego pisał), ale bardziej interesowała go korespondencja z Bożeną Palus. Jego listy były inne niż te wysyłane przed laty do Ireny – teraz pisał człowiek starszy o kilkanaście lat i bogatszy o wiele doświadczeń życiowych. Nie ukrywał przed partnerką swoich alkoholowych problemów, dzielił się z nią swoimi codziennymi kłopotami. I oczywiście zapraszał ją nad Wełtawę.

„[...] chciałaś ze mną wybrać się w Bieszczady! Nie będę w tym roku tam! A i nie »będę« zwracał uwagi na Twoich »narzeczonych« (skoro ich masz, bo chyba...). Ja też potrzebuję narzeczonej i tylko Ciebie widzę na krużganku! I w żadne Bieszczady, ale do Pragi bym rad Cię ściągnąć! Zatem słuchaj! Wiżę chyba masz. Jeżeli nie, to sobie wyrób (100 zł). Kup znaczek (300 zł). I uciułaj na bilet w jedną stronę (Warszawa-Praha)”^[246]].

Bożena skorzystała z zaproszenia, przywiozła mu polską prasę. Spędzili razem tylko kilka dni, ale to wystarczyło, by oboje stracili dla siebie głowę. Korespondencja nabrała tempa i czasami aż trudno uwierzyć, że była to epoka, w której każdy list zagraniczny trzeba było odnieść na pocztę...

„Na Braniku, gdy wróciłem z Czeskiego Cieszyna, zastałem dwa listy i dwie widokówki! – pisał zachwycony poeta do partnerki – To było wczoraj! Dzisiaj wracam [...], a tu kolejna porcja, czyli... trzy listy. Mój Boże! Jeżeli jeszcze gdzieś jesteś, płakać mi się chce!”^[247]].

W lutym 1977 roku ostatecznie orzeczono rozwód Milczewskich, a opiekę nad dziećmi przyznano matce. Bruno musiał płacić alimenty, a we wspólnym mieszkaniu dostał jeden pokój oraz prawo do użytkowania kuchni i łazienki.

JEZIORO DUŻE

Pisarz przeprowadził się do Warszawy i zamieszkał u Bożeny. Ale gdy

wreszcie mogli być razem, to okazało się, że ich związek nie miał przyszłości. Nie znamy bliższych szczegółów, ale już po kilku miesiącach było po wszystkim. W jednym z późniejszych listów poeta wyjaśniał partnerce, że do „takiej normalki, którą mu ustawiła, nie wróci, bo po co się ciągle rozstawać i witać”. Najwyraźniej wyciągnął konsekwencje ze swojego nieudanego małżeństwa i nie zamierzał brnąć w związek, który spotkałby podobny los. Na pożegnanie pojechali jeszcze razem do Ustki, można zatem uznać, że rozstanie odbyło się w kulturalnej atmosferze.

W tym samym czasie odciął też sobie drogę powrotu do Grudziądza, rzekł się bowiem na rzecz byłej żony prawa do ich wspólnego mieszkania.

„[Po rozwodzie] kursuje między Antoniewem u Jerzego Szatkowskiego, Grudziądem, Warszawą, bywa w nikomu nieznanymi miejscowościach, odwiedza przyjaciół, znika na całe tygodnie – wspomina jego syn. – Widuje się go na imprezach plastycznych i literackich, potem znów przepada”^[248]].

Przez wiele miesięcy mieszkał u Szatkowskich, u których pisał powieść *Jak już, to już*. Jednocześnie korespondował z terenowymi oddziałami ZLP. Jego nazwisko miało już swoją markę, więc wspomniano o możliwości załatwienia mu mieszkania w Bydgoszczy, Koszalinie, Rzeszowie. Pisarz poważnie myślał o mieście nad Brdą, ale jak zwykle więcej w tym wszystkim było obietnic niż konkretów.

„Robi się zima – pisał do Bożeny. – Dokąd stąd wyruszę – jeszcze nie wiem. Czekam na »pismo« od Prezydenta miasta Bydgoszczy. Grosza z ZLP mi jeszcze nie przysłali. A więc się wyprztykałem. Dojdą. Jeść co mam! Tylko na papierosy. Palę ok. 40 dziennie! Serce puka, ale trzyma fason!”^[249]].

Właściwie już nigdy więcej nie miał stałego adresu. Mieszkał przygodnie u znajomych, czasami waletował w akademikach, przenosił się z miejsca na miejsce. Coraz bardziej doskwierało mu zdrowie, miał problemy z układem krążenia i z nerkami. Wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości, a nie miał jeszcze wtedy 40 lat. Ale nadal to był ten sam Bruno co dawniej.

„Uczestniczyłem w wieczorze autorskim – wspominał Włodzimierz Kowalewski – pamiętam, że było to w takim miejscu, które nazywało się »Klub Morski«, w jednym z akademików w Toruniu. Bruno-Milczewski czytał swoje wiersze w sposób dość osobliwy, właściwie zmawiał te wiersze. Z pewnym nabożeństwem chodził po sali, powodowało to różne reakcje. Jedna z moich oburzonych koleżanek, polonistka, taka dość ortodoksyjna, krzyknęła w pewnym momencie: »Panie Milczewski, pan łamiesz związki frazeologiczne«. I wtedy Bruno odpowiedział: »Frazeologia to jedno, a życie to drugie. Życie trzeba dla życia, a nie dla frazeologii«”^[250]].

Coraz częściej wspominał o śmierci i czuł się coraz bardziej zmęczony.

Powtarzał słowa Andrzeja Bursy, że „nauczył się śmiać z własnego trupa”. Gdy w kwietniu 1979 roku po raz ostatni był u Szatkowskich, zniszczył wiele dokumentów. Tak jakby nie chciał, aby jego prywatne, niepublikowane dotąd zapiski przetrwały. A kiedy ostatni raz rozmawiał z Jerzym, poprosił go krótko: „Tylko bez pożegnań”.

„Kiedy wychodziłem do pracy, Bruno jeszcze spał – wspominał Szatkowski. – Jego autobus odjeżdżał o 13.00. Przez okno, z klasy, widziałem, jak stał na przystanku z chlebakiem, plecakiem i czerwoną torbą podróżną. Chciałem otworzyć okno, zawołać coś, ręką pomachać, ale... Przecież wierzyć chciałem, a może łudzić się tylko?!, że owo symboliczne »tylko bez pożegnań...« znaczyć musi, że znów »niebawem« – zobaczymy się...”[²⁵¹].

Los zadecydował jednak inaczej, bo już nigdy więcej nie było dane im się spotkać. Poeta pojechał na Toruński Maj Poetycki, gdzie doszło do tragedii. I można odnieść wrażenie, że Bruno ją przeczuwał.

„Nie chce mi się już żyć – słyszysz? – pisał 17 maja w liście do Piotra Müldnera-Nieckowskiego. – To powtórz za mną i nie powtarzaj nikomu. Jedziemy – na rzesach – do chyba nieba z licznymi poetami”[²⁵²].

Plenerowe spotkania poetyckie rządziły się swoimi prawami, toteż po wysłaniu tego listu Milczewski oraz inni pisarze postanowili odpocząć nieco na łonie natury.

„To był drugi dzień Toruńskiego Maja Poetyckiego w Toruniu – wspominał poeta i dramaturg Jerzy Rochowiak. – Po śniadaniu pojechaliśmy autobusem do Nowej Wsi Szlacheckiej, gdzie w pałacyku Zrzeszenie Studentów Polskich miało ośrodek kulturalno-szkoleniowy. Do obiadu było jeszcze trochę czasu, więc zeszliśmy nad jezioro. Po drodze kupiliśmy wina”[²⁵³].

Tego taniego wina musiało być niemało, gdyż relacje świadków znacznie różnią się między sobą. Pewne jest tylko to, że Bruno stwierdził, iż zawsze kąpał się jeszcze przed św. Janem, i pomimo ostrzeżeń, że woda jest bardzo zimna, postanowił popływać w Jeziorze Dużym.

„[...] Wszedł do wody w skarpetkach – relacjonował literaturoznawca Janusz Kryszak – bo jak powiedział – nie chce się przeziębic, trochę popływał i nagle krzyknął: »Chłopaki, nie mogę«, w tym też momencie poszedł na dno. Więcej już nie wypłynął. W tym miejscu była głębia kilkunastometrowa, o nurkowaniu nie było mowy, wszystkie próby okazały się daremne, bo nie można było zejść na taką głębokość”[²⁵⁴].

Natomiast według innych relacji Bruno utonął w stosunkowo płytkiej wodzie, tak jakby doznał szoku termicznego lub nagle chwycił go skurcz mięśnia. Janusz Żernicki twierdził nawet, że nikt nie chciał Brunowi udzielić

pomocy i że właściwie pozwolono mu utonąć:

„Przypadkiem przyjechałem prywatnym samochodem pół godziny później. Byłem zaskoczony [...] choć próbowałem użyć perswazji, groźby, a nawet [...] historycznych insynuacji, nikt nie chciał wskoczyć ze mną do wody, gdzie świeciły otwarte, jasnobłękitne oczy Bruna. [...] Było przynajmniej dziesięciu ludzi, od Zbyszka Jaskulskiego począwszy, na dr. Januszu Kryszaku, redaktorze Jurku Leszinie, Zbyszku Joachimiaku i mnie skończywszy [...]. Zabrakło sił zgromadzonych na brzegu, aby Mu pomóc, gdy tonął tak samo jak w życiu, gdzie mu zupełnie nikt nie pomógł, a »kumple« jak zwykle nie obiad mu stawiali”^[255]].

Ciało wyłowił miejscowy rybak. Złożono je na pomoście, gdzie leżało przez „wiele godzin, słońce paliło niemiłosiernie i wkoło wrzeszczały jak opętane jakieś ptaki”. Potem z pobliskiego pałacyku przyniesiono drzwi od łazienki i na nich przeniesiono zwłoki poety. Pogrzeb odbył się cztery dni później w Grudziądzu. W chwili śmierci Ryszard Milczewski-Bruno miał 39 lat.

Od wielu lat grób Bruna jest celem pielgrzymek jego wielbicieli, a sam poeta zapewne byłby zaskoczony swoją pośmiertną sławą. Zaliczono go do „kaskaderów literatury”, a tak naprawdę był jednym z wielu utalentowanych twórców epoki PRL, którzy nie poradzili sobie z własnymi słabościami. I chyba to najbardziej zostało mu zapamiętane, bo rodzina porządkująca mogiłę często zmuszona jest do usuwania licznych butelek opróżnionych „ku czci” poety przez jego wiernych czytelników. I można podejrzewać, że ten rodzaj pośmiertnego hołdu najbardziej przypadłby Brunowi do gustu...



ROZDZIAŁ 6

Koniak i poezja





„Stanisław Grochowiak darzył szczególną estymą knajpy, które przyciągały najgorszych, takie mordownie. Była taka naprzeciw Czytelnika, Jontek, wchodziło się po schodkach, stał tylko jeden stolik, a reszta przy barzepiła wódkę. Pamiętam hałas tych wszystkich głośnych gadań, brzęk szkła. On czasami był na samej górze, a taki Jontek to był mu potrzebny chyba, żeby być przez chwilę na samym dole”.

Artur Żalski

WIELKOPOLANIN Z URODZENIA

W latach 70. ubiegłego stulecia najbardziej cenionym przez wydawców poetą był Stanisław Grochowiak. Utrzymywał on swoją liczną rodzinę z poezji, nie miał poważniejszych konfliktów z władzami, był doceniany i odpowiednio promowany. Jednak nie potrafił poradzić sobie z własnym życiem, które zostało drastycznie skrócone przez uzależnienie od alkoholu. Zmarł na marskość wątroby w wieku zaledwie 42 lat.

Grochowiak pochodził z wielkopolskiego Leszna i chociaż większość życia spędził w Warszawie, to jednak do końca pozostał lokalnym patriotą.

„[...] częstokroć wygłaszał długie tyrady, w których dowodził, że kolebką Polski jest właśnie Wielkopolska, a może i jest wzorem dla kraju – wspominał pisarz Sławomir Kryśka. – Tyrady te wyprane były zresztą z jakichkolwiek szowinistycznych podtekstów – Wielkopolska nigdy nie nabierała wymiaru jakiegoś polskiego kraju Basków. Za Krakowem nie przepadał, z wyraźnym sceptycyzmem odnosił się do tezy, że kultura polska najbujniej rozkwitała na kresach wschodnich – jest to teza z brutalnym podtekstem politycznym – do samej Warszawy miał stosunek ambiwalentny”^[256].

Wojnę przeżył wraz z rodzicami w Warszawie, a Powstanie Warszawskie wywarło na 10-letnim chłopcu ogromne i niezatarte wrażenie. Do końca życia miał odczuwać lęk przed burzą – skarżył się, że grzmoty przypominają mu eksplozje bomb zrzucanych przez samoloty.

Egzamin dojrzałości zdał w rodzinnym Lesznie, po czym podjął studia na polonistyce w Poznaniu. I wówczas doznał pierwszej porażki życiowej, albowiem nie dopełnił na czas biurokratycznych formalności w dziekanacie i został skreślony z listy studentów. W rodzinnym Lesznie zatrudnił się w skupie makulatury, a niektórzy podejrzewali, że to właśnie wtedy zaczął przejawiać upodobanie do „przedmiotów brzydkich, kalekich i odrażających”, co później uwidoczniło się w jego poezji.

Pracował jeszcze w składnicy złomu, roszarni lnu, był też wychowawcą w domu dziecka w Rydzynie. W styczniu 1952 roku wydarzyło się coś, co mogło fatalnie zaważyć na jego życiu. Grochowiak po jakimś zawodzie uczuciowym nadużył alkoholu, wdał się w dyskusję z milicjantem i naruszył jego nietykalność cielesną. Na domiar złego wykrzykiwał jeszcze obraźliwe opinie na temat Bolesława Bieruta i w efekcie na kilka miesięcy trafił do aresztu.

Przed sądem odpowiadał z wolnej stopy, został jednak skazany na karę pozbawienia wolności. Miał jednak dużo szczęścia, bo zanim wyrok zdążył się uprawomocnić, ogłoszono amnestię, dzięki której ostatecznie nie trafił do więzienia.

Miał już wówczas za sobą debiut poetycki, bo jego wiersze opublikowano w

dodatku do „Słowa Powszechnego”. Okazały się one na tyle obiecujące, że młodym twórcą zainteresowali się przedstawiciele wydawcy tego pisma, czyli Stowarzyszenie „Pax”.

„[...] zaproszono nas na obóz szkoleniowy nad zalewem w Pilchowicach, zorganizowany pod szyldem Komisji Duchownych i Świeckich Intelktualistów Katolickich – wspominał literaturoznawca Jacek Petelenz-Łukasiewicz. – [...] Miejsce było piękne: zalew i tama, pływalismy kajakami. Mieszkaliśmy i słuchaliśmy wykładów w starym drewnianym schronisku”[²⁵⁷].

Grochowiak i Lukasiewicz musieli zrobić naprawdę dobre wrażenie, gdyż niedługo później przedstawiciele „Paxu” wystąpili z konkretną propozycją. Ofertę złożył im Tadeusz Mazowiecki, z którym obaj młodzieńcy spotkali się w Otwocku pod Warszawą.

„Zaproponował nam [...] pracę w redakcji »Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego«, który miał wychodzić od sierpnia – kontynuował Petelenz-Łukasiewicz. – Mówił o współpracownikach naszego działu kulturalnego, o rysownikach, z którymi rozmawiał. [...] Sekretarzem redakcji został Ignacy Rutkiewicz, naczelnym, co okazało się czysto formalnym szyldem, dość krótko był dr Andrzej Rogalski z Poznania [...]. Naprawdę od początku kierował tygodnikiem Mazowiecki”[²⁵⁸].

WROCLAW

Historia powstania Stowarzyszenia „Pax” jest jednym z najbardziej nieprawdopodobnych epizodów w dziejach Polski Ludowej. Jego założycielem był przedwojenny lider faszystującego odłamu endecji Bolesław Piasecki. Jego ugrupowanie ONR-Falanga zostało zdelegalizowane przez sanację, a sam Piasecki trafił na trzy miesiące do obozu w Berezie Kartuskiej.

W latach okupacji kierował prawicową Konfederacją Narodu, nie złożył też broni po wkroczeniu Sowietów. A kiedy wpadł w ich ręce, był osobiście przesłuchiwany przez jednego z najwyższych funkcjonariuszy NKWD, generała Iwana Sierowa.

I wtedy stało się coś zupełnie nieoczekiwanego, albowiem Piasecki przekonał Rosjanina do konieczności utworzenia w Polsce politycznej przeciwwagi dla Kościoła, opartej na świeckich katolikach i części duchowieństwa. Organizacja ta, z Piaseckim na czele, miała popierać rządy komunistów w Polsce.

Piasecki, którego Sierow nazwał „genialnym chłopakiem”, wyszedł z więzienia, mając zgodę na podjęcie działalności politycznej. Założył czasopismo „Dziś i Jutro”, a w 1947 roku zaczął wydawać gazetę codzienną „Słowo Powszechne”. Niebawem oficjalnie zainaugurowano działalność Stowarzyszenia „Pax”, którego został szefem.

Niemal od samego początku „Pax” pozostawał w konflikcie z hierarchią kościelną, albowiem próba pogodzenia dogmatów wiary z marksizmem była dla polskich biskupów nie do przyjęcia. Jeszcze gorzej układały się stosunki ze Stolicą Apostolską – w 1955 roku czasopismo „Dziś i Jutro” oraz książka Piaseckiego pt. *Zagadnienia istotne* trafiły na indeks ksiąg zakazanych. Niemniej jednak część polskich katolików wiązała z Piaseckim nadzieje na ułożenie normalnego życia w kraju rządzonym przez komunistów.

Grochowiak był praktykującym katolikiem i zapewne dlatego propozycja „Paxu” wydała mu się atrakcyjna. Poza tym tak naprawdę nie miał większego wyboru, a chciał za wszelką cenę wydostać się z prowincjonalnego Leszna. Tymczasem „Pax zaproponował mu naprawdę dobre warunki.

„Mieszkaliśmy zaś ze Staszkiem i ówczesnym redaktorem technicznym [Januszem] Sapałą [...] we wspólnym pokoju w orbisowskim hotelu »Monopol«, płacił »Pax« – kontynuował Lukaszewicz. – Dla mnie był to przeskok zadziwiający: z akademika do najluksusowszego hotelu, a finansowo ze stypendium wynoszącego wtedy 240 zł do posady z pensją 1200 plus wierszówka”^[259].

Grochowiak pił wówczas raczej niewiele, ale nie unikał spotkań w „kawiarni Artystycznej przy likierze miętowym” albo w „restauracji Klubowej, gdzie podawano czystą”. Przede wszystkim jednak pisał, i to właśnie wtedy powstały jego pierwsze ważne wiersze i opowiadania.

Atmosfera w redakcji była dobra, chociaż po latach Grochowiak miał na ten temat zupełnie inne zdanie. Napisał nawet powieść *Dzwonek niedzielny*, która była rodzajem pamfletu na stosunki panujące w zespole „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego”.

„[...] przedstawił tam pierwsze miesiące w redakcji jako okres koszarnej presji moralnej, łamania sumienia głównego bohatera, lekcji hipokryzji, przy czym ów główny bohater (niby autobiograficzny) okazuje się pojętym, ulegającym uczniem. Tak nie było. Nie łamano sumień, nie zmuszano do hipokryzji. Owszem, Ignacy, kiedy zjawialiśmy się w redakcji, *via* bar mleczny lub kawiarnia, gdzie zatrzymywaliśmy się ze Staszkiem na śniadaniu, prosił nas do siebie i napominał, żeby przychodzić punktualnie, bo praca zaczyna się nie koło południa, a o dziewiątej rano i interesanci czekają”^[260].

Pamflet, o którym mowa, powstał w czasach, gdy Grochowiak chciał się odciąć od swojej paxowskiej przeszłości i Piaseckiego. W pierwszej połowie lat 50. stowarzyszenie propagowało bowiem ideologię „społeczno-postępową” i robiło to w najtrudniejszym dla polskiego Kościoła czasie (internowanie prymasa, proces biskupa Kaczmarka, ruch księży patriotów). U Grochowiaka, szczerze i głęboko wierzącego katolika, musiało to budzić poważne wątpliwości,

które w niewielkim tylko stopniu łagodził fakt, że na łamach „WTK” drukowano poezję o charakterze religijnym oraz wiersze o miłości albo o urokach krajobrazu, co w czasach obowiązującego socrealizmu było prawdziwym ewenementem.

Na fali postalinowskiej odwilży w stowarzyszeniu doszło do rozłamu. W roku 1955 opozycjoniści pod przywództwem Tadeusza Mazowieckiego wysunęli zarzuty przeciwko dyktaturze Piaseckiego. Kwestionowano też nadmierny lojalizm „Paxu” wobec władz partyjnych oraz politykę państwa w stosunku do duchowieństwa. Ostatecznie Mazowieckiego i kilku innych działaczy zawieszono w prawach członków organizacji, a następnie z niej wydalono. Sprawa odbiła się również na Grochowiaku, który ich popierał – został karnie przeniesiony do Warszawy, a niebawem opuścił „Pax” na zawsze.

MAGDA

W chwili odejścia z „Paxu” Grochowiak był już żonaty, albowiem w 1954 roku poślubił swoją szkolną koleżankę Annę Magdalenę Herman. Ich związek zaczął się od wielkiej miłości i pomimo poważnych zawirowań miał przetrwać aż do śmierci poety.

„Rodzice poznali się jeszcze w Lesznie – wspominała ich córka Małgorzata Grochowiak – chodzili do jednej szkoły, a poznał ich ze sobą kuzyn ojca, Leszek Pawelczak, z którym mama wtedy się spotykała. Leszek był starszy trochę od ojca i opowiadał mi, że kiedy dostał wezwanie do wojska, poprosił Staszka, żeby zaopiekował się Madzią. A Staszek i Madzia zakochali się w sobie. Leszek mówił, że na początku to nawet miał pretensję do Staszka, ale kiedy zobaczył, że to wielka miłość, zrozumiał i wybaczył im”^[261]].

Grochowiak był zwolennikiem konserwatywnego modelu rodziny, według którego on powinien zapewnić utrzymanie, natomiast żona miała prowadzić dom. Jednak pomimo tego tradycyjnego światopoglądu nie potrafił zaakceptować częstych ciąż Magdy (urodziła mu sześcioro dzieci, ale jedno z nich zmarło w dzieciństwie). Były to sprawy, które go przerastały i których nie potrafił ani zrozumieć, ani uporządkować.

„Po Piotrusiu urodziła się Ola – opowiadał Petelenz-Łukasiewicz – po Oli Paweł, później Gosia, następnie Ania. Przyjechałem, kiedy Madzia była w szpitalu z Gosią, on był bezradny, na górze w pokoju płakał mały przemoczony i głodny Pawełek. Zaopiekowała się nim Marysia Sołtyk, którą poprosili o to Grochowiakowie”^[262]].

Rozrastająca się rodzina była powodem licznych scysji domowych, toteż gdy Magda po raz szósty zaszła w ciążę, bała się o tym powiedzieć mężowi. Wybrała najgorszą formę obrony, czyli ucieczkę.

„W grudniu 1965 przyjechała do naszego mieszkania we Wrocławiu Madzia – kontynuował Petelencz-Łukasiewicz. – Sama. Była w ciąży. Nie powiedziała o tym mężowi, ani o tym, że wyjeżdża. Chyba się bała. Mieszkała jakiś czas we Wrocławiu, potem, zaproszona przez Danutę i Jerzego Kosów, przebywała u nich w Trzebnicy. Pojechałem do Staszka, zastałem go smutnego, rozżalonego. Mówiliśmy o jej sytuacji. Chciał, żeby urodziła. Potem, gdzieś wiosną, Staszek, zaproszony przez Kosów, przyjechał do Trzebnicy. Przy nalewce cytrynowej następowo było godzenie przez nas małżonków, w końcu zasnęli przytuleni do siebie”[²⁶³].

Warto też zwrócić uwagę na relację siostrzeńca Grochowiaka, Wojciecha Stablewskiego, który był blisko poety i patrzył na jego życie z perspektywy członka rodziny. Niestety trzeba przyznać, że jego opinia o Magdzie jest wyjątkowo niekorzystna:

„Staszek i Madzia byli parą nieudaną. [...] Związek Staszka z Madzią oparty był na zauroczeniu i na potrzebach seksualnych obojga. Wkrótce pojawiło się bardzo dużo dzieci. Staszek, co wiem od Tadeusza Grochowiaka [brata poety – S.K.], wyłożył bardzo duże pieniądze, żeby Madzia nie mogła już zachodzić w ciążę. Przecież to był socjalizm i to było prawnie dopuszczalne. Nie wiem, co ona robiła z tymi pieniędzmi, ale dzieci przybywało”[²⁶⁴].

Najstarszą z córek Grochowiaków, Olgę, adoptował brat pisarza Tadeusz z żoną. Sami nie mieli dzieci, toteż chętnie wzięli na siebie obowiązki rodzicielskie wobec bratanicy. I trzeba przyznać, że zrobili to wyjątkowo skutecznie, albowiem Olga zawsze uważała ich za swoich prawdziwych rodziców...

Niestety, ucieczka ciężarnej Magdy do Wrocławia nie była wydarzeniem wyjątkowym, bo opuszczała ona dom również w obliczu innych problemów małżeńskich, pozostawiając dzieci pod opieką męża. W gronie znajomych przestano się temu dziwić i wszyscy doskonale wiedzieli, że kryzysy rodzinne u Grochowiaków kończą się z reguły nagłym wyjazdem żony.

„Była u nich też Olesia, niania dzieci, i ona się rzeczywiście nimi zajmowała, również gdy Madzia się obrażała i znikła – opowiadała Krystyna Brzechwa. – [...] Kiedyś przychodzimy do nich, a dzieci stoją na podwórku, pytamy: »A co wy tu robicie?«, a one na to: »Patrzymy, czy nie wróci mama albo tata«”[²⁶⁵].

REDAKTOR NACZELNY

Po przeprowadzce do stolicy Grochowiakowie zamieszkali w wynajętym domu w Brwinowie. W 1956 roku Stanisław został mianowany redaktorem naczelnym „Współczesności” i z entuzjazmem rzucił się w wir działań

organizacyjnych. Inna sprawa, że metody pracy stosowane przez Grochowiaka i jego zespół bywały mocno niekonwencjonalne. Trafnie opisał je Piotr Kryśka:

„Atmosfera raczej nie miała za wiele wspólnego z atmosferą panującą podczas składania przez ambasadorów listów uwierzytelniających głowom państw, jakoś często tłukły się szklane naczynia, w których uprzednio bynajmniej nie przechowywano soków owocowych lub oranżady, a już toczony mecze cymbergajowe wyzwały w kibicach ten sam typ zaangażowania emocjonalnego, jaki zawsze w kibicach wyzwalają mecze, zwłaszcza piłkarskie”^[266].

Grochowiak zadbał o wysoki poziom pisma. Drukowano w nim debiutujących autorów, atakowano uznanych pisarzy, nie cofano się przed prowokacją literacką. Redaktor naczelny był zwolennikiem fermentu twórczego – uważał, że po burzy mózgów w zespole zawsze powstanie coś nowego, niekonwencjonalnego, co można opublikować na łamach „Współczesności”.

A chociaż w redakcji alkohol lał się strumieniami, to sam Grochowiak nie pił jeszcze wtedy zbyt dużo. Traktował alkohol jako stymulator, a niejako cel sam w sobie; opracował nawet metodę umożliwiającą zachowanie względnej trzeźwości umysłu.

„Pił wtedy – a mówię o latach pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych – mało – opowiadał Aleksander Wieczorkowski. – Miał nieodmienny zwyczaj pić z małych kieliszków na dwie raty. Tak więc matematycznie – pił dwa razy mniej od pozostałych uczestników ucztowania. Nie doprowadzał się do »stanu upojenia«, był to rausz poalkoholowy”^[267].

Jednak to właśnie wtedy polubił lokale z wyszynkiem, w których spędzał znaczną część swojego zawodowego życia. Lubił też w nich się stołować, twierdził bowiem, że od potraw przygotowywanych przez żonę woli „mielonego z kapustą w knajpie”. Zarabiał już całkiem niezłe pieniądze i chętnie stawiał wódkę kolegom. A szczególne upodobanie miał do lokali o bardzo podejrzanym reputacji.

„Staszek darzył szczególną estymą takie knajpy, które przyciągały najgorszych, takie »mordownie« – twierdził kompozytor Artur Żalski. – Była taka naprzeciw Czytelnika, »Jontek«, wchodziło się po schodkach, stał tylko jeden stolik, a reszta przy barze piła wódkę. Pamiętam hałas tych wszystkich głośnych gadań, brzęk szkła. Staszek lubił takie miejsca, z nim byłem chyba pierwszy raz w takiej knajpie. On czasami był na samej górze, a taki »Jontek« to był mu potrzebny chyba, żeby być przez chwilę na samym dole”^[268].

Grochowiak nie pozostał jednak zbyt długo na swoim stanowisku – problem pojawił się wtedy, gdy odmówił wstąpienia do PZPR. Wprawdzie nie był typem buntownika i nie pozbył się marzeń o „socjalizmie z ludzką twarzą”, ale od

czasów „Paxu” unikał wszelkich form zorganizowanej działalności. W efekcie został zdjęty ze stanowiska redaktora naczelnego, a niebawem w ogóle usunięty z zespołu redakcyjnego. Oficjalnym powodem miało być jego uzależnienie od alkoholu, co w tamtych latach było argumentem mocno naciąganym, bo dopiero wyrzucenie go ze „Współczesności” sprawiło, że zaczął szukać zapomnienia w trunkach.

„Nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy Staszka – potwierdzał Wieczorkowski – gdyby nie ten śmiertelny cios, jakim stała się dla Niego utrata pisma, którego profil, ducha i rangę ogólnopolską stworzył praktycznie z niczego: z efemerydy, dziwnego, lokalnego pisemka dla kręgu wtajemniczonych. Tu można szukać klucza do przemiany Staszka – uroczego kompana przy kieliszku – w uciekającego w alkoholową nirwanę od swego losu człowieka”^[269]].

FOBIE

Grochowiak nie był najłatwiejszym człowiekiem w codziennych kontaktach. Od najmłodszych lat miał różnego rodzaju obsesje, które utrudniały życie nie tylko jemu, ale też jego otoczeniu. Autentycznym i poważnym problemem był wspomniany już lęk przed burzą i wyładowaniami atmosferycznymi. Świadkiem takiej sytuacji był Petelenz-Łukasiewicz, który kiedyś odwiedził go w Brwinowie.

„Nocowałem wtedy u niego. Pisałem mu chyba jakiś pilny artykuł, który zamówił dla »Współczesności«, Staszek pojechał do Warszawy. Wrócił wstrząśnięty. Okazało się, że wybuchła burza; na czas jakiś, ale nie dłużej chyba niż pół godziny, wyłączono prąd i musiał siedzieć w wagonie kolejki gdzieś pod Pruszkowem, gdy wokół uderzały pioruny. Nie mogłem zrozumieć dramatyzmu tego przejścia. Rzeczywiście przeszła burza, o której już się zapomniało. A on tak mocno się bał”^[270]].

Z pewnością Grochowiak był człowiekiem o niezwykle dużej wrażliwości. Wszelkie przejawy psychicznego dyskomfortu odczuwał bardzo dotkliwie, a wiele normalnych sytuacji życiowych stanowiło dla niego prawdziwy problem. Czasami prezentował też zachowania zupełnie nietypowe zarówno dla pisarzy, jak i dla całego rodu męskiego.

„W miejscach, w których Grochowiak pracował, nie mogło być żadnego bałaganu – wspominał jego asystent Zbigniew Jerzyna. – Żadnych porzrzucanych książek ani papierów. Nawet najdrobniejszy pyłek na dywanie uwierał go, rozpraszał uwagę. Natomiast mogło być głośno. Często w trakcie pisania nastawiał muzykę. Miał wręcz idealną zdolność koncentracji”^[271]].

Przeraźliwie bał się cmentarzy, toteż nie potrafił zmusić się do

uczestniczenia w pogrzebach. Wprawdzie po śmierci siostry pojawił się na uroczystości żałobnej, ale wyprowadzenie zwłok na cmentarz było dla niego przeżyciem niezwykle traumatycznym. Ostatecznie wziął udział w pogrzebie, ale lęk, jakiego doznawał, był znacznie większy od żalu po śmierci bliskiej mu osoby.

„Był pijany – wspominała jego kuzynka Anna Boharewicz-Richter. – On i Roman Sliwonik zamiast na cmentarz, chcieli koniecznie pójść do pobliskiego baru. Ledwo ich od tego zamiaru odciągnęłam. Nie wiedziałam dokładnie, gdzie, na jakim cmentarzu ma być pogrzeb Żeni. Pytam Staszka. On mętnie tłumaczy: »Piękna cerkiewka, w kształcie cebulki...«. Pojechalśmy na Wolę. [...] Już na cmentarzu nie podszedł blisko grobu. Bał się. Natomiast obecny Himilbach wrzucał do niezasypanego jeszcze dołu czerwone goździki, a grabarz (ze względu na jakiś przesąd) ciągle je stamtąd wybierał”^[272].

Grochowiak nie lubił wyjeżdżać poza Warszawę i na dobrą sprawę tolerował jedynie zimowe pobyty w Kazimierzu i w Sopocie (nie było tam wówczas turystów). Lubiał też Dom Pracy Twórczej w Oborach i podobną placówkę w Radziejowicach. Niestety, zdarzyło się, że kiedyś nadużył tam alkoholu i został uznany za osobę niepożądaną. Miał bowiem specyficzne poczucie humoru, które nie zawsze odpowiadało decydentom od spraw kultury.

„Późnym wieczorem tego dnia odbyła się solidna popojka – relacjonował Zbigniew Jerzy na. – Już w nocy Stanisław powiada: »A teraz pokażę Wam Białą Damę«. Dzierżąc zapalone świece, ruszyliśmy na komnaty. W którymś kolejnym pokoju podniósł się całkiem niekobiecy krzyk. Pojawiła się postać w długiej białej koszuli. Wycofaliśmy się pośpiesznie. Rano, przy śniadaniu Grochowiak dostał wymówienie pobytu. Okazało się, że Białą Damą był wiceminister kultury”^[273].

Grochowiak często miewał silne stany lękowe. Obawiał się, że niczego wartościowego więcej nie napisze, że kompletnie się już wypalił. Otoczenie sugerowało mu wówczas, by przerwał pracę i wyjechał odpocząć. Ale to było dla niego problemem nie do przewyciężenia, nie wyobrażał sobie realizacji tych pomysłów. Wyszukiwał więc komiczne i absurdalne argumenty, które miały udowodnić, że wyjazd może być dla niego śmiertelnie niebezpieczny.

„No dobrze – powiada – jadę, zaszywam espectral i jadę. Jestem wysoko w górach, jest zimno, zapada noc – zbłądziłem. Na całe szczęście odnajdują mnie ratownicy z psem bernardynem, który ma u szyi zawieszoną beczułkę z rumem. Ja ten rum wypijam i oczywiście umieram”^[274].

I ostatecznie nie pojechał...

Z Brwinowa Grochowiakowie przeprowadzili się na Sadybę, którą wówczas uważano za podmiejską część Warszawy. Niewielkie mieszkanie z salonem wyposażonym w pianino, na którym grywał Stanisław, duża kuchnia i pokoiki dziecięce z piętrowymi łózkami.

„Grochowiakowie prowadzili dom otwarty – wspominał Artur Żalski. – Staszek zawsze przyproceedzał kolegów. Mnie takie długotrwałe bale nigdy nie bawiły, więc nie bywałem tam zbyt często. Zawsze się coś działo: albo żona uciekała, albo Staszek ją właśnie gonił po schodach, dzieciaki biegały... Pieniędzy nigdy nie było dużo, bo nawet jak Staszek zarobił, to szybko wydawał, trzeba było różne długi pooddawać. Żyli z dnia na dzień”^[275]].

Magda sprawdzała się jako gospodyni, szczególnie w przygotowywaniu wielkopolskich potraw. Często odwiedzali ich bez zapowiedzi początkujący twórca, Stanisław potrafił być jednak człowiekiem wyjątkowo cierpliwym i zawsze znajdował dla nich czas.

„Za oknem Grochowiaków na Sadybie kumkały w fosie żaby – opowiadał Roman Śliwonik. – Staszek miernie grał na pianinie, na ścianach błyszcząły lub ciemniały malowane przez niego obrazy, ziemniaki pachniały po poznańsku i jeśli ktoś powiedział, że Staszek jest człowiekiem renesansu, to jeszcze tyle wieczorów było przed nami, że wątpliwości nie mąciły najśmielszych opinii”^[276]].

W życiu codziennym poeta był jednak człowiekiem zupełnie niepraktycznym – humanistą, któremu udział w pracach domowych groził śmiercią lub kalectwem. Najbliźsi, widząc go z młotkiem lub śrubokrętem w rękę, obawiali się katastrofy i rzadko mylili się w swoich przeczuciach. Z reguły bowiem stanowiło to preludium do poważnych problemów.

„Nic w domu nie potrafił zrobić, gwoździa wbić – opowiadała jego córka Anna – od razu trzeba było biec z apteczką, był zupełnie nieporadny, chociaż chęci miał dobre. Kiedyś wziął się na ambit i próbował naprawić coś w łazience, akurat byli jacyś goście. I w pewnym momencie ojciec z wielkim krzykiem wybiegł z łazienki, z podwiniętymi nogawkami spodni, wołając: »Madzka! Ratunku, topię się!«. Zalał łazienkę”^[277]].

Po rozstaniu ze „Współczesnością” Grochowiak podjął pracę w „Nowej Kulturze”, a następnie został członkiem redakcji „Kultury”. Wielokrotnie wchodził w konflikty z jej redaktorem naczelnym Januszem Wilhelmem, ale z reguły odnosił zwycięstwa. Wilhelmi bowiem, przy całej swojej bezwzględności, szanował prawdziwych pisarzy. Ale tylko do czasu.

„[Grochowiak] premiował tam młodych poetów – wspominał prozaik Janusz Krasiński – z niektórych wyrosli prawdziwi, ale czuł, że jego rola w tym piśmie jest fikcją, pozornym uznaniem wielkiego poety dla legitymizacji zniewalającej

naród władzy. Nigdy tego nie mówił, był skryty pod tym względem, ale wiem, że to czuł. Wydalono go z »Kultury« pod pretekstem pijaństwa”^[278]].

Grochowiak nie potrafił zrozumieć, że jego problemy z alkoholem zawsze będą stanowiły wygodny pretekst dla jego przełożonych. Pił już wtedy niemal bez przerwy, nie pojawiał się w pracy przez kilkanaście dni, a gdy dostał wymówienie, był bardzo rozżalony. Taka sytuacja miała się zresztą jeszcze nieraz powtarzać.

Z drugiej jednak strony ten uzależniony od alkoholu człowiek potrafił czasem postępować niezwykle konsekwentnie. Wiedział, że musi utrzymać rodzinę i że to jest jego najważniejsze zadanie. Z tego też powodu zawsze zabiegał o popularność, wiedząc, że będzie miało to przełożenie na jego dochody.

„Był bezwzględny w działaniach przynoszących mu rozgłos, sławę, uznanie – potwierdzał Śliwonik. – Był mądrym, inteligentnym poznaniakiem, a poznaniak znaczy praktyczny, zapobiegliwy, interesowny i trzeźwo myślący. O ironio, jednak trzeźwo myślący”^[279]].

Zapobiegliwość okazywał nawet w stanie kompletnego upojenia alkoholowego, toteż wracając do domu po wypłacie, prosił kolegów o eskortę. Nie chciał stracić pieniędzy przeznaczonych na dom, nie potrafił się jednak powstrzymać od picia alkoholu.

„Uważam, że najważniejszą zaletą ojca była odpowiedzialność – wspominała jego córka Małgorzata. – Za nas, za dom – zajmował się rachunkami. Dla poety dosyć nietypowe. Z jednej strony miał głowę w chmurach, ale z drugiej twardo stał na ziemi. Wiedział, że trzeba zapłacić rachunki, mamie dawał pieniądze, wiedział, ile co kosztuje. Myślę, że wyniósł to z domu swoich rodziców, przecież dziadek był bardzo poukładanym człowiekiem, ceniącym sobie porządek i znającym swoje obowiązki”^[280]].

Natomiast w ogóle nie dbał o ubiór, chociaż czasami musiał wyglądać elegancko. Pod tym względem zdał się na żonę, która niestety kompletnie nie miała gustu. W efekcie jego ubrania czasami wzbudzały przerażenie przyjaciół.

„Ubierał się strasznie – relacjonował Śliwonik. – Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki odbierał w moim garniturze i cały czas bałem się, że trzasną szelki i z Grochowiaka spadną długie spodnie. Ubierała go żona, Magda, i kąpielówki, w których wyszedł na plażę w Sandomierzu, gdzie pojechaliśmy na urlop – poraziły wszystkich. Wielkie, szerokie, sięgające za kolana dynamówki, w których Grochowiak niknął, ginął, przepadał. To zdecydowało i jednak mu powiedziałem, że na święcie są krawcy”^[281]].

Wprawdzie Śliwonik twierdził, że w Polsce „tylko narzeczone poetów czytają wiersze” i to wyłącznie „dlatego, że chcą wyjść za mąż”, ale Grochowiak cieszył się autentyczną popularnością wśród pań. Jego poezja trafiała w upodobania płci pięknej, co pisarz bardzo wysoko sobie cenił.

„Podejrzewam, że ojciec lubił swoją popularność – twierdziła jego córka Anna. – Mówiło się, że Grochowiak ma swój dwór pochlebców i trochę go rozbestwiali, bardzo go hołubiąc. Zawsze tam, gdzie był, znajdowało się dużo osób ciągle go chwalaących, tak że z czasem to polubił”^[282].

Polubił również damskie towarzystwo i chociaż nie był typem uwodziciela, to jednak zdarzały mu się przygody pozamałżeńskie. Początkowo tłumaczył to koniecznością posiadania własnej muzy, ale jego wybranki czasami zaskakiwały otoczenie. Wydawało się bowiem, że niewiele mają wspólnego z poezją...

Jedną z jego „narzeczonych” była wysoka, potężnie zbudowana kobieta, mająca „ambicje artystyczne jako baletnica”. Podobno kiedyś „zarwał się pod jej ciężarem stół, gdy wskoczyła na niego, aby zademonstrować jakiś żywiołowy taniec”. Partnerka miała jednak dobroczynny wpływ na poetę i potrafiła go uspokoić w najbardziej nerwowych sytuacjach. Toteż gdy pewnego razu poirytowany Grochowiak zaczął tłuc jej zastawę stołową, spokojnie wytłumaczyła mu, że nerwy szkodzą jego talentowi. I to podziałało na poetę.

„Z dziennej Kameralnej przenosiliśmy się czasem naprzeciw, do zagraconego mieszkania na wysokim piętrze w pięknej secesyjnej kamienicy – wspominał Marek Nowakowski. – Tam mieszkała muza Staszka Grochowiaka, dziewczyna o wybujałych kształtach. Ona chętnie nas przyjmowała. Dalej biesiadowaliśmy. W miarę postępującego opilstwa ogarniała nas atmosfera entuzjastycznego podniecenia i zalecaliśmy się dość obcesowo do pani domu. Pewnego razu jeden z poetów, wykorzystując sen znużonego alkoholem mistrza, poczynił sobie nader zdobywczó z tą kariatydą. Malutki, drobnej postury poeta o twarzy grzecznego chłopczyka i ona, rubensowska dziewoja. Wtulony w jej biust, jego rączki obłapiają jej pośladki, podgarniają spódniczkę. Mistrz zbudził się i ryknął wielkim głosem:

– Precz, niegodziwcze!

Malutki poeta czmychnął w kąt.

Prawdę powiedziawszy, reagował prawidłowo. Napięcie jej zadu, uda i ten wydatny biust – to był wybuch bomby dla głodnej wyobraźni. Pierwszy zdobył się na odwagę i chciał zastąpić mistrza”^[283].

Grochowiaka męczyła wciąż powiększająca się rodzina i nie chciał już następnych dzieci. Zapewne wiedział, że Magda pod tym względem nie jest wzorem odpowiedzialności, nie zamierzał jednak zrezygnować z erotycznej strony życia. Miał swoje potrzeby, a kobiety najlepiej potrafiły wyrazić uznanie

dla jego talentu. Oczywiście nie wszystkie znajomości miały podtekst seksualny – często wystarczał mu zachwyty urodziwej czytelniczki. Niestety, czasami formy uwielbienia przybierały karykaturalne formy, a Grochowiak tracił do siebie dystans i bezkrytycznie przyjmował każde pochlebstwo.

„[...] ojciec siedział w restauracji w towarzystwie – opowiadała Anna Grochowiak – i jakaś pani, poruszona jego słowami, wykrzyknęła w którymś momencie: »Staszku, jesteś największym poetą w Warszawie!«, na co Grochowiak z pewnym zainteresowaniem: »Tak?«, »Nie, jesteś największym poetą w Polsce!!«, »Tak??«, »Nie, jesteś największym poetą na świecie!!!«, »Tak???, »Nie, jesteś największym poetą we wszechświecie!!!!«. Na co ojciec podobno poderwał się i krzyknął: »Jestem Bogiem!!!«”^[284]].

POLITYKA

Chociaż Grochowiak odmówił wstąpienia w szeregi PZPR, to nie przejawiał niechęci do rządzących krajem komunistów. Czasami nawet można go było posądzić o pewną naiwność polityczną, ponieważ szczerze wierzył, że system wcale nie jest zły, a wszystkiemu winni są tylko ludzie. Nie był w tym zresztą odosobniony, bo ideologia marksistowska skutecznie zdeformowała poglądy wielu inteligentnych ludzi.

Poeta w dziwny sposób łączył światopogląd katolicki z socjalizmem i nie przeżywał z tego powodu specjalnych dylematów moralnych. Miał idealistyczne poglądy na otaczającą go rzeczywistość i nie zwracał uwagi na opinie bardziej uświadomionych kolegów.

„Nie, wiem – dziwił się Aleksander Wieczorkowski – czemu przypisać tak długi czas wiary Grochowiaka w możliwość »socjalizmu katolickiego«. Być może nie potrafił przyznać się sam sobie, że młodzieńcze złudzenia, które go doprowadziły do »Paxu«, były błędem naiwności. Mimo znajomości faktów, ujawnionej mistyfikacji »misji« Bolesława Piaseckiego – czepiał się z uporem myśli, że idea humanizmu socjalistycznego przepojonego chrześcijańskim duchem była słuszna, mimo ludzkiej małości i podłości jej głosicieli”^[285]].

Poglądy poety nie stanowiły zresztą jakiegoś niezwykłego wyjątku – znajomy Grochowiaka, dziennikarz Jacek Sędzimir, jeszcze w 2008 roku uważał, że Piasecki był „wybitnym politykiem, miał bardzo szerokie horyzonty i udało mu się sporo dobrego dla wielu ludzi i Polski zrobić”. Natomiast inny jego kolega, poeta Marian Grześczak, po latach z zachwytem wspominał poetycki protest Stanisława przeciwko zamachowi wojskowemu w Chile.

„Na wiosnę 1974 roku Stanisław Grochowiak z interpretacją aktorską Zofii Rysiówny wystąpił publicznie z poematem *Allende*. [...] W wydanej na tę okazję bibliofilskiej książce Grochowiak pomieścił poemat o zamordowanym w

zamachu prezydencie Chile, Allende. [...]

Chile było wtedy na ustach całego świata i mord legalnie i demokratycznie wybranego prezydenta Allende przez juntę wojskową jednoczył ludzkość w obronie demokracji. Głos polskiego poety zabrzmiał szlachetnie, jednak bez związku z rzeczywistością. Prostota i bezwzględność historii zderzyły się z komplikacją formy i języka”[²⁸⁶].

Niewykluczone jednak, że rzekoma naiwność polityczna Grochowiaka była zwykłą kalkulacją. Poza poematem *Allende* poeta unikał w swoich późniejszych utworach „bezpośredniego związku z rzeczywistością”. Interesowały go raczej „erotyka, przemijanie, rozkład, śmierć”, a także „reminiscencje ze staropolskiej kultury i tradycji”. Wydaje się, że był to przykład całkiem przytomnego spojrzenia na otaczającą go rzeczywistość – efekt świadomej decyzji pisarza, który wiedział, że wszelka forma opozycji zakończy się dla niego katastrofą finansową. Do partii mógł nie należeć, bo władze czasami tolerowały bezpartyjnych, stwarzając pozory pluralizmu politycznego, ale żadna kontestacja nie wchodziła w grę. I w zamian za swoją postawę był drukowany w dużych nakładach, zbierał pozytywne recenzje, zapraszano go do radia i telewizji, gdzie doskonale się sprawdzał. W odróżnieniu bowiem od wielu innych twórców doskonale interpretował własną poezję.

„Na ogół nie lubię, kiedy poeta czyta wiersze – zwierzał się Ernest Bryll. – Jednym z niewielu wyjątków był dla mnie Staszek. Czytał, dziwnie akcentując, bardzo zawsze poważny, ale w jego recytacji wiersze były jeszcze piękniejsze”[²⁸⁷].

Poeta doskonale wiedział, że władarze PRL potrafią mu znacznie utrudnić życie, a przekonał się o tym, gdy zwalniano go z kolejnych redakcji. W jego przypadku metoda kija i marchewki przyniosła dobre rezultaty, bo artysta nigdy nie zapominał, że pod względem finansowym odpowiedzialny jest za byt rodziny.

„Wierzył w magię telewizji – wspominała Anna Grochowiak. – Dobrze wypadał w telewizji i był z siebie zadowolony, mówił powoli, ciekawie. Zawsze go porównywałam z aktorem Henrykiem Bistą, którego mowa przypominała mi ojca, to zawieszanie głosu, namysł przed odpowiedzią, momenty napięcia. Ojciec miał zadatki aktorskie”[²⁸⁸].

Występy przed kamerą traktował również jako ważny element swojej literackiej misji. Starał się przekonywać do własnych koncepcji, do swojego punktu widzenia. Uważał, że jako poeta ma prawo wypowiadać sądy, które powinny być z rozważą przyjmowane przez widzów. Czasami jednak bywał zbyt arbitralny.

„Grochowiak udzielał się często i bywał też krytykowany – uważał publicysta

Piotr Kuncewicz. – W pewnym bardzo lekko tylko zawoalowanym felietonie, gdzie zresztą i mnie się dostało za coś tam, pisano wręcz o tym, że był nadęty. Sprawa jest bardziej złożona. Grochowiak miewał do powiedzenia rzeczy bardzo ciekawe, i to w wielu dziedzinach. Natomiast jest pewne, że w jego charakterze tkwiła pewna solenność czy zgoła namaszczenie, co się objawiało szczególnie mocno właśnie przy okazjach publicznych”[289].

To właśnie w tym czasie uwierzył, że dostanie literacką Nagrodę Nobla, zanudzając przyjaciół opowieściami, że Józef Tejchma (minister kultury i sztuki) „mu ją załatwi”. Znajomi uważali to za „wódczane majaki” i w tym przypadku mieli całkowitą rację...

ALKOHOL

„»Aleksander« poinformował mnie – pisano w notatce Służby Bezpieczeństwa z lipca 1970 roku – że wiadomo mu jest, iż literat Stanisław Grochowiak został ostatnio zwolniony z posady w tygodniku »Kultura« (gdzie miał stały ryczałt) oraz ze stanowiska kierownika literackiego w Zjednoczonych Zespołach Realizatorów Filmowych. Powodem tego jest nadużywanie przez Grochowiaka alkoholu – nałogowo i zaniedbywanie swych obowiązków i maltretowanie żony i syna. Aby zabezpieczyć minimum egzystencji Grochowiakowi – Józef Lenart załatwił mu roczne stypendium Ministra Kultury i Sztuki wynoszące 2500 zł miesięcznie. Mimo tego Grochowiak nie pracuje twórczo. Zdaniem »Aleksandra« jest kompletnym alkoholikiem. W poprzednim okresie przechodził już kurację odwykową”[290].

Wydaje się, że relacja „Aleksandra” nie do końca była prawdziwa, bo choć poeta faktycznie stracił pracę z powodu alkoholizmu, to brakuje innych relacji na temat „maltretowania żony i syna”. Z drugiej jednak strony siostrzeniec Grochowiaka wspominał, że kiedyś syn pisarza uciekł do ciotki, tłumacząc, że już dłużej nie może w domu wytrzymać.

Wbrew opinii konfidenta Grochowiak przez cały czas twórczo pracował. Inna sprawa, że z upływem lat proces twórczy przybrał formę pijackiego obrzędu.

„Rytuał picia był u Grochowiaka prosty – tłumaczył krytyk Jan Marx. – Upijał się wieczorem, a rano pisał, krzepiąc się piwem lub winem. Pisał tak do momentu, gdy słaby alkohol, który gonął porannego kaca, na to pozwalał. Przekroczywszy progową dawkę wstępnego upicia, Staszek [...] szedł w Polskę”[291].

W początkowej fazie choroby alkoholowej Grochowiak jawił się jako uroczy kompan. Nigdy nie pił na cudzy rachunek, płacił za innych, był znakomitym rozmówcą. Alkohol wydobywał z niego to, co najlepsze, poeta czarował erudycją

i dowcipem, potrafił też być wdzięcznym słuchaczem. Czasami sprawiał wręcz wrażenie, że do każdego pijaństwa specjalnie się przygotowuje, aby intelektualnie oczarować kompanów.

„Bo nawet w picciu i w stawianiu trzeba mieć wdzięk, takt – twierdził Roman Śliwonik. – Niektórzy potrafią stworzyć własną urodę picia. Wiem, że do czasu, ale tak jak trzeba nauczyć się zachowania przy stole i chcieć wypracować w sobie umiejętność przewodzenia towarzystwu – tak i własnego stylu picia należy się nauczyć”^[292].

Jedyne, co wówczas niepokoiło jego alkoholowych partnerów, to upodobanie do nietypowych trunków. Grochowiak unikał bowiem czystej wódki, preferując winiaki, co uznawano za wyjątkowo szkodliwe dla zdrowia. Znamca tematu Ireneusz Iredeński uważał, że to musi się źle skończyć.

„Te koniaki go zgubią, kulwa [Iredeński nie wymawiał »r«], tylko czysta i bloń Boże odstawiać. Taki zobacz, twólca Kubiak [Tadeusz Kubiak – S.K.]. Powiedział, że przerzuca się na mleczo. I co? Długo pożył? Góla dwa tygodnie. Organizm nie zniósł wstrząsu”^[293].

Z czasem jednak Grochowiak przeszedł na czystą wódkę, ale wtedy wlewał już w siebie ogromne ilości alkoholu. Podobno zaproszenie na popołudniowego drinka „w żargonie poety oznaczało wypicie około litra wódki na twarz w ciągu kilkunastu godzin”. A gdy nie miał kompanów do picia, to pijał do lustra albo „dozorcom stawiał wódkę”.

Dziwnym jednak trafem pomimo straszliwych dawek alkoholu zachowywał doskonałą formę intelektualną. Wprawdzie miał coraz większe problemy ze zdrowiem, ale jego umysł pracował bez zarzutu. Pisał praktycznie do końca życia, udało mu się zaadaptować nałóg do procesu twórczego, pisał na kacu i po pijanemu, „odrabiając iście katorżniczą robotę redakcyjną i literacką”. Pod wpływem trunków potrafił też zachowywać dystans do siebie samego.

„Był alkoholikiem, ale umiejącym zachować godność – tłumaczył Janusz Krasiński. – Krążył taki dowcip: »Co to jest?« – »Wąż«. – »A to?«. – »Pijany wąż albo Grochowiak wracający ze Spatifu«. Szedł sztywny do taksówki i jechał do domu na Sadybę. Kiedyś potknął się i przewrócił. Zdarzyło się to na oczach dużego towarzystwa. Podniósł się i powiedział chmurnie: »Byliście świadkami mojego upadku«. Udawaliśmy, że tego nie spostrzegliśmy, ale nie dowierzał [...]”^[294].

Pijany Grochowiak pozostawał dżentelmenem i zawsze potrafił ująć się za kobietą, gdy ta znalazła się w kłopotach. Ale najczęściej jego zachowania wzbudzały tylko wesołość pijanego otoczenia.

W »Manekinie« siedzą Grochowiak, [...] Bohdan Drozdowski i legendarny Jerzy Falkowski – wspominał Zbigniew Jerzyna. – Maja Wachowiak miała

wówczas ogromny dekolty. W pewnym momencie ręka Bohdana Drozdowskiego błądzi w kierunku dekolty Mai – było to po kilku butelkach mocnego alkoholu. Zrywa się Grochowiak i powiada: »Ktokolwiek dotknie dziewczyny, którą kocham, niechaj pamięta, że będzie miał ze mną do czynienia, a bywam groźny«. Po czym zasypia”[²⁹⁵].

MARYSIA

Jednym z głównych problemów małżeńskich Grochowiaków był brak kontaktu intelektualnego – Magda nie była kobietą, dla której poeta „spaliłby kukłę swojego diabła”. Stanisław wprawdzie kochał żonę i nie chciał radykalnych zmian, ale nie myślał, aby dla niej zerwać z nałogiem.

„Madzia była idealną nałożnicą, ale nie partnerem na życie – uważał siostrzeniec poety. – Jej po prostu nic poza podstawowymi bytowymi sprawami nie interesowało. Ona siedziała z gosposią i pytlowały, a Staszek w tym czasie pisał *Rozbieranie do snu*. Poezja i proza. Co to za małżeństwo, [gdy] Madzia nagle zniknęła, po czym wracała i znowu uciekała. On miał tolerancję wobec Madzi wyjątkową. To, co ona powiedziała mi po śmierci Staszka... Powiedziała: »Teraz dopiero zacznę żyć!«. Mówiła to serio. Między nimi nie było uczucia, była konsekwencja wyboru”[²⁹⁶].

Jednak obciążanie jej winą za alkoholizm poety wydaje się jaskrawym nadużyciem. Grochowiak dobrze wiedział, że nałóg jest chorobą, i praktycznie nie zrobił nic, aby z nim walczyć. Nie zamierzał niczego zmieniać nawet wówczas, gdy u jego boku pojawiła się ta właściwa kobieta. Nie chciał się leczyć, ponieważ uważał, że dla niego proces twórczy bez alkoholu jest niemożliwy.

Być może nie cenił zbyt wysoko swojej żony, jednak był o nią zazdrosny. On mógł mieć romanse, znajdować sobie kolejne muzy, ale nie wyobrażał sobie odwrotnej sytuacji. A z powodu jego chorobliwej zazdrości czasami dochodziło do scysji domowych.

„Staszek to był zazdrosny furia – wspominała Krystyna Brzechwa – i manifestował to, zwłaszcza kiedy tracił kontrolę nad piciem i robił awantury, zdarzały się przepychanki, głównie z Madzią. Pamiętam taką sytuację, że namalowałam Madzi portret i przyniosłam na jej imieniny, i potem okazało się, że on ten portret przebił mieczem [który na co dzień trzymał pod łóżkiem!!! – S.K.], ale celował w tło, a nie w twarz. Śmiałam się, że widocznie portret musiał zrobić na nim tak wielkie wrażenie i wydał się bardzo prawdziwy. Nie wiem, czy ta zazdrość była uzasadniona, czy nie”[²⁹⁷].

Inna sprawa, że jeśli chodzi o Grochowiaka, to słowo „awantura” bywało jawną przesadą. Magda miała skłonność do hysterii i już po drobnej sprzeczce

dzwoniła do koleżanek po wsparcie, co pogarszało sytuację, bo dopiero po ich przybyciu z odsieczą dochodziło do prawdziwej burdy...

Pod koniec lat 50. Grochowiak poznał studentkę architektury Marię Sołtyk. Ich znajomość niebawem przerodziła się w stały związek, chociaż pisarz uczciwie zapowiedział, że nigdy nie rozwiedzie się z żoną.

„Mieliśmy wtedy po dwadzieścia kilka lat i buntowaliśmy się – wspominała Maria. – Później zdaliśmy sobie sprawę, że już nie jesteśmy tacy młodzi, po co się buntować, ale wcześniej był bunt. Nie polegał on jednak na czarno-białym widzeniu świata. Mieliśmy krytyczny stosunek do ludzi, którzy zbyt łatwo osądzają, nie próbują zrozumieć innych”^[298] .

Pojawiło się uczucie, a Grochowiak zrozumiał, że spotkał kobietę, która jest dla niego inspiracją do działania. Podobno mówił, że Maria była „jego natchnieniem, jego duszą”, nie bez znaczenia był również fakt, że partnerka godziła się na daleko idące ustępstwa.

„Moja rodzina była przerażona związkiem ze Staszkiem i próbowała interweniować – opowiadała Marysia. – Ja nie byłam przerażona, ja tylko cierpiałam, bo nie mieliśmy się gdzie spotykać, tylko czasami mogliśmy widzieć się w kawiarni, porozmawiać chwilę, a potem musieliśmy rozstać się na ulicy i każde wracało do siebie”^[299] .

Po pewnym czasie panna Sołtyk wzięła sprawy we własne ręce, wyprowadziła się od siostry i wynajęła pokój na Pradze. Tam, na ulicy Radzymińskiej, poczuła się wreszcie „niezależna i samodzielna”, wówczas też zaczęła malować. Regularnie odwiedzał ją Grochowiak, dla którego wizyty na Pradze były zupełnie nowym doznaniem.

„Staszek w tej nowej sytuacji również znajdował impuls do świeżych pomysłów. Sama Praga też go zauroczyła, bo to, co moją rodzinę raziło (zawsze mówili, że ja jadę „na PraGIE”, podkreślając, że tam się nie umie mówić po polsku), Staszka urzekło. Stara Warszawa, prości ludzie, małe sklepiki, zegarmistrz, u którego na wystawie podskakiwał śmieszny mechaniczny Chińczyk, szewc, który zawsze mi buty reperował i odnosił do mnie z nabożeństwem”^[300] .

Niezadowoleni byli również matka i brat Grochowiaka. Jako praktykujący katolicy nie potrafili zaakceptować tego, że Stanisław regularnie zdradza żonę, chociaż z czasem przekonali się do panny Sołtyk. Tadeusz Grochowiak uważał, że brat powinien dokonać ostatecznego wyboru.

„Tadeuszowi najtrudniej było zaakceptować, zrozumieć tę podwójność życia Staszka, brak zdecydowania – wspominał Jan Sędzimir. – [...] uważał, że Staszek albo nie powinien porzucić rodziny, albo powinien określić się zdecydowanie, po męsku. Madzia czuła się silniejsza, bo miała przy sobie dzieci, a Stanisław był

do nich bardzo przywiązany i czuł się odpowiedzialny za rodzinę. Tadeusz widział, że sytuacja jest trudna, przecież nie można było zmusić Staszka, by wrócił do rodziny albo z nią zerwał”^[301]].

Wydaje się jednak, że frazesy o miłości do dzieci i odpowiedzialności za rodzinę stanowiły dla Grochowiaka wyłącznie wymówkę. Poeta, tak jak wielu innych mężczyzn, nie chciał zamykać sobie żadnej drogi i chyba dobrze czuł się w sytuacji, w której dwie kobiety rywalizowały o niego. Tym bardziej że nie był wierny żadnej z nich i gdy wyjechał na Śląsk, aby pisać tam scenariusz filmowy, nawiązał romans z pewną młodą nauczycielką. Po powrocie poinformował o tym Marysię, a ta z nim zerwała. Rozstali się na wiele miesięcy.

Grochowiak z czasem oprzytomniał i postanowił odzyskać partnerkę. Nie interesowało go to, że ona w tym czasie na nowo ułożyła sobie życie – ukończyła studia architektoniczne, podjęła naukę na ASP i zaręczyła się z innym mężczyzną. Był pewien, że nadal nie jest jej obojętny, i nie pomylił się w swoich rachubach.

„Wiadomość, że Staszek mnie szuka, wzbudziła moją radość, niestety. To był trudny moment, bo wiązał się z następnymi konfliktami, które były w jego małżeństwie, po których zaraz przyszedł moment umocnienia. Ja zrezygnowałam ze swojego ewentualnego małżeństwa, on nie zrezygnował ze swojego, a raczej umocnił je. Życie osobiste Staszka, między innymi narodziny jeszcze jednej córeczki, było szeroko komentowane i on musiał zająć stanowisko. Postanowił, że zostanie w swojej rodzinie. Powiedział mi, że nigdy nie rozstanie się z rodziną, że nie opuści dzieci”^[302]].

Panna Sołtyk zgodziła się na te warunki, ponieważ Grochowiak okazał się miłością jej życia i nie czuła się na siłach, by ostatecznie go odrzucić. Tym bardziej że przy nim odradzała się intelektualnie, gdyż poeta namawiał ją do porzucenia stałej pracy i zajęcia się na poważnie malarstwem.

„[...] byłam uparta, liczyło się też, że naradzałam się ze Staszkiem w tej sprawie. Pamiętam, że na moje obawy pokazał mi wróbla i powiedział, że w życiu nie chodzi o to, żeby siedzieć w ciepélku i nic nie robić, tylko żeby próbować, zostawić coś po sobie. [...] Nie chciał, żebym się. »ukrzestłowiła« w biurze projektowym, żebym zmęczona wychodziła o szóstej do domu i o szóstej rano była znowu na nogach. I to oczywiście było po mojej myśli”^[303]].

Trudno jednak nie oprzeć się wrażeniu, że poeta myślał głównie o swojej wygodzie. Chciał, by kochanka wykonywała wolny zawód i miała więcej czasu dla niego. Ale z drugiej strony rzeczywiście wierzył w jej talent.

Poza tym zachowywał się tak jak zawsze. Pewnego dnia niespodziewanie pojednał się z żoną i wszystko potoczyło się zwykłą koleją rzeczy – pogodzenie zaowocowało następną ciążą, a ta spowodowała ponowną ucieczkę Magdy do

Wrocławia...

Pani Grochowiakowa przez dłuższy czas nie uważała Marii za specjalnie groźną rywalkę. Raz urządziła nawet najazd na praskie mieszkanie panny Sołtyk, gdzie dała jej do zrozumienia, co o niej sądzi.

„[...] kiedyś on wziął taksówkę i przyjechał do mnie. Madzia wzięła drugą taksówkę, przyjechała za nim i przysłała do mieszkania. Rozejrzała się po tym moim pokoiku. Dla niej byłam śmieszną postacią i to moje biedne mieszkanie tak samo warte było tylko kpiny. Wiedziała, że nie jest to żadne zagrożenie. Madzia chciała zakpić sobie, zrobić taki gest na pokaz, że jej niby na nim nie zależy: »Staszku, jak chcesz, to sobie zostań, możesz tu mieszkać«. Doskonale wiedziała, że on tu nie będzie mieszkał, bo moje mieszkanie było ciasne i niewygodne. [...] Staszek kazał jej wyjść i ona wyszła”^[304]].

Grochowiak starał się pomagać kochance w jej karierze plastycznej. Podsuwał pomysły i cieszył się, gdy zaczęła ilustrować teksty. Wykonywała też rysunki techniczne dla wydawnictw, a jej nazwisko zaczynało być rozpoznawalne w świecie warszawskich plastyków. Natomiast jej romans z poetą przechodził swoje wzloty i upadki.

„Moja rodzina ciągle żyła w nadziei, że ten związek wygaśnie. To był między mną a Staszkiem niedobry okres. A jednocześnie przychodził, pisał wiersze dla dzieci, chciał, żebym robiła do nich ilustracje. To mnie szalenie wciągało i widać było, że jego również to bawi i interesuje. I aż się prosiło, żeby te wiersze ilustrować”^[305]].

W 1969 roku panna Sołtyk otrzymała spółdzielcze mieszkanie na Saskiej Kępie, co oznaczało poważne zmiany w jej życiu osobistym – Grochowiak podjął wreszcie decyzję i po ponad 10 latach romansu przeprowadził się do niej.

„Któregoś dnia po prostu pojawił się u mnie z walizką, w niej trochę ubrań i rzeczy osobistych, adapter i kilka ulubionych płyt. Oczywiście było, że pił i żona, żeby zaprotestować, wyprosiła go z domu, na którego utrzymanie ciężko pracował. Obecność Staszka w moim domu w krótkim czasie wywołała falę plotek. Wracał wieczorem na Saską Kępę i opowiadał mi, że »mówi się w mieście«, że pije. Było mi strasznie przykro”^[306]].

Dodatkowym problemem była przeszłość uczuciowa poety – Maria czuła się urażona tym, że partner nie poświęcał jej wierszy, jak niegdyś żonie. Najwyraźniej panna Sołtyk nie różniła się specjalnie od innych kobiet, które próbują ułożyć sobie życie u boku partnera „po przejściach”.

„Od kiedy mieszkaliśmy razem na Saskiej Kępie, przepisywałam zawsze wiersze Staszka z rękopisów, wyraźnie, dużymi literami. [...] Nigdy nie komentowałam wierszy osobistych i nie skarżyłam się, gdy czułam się nimi dotknięta. Czasem wydawało mi się, że jakiś wiersz jest dla mnie. [...] O

wierszach pisanych dla żony w pierwszym okresie ich małżeństwa nic nie wiedziałam, mogłam się tylko domyślać, że poza tymi, które weszły w skład tomików wydanych po 1958 roku, są jeszcze jakieś niewydane, nieznane. Nie spodziewałam się jednak, że będzie ich tak dużo i że będą takie piękne”^[307]].

Grochowiak mieszkał z Marią, ale nie zapominał o obowiązkach wobec rodziny. Bez opóźnień płacił ustaloną przez prawników kwotę alimentów, natomiast gdy w grę wchodziły tantiemy, spotykał się żoną przy kasie ZAiKS-u. Pod tym względem jak zwykle pozostawał sumiennym człowiekiem.

Przyjaciele poety nigdy nie powątpiewali w uczucie Marii do Grochowiaka. Roman Śliwonik, który nieraz „dostarczał” pijanego poetę do jej domu, nie mógł wyjść z podziwu dla jej zachowania:

„Ani zdziwienia, ani skargi, ani śladu grymasu na twarzy kobiety Staszka. Kamienna twarz kobiety, której uwielbienie i podziw dla poety kazały od lat przyjmować go takim, jakim się stawał z każdym dniem, tygodniem, rokiem. Takiej kapliczki dla poety i mężczyzny, zbudowanej w sobie, nigdy nie widziałem i nie zobaczę. Pełnej miłości, pochylenia, milczenia i zgody na wszystko.

Oczy suche, ruchy precyzyjne, nawykłe. I delikatne”^[308]].

W pewnym momencie żona i kochanka zawarły niepisaną umowę, dzieląc pomiędzy siebie spornego mężczyznę. To jeszcze bardziej zaskakiwało Śliwonika, który uważał jednak, że był to element stabilizujący zwichnięte życie przyjaciela. Tego po prostu było mu trzeba.

„Dziwna ugoda miłosna. Staszek u niej [Marii – S.K.] pił, pisał, spał. A chorował zawsze w domu. Tak sobie podzielili życie. I tak go sobie podzieliły dwie kobiety.

I jedynie w trwałości związku Staszka z dwiema kobietami widzę jakąś otwartość i powagę. Nie myślę o powadze mężczyzny, tylko o jawności decyzji dwóch kobiet. Jednej, bo nie miała wyjścia, drugiej, bo nie chciała zrezygnować z miłości.

Obydwie postawy heroiczne. I zwyczajne. Przez nich uzwyczajnione”^[309]].

LĘKI PORANNE

Obie panie zaczęły też współpracować (albo raczej wzajemnie sobie nie przeszkadzać) przy ratowaniu zdrowia Grochowiaka. Nie miały zresztą wyboru, bo poeta mieszkał głównie na Saskiej Kępie, a Magda jako oficjalna żona miała większe możliwości działania, i to właśnie z nią, a nie z Marysią, chcieli rozmawiać lekarze.

„To były straszne dni i straszne noce – wspominała Maria. – Nie dawałam sobie rady. Staszek zaczął gorzej widzieć, chciałam go zaprowadzić do znajomej

okulistki, ale w końcu wypisała mu receptę na okulary bez wizyty. To był okropnie ciężki okres. Nawet raz wezwałam Madzię do domu, a potem w zimie zadzwoniłam do niej jeszcze raz, mówiąc, że jest bardzo źle i że uważam, że jedynym ratunkiem jest wyjazd ze Staszkiem na wiosnę. Zaproponowałam, żeby to ona z nim pojechała, bo wiedziałam, że jeśli ja pojedę, będą następne awantury”[³¹⁰].

W tym czasie Grochowiak napisał *Lęki poranne*, dramat będący przejmującym studium alkoholizmu. Znał problem z autopsji, w pełni zdawał sobie sprawę ze swojego uzależnienia. Sztukę wystawiano na wielu scenach, a jej sukces znacznie poprawił sytuację finansową poety. Przynajmniej raz odniósł wymierną korzyść ze swojej choroby.

Magda zorganizowała czteromiesięczny pobyt w Radziejowicach i pojechała tam razem z mężem. Czas ten spędzili w miarę zgodnie, a Grochowiak zaczął nawet pisać dla żony „bardzo komplementujące wiersze”. Było to wyjątkowo nieprzyjemne dla Marii, tak bardzo przecież zazdrosnej o jego utwory dedykowane żonie.

„Po tych czterech miesiącach Madzia zadzwoniła do mnie, żebym odebrała Staszka – kontynuowała Maria. – Powinnam była zdobyć się na większą stanowczość i odmówić. Madzia wiedziała, że co innego Radziejowice, a co innego poradzić sobie z piciem Staszka w Warszawie, i ona go odsyłała do mnie, bo nie chciała, żeby on pił, to miał być jej protest przeciwko jego picciu. Zostawiła go po prostu na ulicy, w jakimś barku piwnym. A Staszek był zadowolony, że przyszłam, i że go zabieram, że się nim zajmę. I od tej chwili często bywało tak, że gdzieś Staszek pił z jakimiś ludźmi i potem mnie wzywało to pijące towarzystwo, żebym go zabrała. I ja chodziłam, i go zabierałam”[³¹¹].

W tym czasie Grochowiak stracił kolejny etat – z powodu alkoholizmu usunięto go z redakcji „Poezji”. W zamian dostał stanowisko w „Wiadomościach Literackich”, co odczuł jako upokorzenie. Nadal nie potrafił dostrzec związku pomiędzy chorobą a problemami zawodowymi. W efekcie kolejne zwolnienia odbierał jako ataki na swoją twórczość.

„Grochowiak przez całe tygodnie przepadał na alkoholowych ciągach, a potem miał pretensje, że go zwalniają z pracy – pisał Jan Marx. – [...] Uważał, że był kozłem ofiarnym koterii literackich, a był ofiarą biesa ukrytego w butelce”[³¹²].

I chociaż pisarz zachowywał sprawność umysłową jako twórca, to jednak zaczęły go prześladować deliryczne urojenia. Wydawało mu się, że jest nieustannie śledzony, że jeżdżą za nim agenci obcych mocarstw, że szpiegdy podsłuchują jego rozmowy telefoniczne. A przy okazji obsesyjnie narzekał, że nie jest doceniany jako artysta.

„[...] »jojczenie« samego Stanisława Grochowiaka, że jest izolowany i dyskryminowany, pozbawione było sensu – wyjaśniał Marx. – Wydawał powieści, drukował wiersze, dramaty, grano go we wszystkich teatrach, kręcono filmy do jego scenariuszy, napisano o nim za życia setki esejów, udzielał wywiadów, nadskakiwano mu, ubiegano się o jego względy w każdej bodaj redakcji, choć był humorzasty, urazowy, obraźliwy. Czego chciał więcej? Żeby mu stawiali pomniki? Staczał się z premedytacją i nikt, choćby nawet chciał, nie zdołałby go zawrócić z tej drogi. Może, mówiąc o swym rzekomym odrzuceniu, chciał się trochę podstylizować na Norwida, o którym napisał kiedyś parę bardzo bystrych sądów”^[313].

Tak naprawdę to jako twórca poniósł tylko jedną porażkę. Zawsze chciał napisać tekst do piosenki, która stanie się przebojem, a to jego marzenie nigdy się nie spełniło.

Ostatni szczęśliwy okres związku Stanisława i Marii przypadł na lato 1975 roku. Przebywali wówczas w Pustych Łąkach niedaleko Wyszkowa, gdzie Grochowiak sprawiał wrażenie odprężonego, dużo malował, a czasami „robił piękne kolaże”. Marysia zauważyła, że pobyt na letnisku pozytywnie wpłynął na jego nastrój, i postanowiła kupić tam dom. Nabyła go wyłącznie z własnych oszczędności, poświęcając na ten cel większość otrzymanego wcześniej spadku. Grochowiak nie partycypował finansowo w tej transakcji, choć dom został kupiony wyłącznie dla jego komfortu. Ta kobieta naprawdę darzyła go wielkim uczuciem.

„Marysia poświęciła właściwie życie dla Staszka – twierdziła jej przyjaciółka Hanna Ihnatowicz – to jest coś, co się w głowie normalnemu człowiekowi nie mieści. [...] Ja nawet nie próbowałam odwozić jej od tego związku, bo to nie miało żadnych szans, nie było mowy, nawet nie próbowałam. [...] Podporządkowała się całkowicie Staszкови, poświęciła dla niego wszystko: rodzinę, pracę w zawodzie [...]. Z drugiej strony on mobilizował ją do malowania, bo Marysia utrzymywała się z robienia ilustracji do pism, książek. Czasami, jak gdzieś nie przyjęli jej rysunków, wracała do domu, a Staszek oglądał jej prace, wybierał te, które mu się najbardziej podobały, i pisał do nich wiersze. A jemu wydawali wszystko, i tak powstały niektóre z jego książeczek dla dzieci. Wzajemnie się mobilizowali”^[314].

W testamencie sporządzonym w 1975 roku poeta zapisał partnerce 10 procent wpływów z tytułu tantiem autorskich. Jej też powierzył dokument, ale Maria nie zdecydowała się go ujawnić. Nie chciała, by ktoś podejrzewał, że była ze Staszkiem wyłącznie z powodu korzyści materialnych...

Poeta zdecydował się powrócić na łono rodziny, okazało się jednak, że w związku z macierzyństwem jednej z córek nie było już tam dla niego miejsca. Zwrócił się wówczas do władz o przydział pracowni twórczej i niebawem otrzymał kawalerkę przy ulicy Czerniakowskiej.

Nie była to najlepsza lokalizacja, bo za oknem trwały pierwsze prace remontowe na dopiero co wybudowanej Wisłostradzie i w ciągu dnia panował tam nieznośny hałas. Grochowiak miał spędzić tam ostatnie miesiące swojego życia.

„[...] przypominała smutnawy bufet – opisywał tę kawalerkę Roman Śliwonik. – Trochę książek, obrazy pędzla poety, barek, dwa fotele i dużo butelek. Każdy bar bez ludzi, gwaru i blichtru jest nudny. Podczas pierwszej wizyty w pracowni upiliśmy się z okazji nawrotu przyjaźni po latach nieutrzymywania kontaktów”^[315].

Grochowiak w dalszym ciągu nie zamierzał poddać się leczeniu i świadomie dążył do samozagłady. Uciekł nawet ze szpitala, gdzie poddawano go kuracji, a jedyna korekta w dotychczasowym trybie życia stała się powodem jeszcze większych problemów.

„[...] z pół roku przed śmiercią [...] rzucił wódkę, przerzucił się na wino – wspominał Erazm Ciołek. – Ale pił sześć butelek dziennie, zmiana podziałała na wątrobę fatalnie, tak że przyspieszyła właściwie śmierć, do której, moim zdaniem, dążył. Tak jak wielu poetów”^[316].

Marysia pomagała mu urządzić się na Czerniakowskiej, razem kupowali meble i wyposażenie mieszkania. Była gotowa tam z nim zamieszkać, ale nie potrafiła zaakceptować częstej obecności żony pisarza. Zresztą nie tylko tego.

„[...] zaczęła się [tam] pojawiać Sabina Czubacka – tłumaczyła Maria Sołtyk. – Poradziłabym sobie z tą sytuacją, gdyby nie Madzia, która zaakceptowała Sabinę, i to było za dużo dla mnie. Mieć przeciwko sobie Madzię i jeszcze jej »protegowaną«, to było nie do zniesienia. Powstała sytuacja, w której fatalnie się czułam i na którą już zupełnie nie mogłam się zgodzić. Nawet Staszek powiedział: »Wiesz, ty jesteś gorsza nawet od Madzki. Taka jesteś wymagająca. Madzi właściwie Sabina nie przeszkadza«. Ale mnie przeszkadzała. [...] I się odsunęłam”^[317].

Magdzie Sabina rzeczywiście nie przeszkadzała – była mężatką i miała dzieci, i z tego powodu została uznana za niegroźną. Nienawiść Magdy skoncentrowana była na Marysi, a świadkiem jednego z jej wybuchów stał się siostrzeniec poety. Pewnego razu Grochowiak pokłócił się z kochanką przez telefon i zdenerwowany postanowił się zemścić:

„[...] wstał z łóżka, a leżał chory tydzień, zdjął obraz Marysi z widokiem pałacu w Oborach i uderzył nim o kolano, chciał ten obraz zabić. Wyrwałem mu

obraz i wyniosłem na korytarz. Co zrobiła Madzia? Madzia zdjęła pozostałe obrazy Marysi, rozpałała palniki na kuchence gazowej i spaliła obrazy. Nie udało mi się ich uratować. Madzia skrupulatnie skorzystała z okazji, żeby upokorzyć rywalkę. Smród i dym był nie do zniesienia”[³¹⁸].

W ostatnich miesiącach życia pisarz już nie opuszczał domu. Leżał w łóżku i całymi dniami drzemał, chociaż czasami zdarzały mu się jeszcze chwile ożywienia. Dał się namówić Aleksandrowi Wieczorkowskiemu na nagranie dla telewizyjnego „Pegaza” i wypadł tam znakomicie. Nie przerwał swojego monologu nawet wtedy, gdy w kamerze skończyła się taśma. Po programie Wieczorkowski miał go odwiedzić do domu.

„Z trudem ulokowałem Staszka w samochodzie – wspominał kilka lat później. – Drzemał. Gdy przejeżdżaliśmy Czerniakowską – ocknął się nagle i słabym głosem zażądał: »Stań tu, idź do tej knajpy i przynieś mi setkę winiaku, bo mnie już nie dają...«. Wyniosłem chyłkiem szklaneczkę złocistego płynu i podałem Staszкови. Chwycił oburącz, pił powoli jak nektar. Po chwili bladeść ustąpiła, Staszek rozsiadł się wygodnie i najzupełniej trzeźwym, mocnym głosem spytał z przekornym uśmiechem: »Czy ci idioci myśleli, że nie wiem, iż mówię do pustej kamery? Nie chciałem przerywać i prosić o taśmę, bo wiedziałem, że i tak tego nie puszcza!«”[³¹⁹].

W sierpniu 1976 roku stan zdrowia Grochowiaka zdecydowanie się pogorszył i poeta trafił do szpitala przy ulicy Stępińskiej. Na dzień przed śmiercią odwiedziły go Maria z Hanią Ihnatowicz i przyniosły mu bukiet nasturcji. Jednak Grochowiak był już wtedy nieprzytomny. Zmarł nazajutrz o godzinie czwartej rano.

Nikt nie chciał zawiadomić o tym Marysi, aż wreszcie zrobił to Roman Śliwonik. Maria Sołtyk natychmiast pojechała do szpitala, chcąc po raz ostatni zobaczyć ukochanego. Obraz, który ujrzała, z pewnością głęboko zapadł jej w pamięć, bo ktoś, kto kocha, nie może otrzymać na pożegnanie cenniejszego podarunku...

„Był przykryty prześcieradłem, na którym leżały jeszcze nasturcje od Hanki. Odkryłam twarz. Radosną, pełną zachwyty, oczy miał, jakby zobaczył coś wspaniałego. Pocałowałam go w usta. Potem jakiś człowiek złapał mnie za ramiona i zabrał stamtąd. I już Staszek tam został”[³²⁰].



ROZDZIAŁ 7

Maski Wiesława Dymnego





„Wiesław Dymny był mądry, wrażliwy i czuły, tylko poprzykrywany maskami. Żył w czasach uświadamiających, że liczne zdolności wydawały się bezużyteczne. Potrafił w niezwykle sposób przekształcać rzeczywistość wokół siebie, z obserwowania ludzi zawsze miał jeśli nie tekst, to choćby dowcip. Z niczego robił broszkę, szył torbę albo buty. Im większy czuł opór materii, tym większą radość sprawiało mu jej pokonanie”.

Anna Dymna

MAŁY LEONARDO

Krakowskiego artystę przez lata próbowano zakwalifikować do „poetów przeklętych” czy też do „kaskaderów literatury”. Był on jednak osobowością wymykającą się wszelkim klasyfikacjom i twórcą jedynym w swoim rodzaju. Jednocześnie wydaje się doskonałym przedstawicielem „straconego pokolenia PRL”, które jest zbiorowym bohaterem tej książki. Był bowiem niezwykle i wszechstronnie uzdolniony, ale tak naprawdę niewiele po nim zostało. I tak jak bohaterowie poprzednich rozdziałów żył bardzo intensywnie, co przyplacił śmiercią w wieku zaledwie 42 lat.

Jeżeli Grochowiaka uważano za człowieka renesansu, to dla Dymnego w ogóle brakuje odpowiedniego określenia. Ten niezwykle uzdolniony plastik, aktor, poeta, prozaik, satyryk, scenarzysta, autor tekstów piosenek i szef zespołu bigbitowego we wszystkich z wymienionych dziedzin radził sobie świetnie. Ale z drugiej strony sprawiał wrażenie, że każdą z tych dyscyplin zajmował się bez większego przekonania i szybko porzucał ją dla kolejnej pasji. I to najczęściej w chwili, gdy zaczynał odnosić w niej sukcesy. Z tego też powodu jego wszechstronność była powszechnie znana i pod Wawelem nazywano go „małym Leonardem da Vinci”.

„Kraków w ogóle wytwarza takich artystów – mówił Kazimierz Kutz. – To była wspaniała, potężna indywidualność, on nie był człowiekiem, który realizowałby się przez granie w »Piwnicy«, w rzeźbieniu, w malowaniu, on realizował się jak każdy wielki człowiek całym swoim istnieniem”^[321].

Jeszcze za życia otaczała go legenda na miarę Andrzeja Bursy czy Edwarda Stachury, a tajemnicze okoliczności śmierci dodatkowo wzmagaly zainteresowanie jego osobą. Ale tak mało pozostawił po sobie, że z perspektywy czasu trudno zrozumieć, dlaczego tak bardzo fascynował współczesnych.

Dymny nigdy nie przywiązywał większej wagi do dokumentowania swoich prac, a znaczna część jego dorobku przepadła w pożarze, który zniszczył mieszkanie artysty na kilka miesięcy przed jego śmiercią. Poza tym intrygowało go tak wiele dziedzin sztuki (choć właściwie żadna na poważnie), że w istocie trudno jest ocenić skalę jego talentu.

Współcześni uważali go jednak za geniusza, który gdyby chciał naprawdę poświęcić się pracy, to stałby się jednym z najwybitniejszych polskich artystów. Sprawdzał się praktycznie w każdej dyscyplinie, którą się zainteresował, ale stałość charakteru nie należała do jego cech dominujących...

PLASTYKA

Wprawdzie Dymny stał się jednym z symboli Krakowa, to jednak nie

pochodził z tego miasta. Urodził się na Nowogródczyźnie, a jego rodzina została po II wojnie światowej repatriowana na Zachód.

Janina Dymna wraz z trzema synami (ojciec zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym) osiedliła się w Beskidach, w Nałężu koło Jaworza. Wiesław w 1953 roku zdobył świadectwo dojrzałości w Bielsku-Białej, z tego też okresu pochodzą pierwsze informacje o jego próbach poetyckich.

„Wiersze zaczął pisać już w latach licealnych – wspominał jego ojczym Wiktor Bojda. – Na strychu zbudował sobie maleńki pokój z mnóstwem półek, gdzie kładł kartki, ode mnie wyciągnął starego Keplera [maszynę do pisania – S.K.] i nieraz dobiegało stamtąd do późna w nocy głuche stukanie czcionek”^[322] I.

Po maturze nie zdecydował się jednak na polonistykę i wybrał się na studia plastyczne. Nie konsultował decyzji z nikim z rodziny, toteż bliscy dowiedzieli się o wszystkim po fakcie, gdy został już przyjęty na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. Przyznano mu miejsce w akademiku, w którym pojawił się wczesną jesienią 1953 roku.

„[...] ktoś nieśmiało zapukał do drzwi – opowiadał Kazimierz Wiśniak. – Otworzyłem, a tam stał chłopak z drewnianą walizką w ręce. Wyglądał jak dziecko z twarzą podobną do kluski. [...] Kuferek zrobił mu ojciec specjalnie na podróż do Krakowa i Wiesio był z niego dumny – pokazywał jak się otwiera, ile w sobie mieści różnych rzeczy. Wyciągnął słoik z powidłami, garnek smalcu ze skwarkami, jabłka, placek, który pokroił kozikiem i częstował”^[323] I.

Dymny sprawiał wrażenie zakompleksionego prowincjusza oszołomionego wielkim miastem. Początkowo wszystko go onieśmiewało, nawiązał jednak pierwsze kontakty towarzyskie.

„Wspominał braci i beskidzkie góry – kontynuował Wiśniak. – Zaprzyjaźniliśmy się natychmiast i po paru dniach już razem chodziliśmy malować w plener. Bliżej akademika mieliśmy »tematy wiejskie«. Idąc ulicą Urzędniczą w kierunku północnym, trafialiśmy na drewniany mostek na Młynówce, a tuż za nią były już chaty i sady. Wszystkie szkice i akwarele z tych wędrówek Wiesio przechowywał w kuferku. Innym ulubionym miejscem były łąki i pagórki za Kopcem Kościuszki, skąd roztaczał się widok na klasztor kamedułów albo zbocza Salwatora z zakolem Wisły w dolinie”^[324] I.

Wiesław szybko zaczął odnosić sukcesy, albowiem okazał się wyjątkowo utalentowanym plastykiem. Jeszcze jako student, na podstawie dotychczasowych prac, został przyjęty do Związku Polskich Artystów Plastyków, co było ogromnym wyróżnieniem. Ale na tym skończyło się jego poważne zainteresowanie malarstwem – nigdy nie zorganizował własnej wystawy, a ze związku został usunięty za niepłacenie składek członkowskich.

Podobnie było z uczelnią – studiował na ASP przez 10 lat, ale nigdy nie ukończył nauki. Studia wielokrotnie przerywał i wznowiał, dyplomu jednak nie uzyskał. Tym niemniej jego prace spotykały się z zainteresowaniem, „posyłał czasem jakiś rysunek do tego czy innego pisma (do »Szpilek«, »Zebry«), przyjmowano te rysunki z pocałowaniem ręki”. Ale Wiesław traktował plastykę już tylko hobbystycznie, rysował właściwie wówczas, gdy odczuwał taką potrzebę.

„Niski, krępy, krótko ostrzyżony – wspominał jego przyjaciel Marek Pacuła. – Nikt nie wie, skąd przybył i dokąd zmierza. Podobno w czasie wiosennej odwilży spłynął z gór ze śniegiem i wpadł na Akademię Sztuk Pięknych, skąd zstąpił do krakowskiej Piwnicy pod Baranami, gdzie czytał swoje śmieszne, ale za absurdalne teksty. Posiada kilka zawodów i kilkanaście umiejętności. Pisze głównie w nocy...”^[325]].

CIEMNA STRONA MOCY

„Nie lubiłem go za życia i teraz po śmierci też go nie lubię – przyznawał Piotr Skrzynecki. – Wszyscy się go bali. Ja strasznie się go bałem. Raz, zdaje się w Opolu, dostałem od niego pięścią po głowie”^[326]].

Uważano, że Wiesław „miał wdzięk człowieka, który mógłby zabić” i „wyglądał trochę jak bestia”. I rzeczywiście w gniewie bywał nieobliczalny, po alkoholu stawał się agresywny, nie liczył się wówczas z konsekwencjami swojego zachowania. Zdarzyło się kiedyś, że w pijackim amoku usiłował wyrwać stalowy pręt wmurowany w nawierzchnię krakowskiego Rynku, aby za jego pomocą dokonać egzekucji na Marku Pacule.

„Wiedziałem, że to mu się nie uda, więc stałem spokojnie – opowiadał Pacuła. – Gdybym miał pewność, że wyrwie to żelastwo, nie czekałbym ani chwili, bo by mnie zabił”^[327]].

Najtrudniejsza do zaakceptowania była jego nieprzewidywalność. Dymny potrafił zmienić nastrój w ciągu kilku sekund i błyskawicznie przejść od sympatii do agresji. Otoczenie dobrze wiedziało, że przebywanie w jego obecności obciążone było poważnym ryzykiem.

„Nigdy nie było wiadomo, jak zareaguje – przyznawał Pacuła. – Rozmawiało się z nim, było miło i nagle, mając inny wyraz twarzy, rzucał: »Teraz ci przypierdolę«. I to wszystko zmieniało się co chwila o sto osiemdziesiąt stopni”^[328]].

Podejrzewano, że w ten sposób leczył swoje kompleksy. Pochodził z małej miejscowości, był synem „skromnych wiejskich nauczycieli”, nie imponował też warunkami fizycznymi ani aparycją. Jednocześnie miał poczucie własnej

wartości, wiedział, że jest inteligentny i utalentowany, co razem tworzyło prawdziwie wybuchową mieszankę.

„[...] wdzięk dziecka łączył z pewną bandycką zadziornością – potwierdziła Kika Szaszkiewiczowa. – [...] Niewątpliwie miał kompleksy, do czego się przyczyniał niski wzrost i to, że nie należał do nadzwyczajnie urodziwych chłopców. Może dlatego był zadziorny – lubił bowiem podkreślać swoją tężyznę i siłę”^[329].

Agresywne zachowania zdarzały mu się również na scenie Piwnicy pod Baranami, a jego nieobliczalność groziła autentyczną tragedią. Gdy podczas gościnnych występów Piwnicy został przypadkowo zraniony w usta drewnianą drzazgą, zbił butelkę i z „tulipanem” w ręku ruszył w kierunku widowni.

„Usłyszeliśmy wrzask przerażonych osób – wspominał Skrzynecki. – Wszystkich poraził strach. Trwało to dla nas wieczność. Nagle odrzucił szczątek butelki, zaczął biegać po scenie, bić się nieprzytomnie po twarzy i krzyczeć (do siebie? na siebie?): »Dokąd idziesz? Do komunizmu idziesz, bydlaku!... Ewa, chodź zaśpiewać«. To był najgenialniejszy numer kabaretowy, jaki widziałem w życiu. Nie udało się go więcej powtórzyć. Na szczęście”^[330].

Potrafił jednak równie szybko rozładowywać napięcie, a o formie jego przeprosin opowiadano legendy. Doświadczyli tego osobiście członkowie zespołu Piwnicy podczas pobytu na festiwalu w Wiedniu.

„Dopiero co ustał rześisty deszcz i było dużo kałuż – wspominała Danuta Leszczyńska-Kluzowa. – Patrzymy – idzie Wiesio z Piotrem. Stanęli. I nagle Wiesio upadł przed nami plackiem, całym ciałem i twarzą, w kałużę... Leżał tak chwilę, po czym się podniósł, troszkę tylko otrząsnął z wody i poszedł dalej jak gdyby nigdy nic. To były jego przeprosiny. Bez słowa. Wspominam to drastyczne wydarzenie, bo jego epilog był znacznie bardziej wstrząsający niż eksces na spektaklu. Upić się i wywołać skandal potrafi każdy, ale na taką ekspiację mógł się zdobyć tylko Wiesio”^[331].

Dymny był niebezpiecznym człowiekiem, ale umiał też zachowywać się zupełnie odmiennie, bo w sposób bardzo spokojny i zrównoważony. Z natury zamknięty w sobie i samotny, z niektórymi znajomymi spędzał jednak wiele czasu, a wtedy „rozmawiali godzinami długimi jak wieczność – milcząc”. Potrafił być dobrym przyjacielem i uwielbiał dzieci, które obsypywał zabawkami i chętnie przebywał w ich towarzystwie.

„Wiesio miał taką pozę twardziela, z ukrytym w kącikach oczu wilczym uśmiechem, agresywnego, gburliwego – wspominał Mieczysław Świącicki. – [...] Często mnie odwiedzał. Po długich rozmowach nocnych na temat przyszłości kabaretu zapadał się w skórzany wielki fotel i po wypiciu wielkiej ilości herbaty Ulung coś tam pisał, rysował, jak zawsze miał swój inny świat. Ale muszę

powiedzieć, że dla mnie, dla mojej rodziny, dzieci był właściwie idealny, może dlatego, że sam nie miał dzieci”[³³²].

Podobno Dymny bardzo pragnął posiadać własne dzieci, jednak marzenie to miało się nigdy nie spełnić, co też było jedną z przyczyn jego frustracji...

ZAULKI KRAKOWA

Był człowiekiem rodzinnym, szczególnie mocno przywiązany do matki. Ich wzajemna zażyłość zaskakiwała znajomych, nieprzywykłych do podobnej ekspresji w okazywaniu uczuć.

„Nigdy nie zapomnę chwili powitania tych dwojga – relacjonował Kazimierz Kutz. – To przekraczało wszelkie wyobrażenia. Rzucili się sobie w objęcia, zaczęli się tarzać po podłodze kuchni, matka piszczala – jej radość z przyjazdu syna była zaskakująca. Wiesiek od świtu do nocy robił jej psoty, ciągle coś wymyślał, aby ją rozśmieszyć”[³³³].

Do Nałęża często powracał, bo tam czuł się najlepiej. Rodzinne strony stały się również scenerią opowiadań z jego debiutanckiego zbioru *Opowiadania zwykłe*. Ale na co dzień żył w Krakowie i miasto to zaczął uważać za swoje.

Kiedy przenosił się pod Wawel, nie pił alkoholu i nawet nie palił papierosów. Z upływem czasu zniknął jednak ten spokojny, zakompleksiony Wiesio – w Krakowie poznał ludzi pochodzących z bardzo różnych środowisk. Obracał się w kręgach bohemy artystycznej, ale lubił też towarzystwo osobników „pokręconych przez los – pijaczków, tragarzy, nosicieli węgla”. Nigdzie nie był zatrudniony na stałe, żył z dnia na dzień, miał dużo wolnego czasu i chętnie zapraszał do siebie najróżniejszych ludzi. W jego życiu było coraz więcej alkoholu, zdarzały mu się pijackie ciągi, a w ich konsekwencji wizyty na komisariatach i pobyty w izbie wytrzeźwień. Od pewnego momentu nie mógł już przejść się wieczorem po centrum Krakowa, by nie dostać podczas tego spaceru kilku ofert wspólnego spożycia alkoholu. Z reguły nie odmawiał – pił w różnych podejrzanych miejscach, wdawał się w burdy, z których nieraz wychodził poturbowany, a ich pozostałością były liczne blizny na głowie. Zdarzało się, że do domu odnosili go przygodni znajomi.

„Wszyscy artyści byli mniej lub bardziej zwariowani – przyznawał Tadeusz Kwinta. – Taki Wiesiu Dymny – połączenie dobroci i naiwności, małego, samotnego, zagubionego dziecka z zakapiorem, co tu ukrywać, z bandziorem, który ma nóż za cholewą. Pamiętam tę aferę z konsulem francuskim van Ghele, naszym ogromnym przyjacielem, który przestał przychodzić do Piwnicy od czasu, kiedy przesiedział cały wieczór w klozecie Domu Kultury, bojąc się wyjść, bo Wiesio, za rzekome uwodzenie Basi [Nawratowicz, ówczesnej partnerki

Dymnego – S.K.], postanowił go zabić”[³³⁴].

Podobno Dymny wrzeszczał, że zarżnie go tępym nożem, i Francuz uznał, iż nie ma powodu, aby mu nie wierzyć...

OPOWIADANIA ZWYKŁE

Wiesław pisał od lat i właściwie nigdy nie rozstawał się z małymi zeszytami, w których notował pomysły i spostrzeżenia. Sam proces twórczy traktował niezwykle poważnie – poprawiał teksty co najmniej cztery-pięć razy, zanim uznał, że wreszcie osiągnęły zadowalający poziom. Jego debiut wydawniczy miał miejsce w 1963 roku, kiedy to w księgarniach pojawił się zbiór nowel *Opowiadania zwykłe*. Był to debiut wysokiej próby, jak zresztą wszystko, czym Dymny w życiu się zajmował.

„Pamiętam, jak wielka Maria Dąbrowska przyszła do Piwnicy – wspominał Piotr Skrzynecki – i uściśnęła Dymnemu dłoń, to było wtedy, gdy napisał *Opowiadania zwykłe*. [...] I powiedziała wtedy, czy gdzieś napisała coś takiego: »W panu narodził się pisarz, niech pan pisze dalej, bo to jest fantastyczne, wspaniałe«. Może nie te słowa dokładnie, ale coś bardzo podobnego. Uściśnęła nam ręce – ona już była staruszką i Dymny klęknął przed nią, bo on jednak czytał, wbrew pozorom, i on wiedział, kto ona jest, i też ją zdaje się cenił”[³³⁵].

Dymny, jak przystało na prawdziwego erudyte, znał oczywiście twórczość Dąbrowskiej, natomiast pani Maria zapewne zwróciła uwagę na jego tomik z czysto osobistych powodów. Od lat bowiem przyjeżdżała do Jaworza, w okolicach którego toczyła się akcja opowiadań Wiesława. Pisarka miała bardzo sentymentalny stosunek do tamtych stron, bo jeszcze przed wojną przeżyła tam burzliwy romans z właścicielem miejscowego uzdrowiska, Jerzym Czopem. Ale to wcale nie odbierało rangi jej uznania dla debiutu prozy Dymnego.

Problemem natomiast stał się fakt wykorzystania przez autora własnych obserwacji z życia znajomych i sąsiadów. *Opowiadania zwykłe* wywołały tam prawdziwy skandal, Dymny bowiem opisał autentyczne wydarzenia i nie zmienił nawet nazwisk swoich bohaterów! Nic zatem dziwnego, że w okolicznych księgarniach wykupiono wszystkie dostępne egzemplarze tomiku, a obrażeni sąsiedzi pałali żądzą zemsty.

„Rusin książkę spakował do pudełka – informowała syna pani Janina Dymna – zrobił na nią kupę, a Twoje zdjęcie na okładce pomazał »kupką«, dorysował ośle uszy i brodę i postawił na drodze, gdzie wszystkie dzieci chodzą do szkoły”[³³⁶].

W efekcie Dymny, jadąc odwiedzić rodzinę, zabrał ze sobą Kazimierza Kutza. Miał nadzieję, że obecność reżysera powstrzyma miejscowych przed

dokonaniem linczu.

„Wysiedliśmy z autobusiku przed kapliczką jakby na końcu świata, bo dalej już były lasy i góry – wspominał Kutz. – Wtedy dopiero usłyszałem, w czym mam uczestniczyć. Następnego dnia przeszliśmy obok milczących chat, czując na sobie spojrzenia zza zamkniętych okien. Poczułem się wówczas – pamiętam – jak bohater filmu”^[337]].

Opowiadania zwykłe były jedynym przejawem aktywności wydawniczej Dymnego w dziedzinie prozy, bo choć zostały przychylnie przyjęte przez krytykę, a sam autor dostał prestiżową Nagrodę Fundacji Kościelskich (jako najmłodszy z dotychczasowych laureatów), to zupełnie stracił zainteresowanie dla tej formy aktywności twórczej. Wprawdzie dalej pisał, pracował wytrwale nad swoimi tekstami, jednak nie myślał o przygotowaniu kolejnego tomu. I chociaż wiedział, że jako prozaik może osiągnąć duże sukcesy, to jak zwykle interesowało go wyłącznie to, co jeszcze nieznane i z czym jeszcze się nie zmierzył.

Ale dzięki *Opowiadaniom zwykłym* miał okazję poznać człowieka, z którym na pewien czas splotły się jego losy.

„[...] kiedy przeczytałem tomik – wspominał reżyser Henryk Kluba – wiedziałem, że muszę spotkać się z jego autorem. Natychmiast depesza do Krakowa i w Wytwórni na Chełmskiej zjawił się Dymny. Sekretarka była przekonana, zobaczywszy go, że to jakiś statysta prosi o rozmowę ze mną, więc kazała mu czekać i biedny siedział wtedy kilka godzin! Jego zachowanie podczas tego spotkania było pełne skromności i uległości. Porozumieliśmy się w lot”^[338]].

Do końca życia Dymny miał publikować drobne teksty w czasopiśmie, ale już nigdy więcej nie wydał żadnej książki. Pochłonął go natomiast świat filmu – „mały Leonardo” uznał, że ta dziedzina sztuki tak łatwo mu się nie znudzi...

PIWNICA POD BARANAMI

Połowa lat 50. była epoką studenckich kabaretów. To właśnie wtedy powstały gdański Bim-Bom i warszawski STS, ale największą legendą miała się stać krakowska Piwnica pod Baranami. Zainaugurowała swoją działalność w tym samym czasie, ale w odróżnieniu od konkurencyjnych scen funkcjonuje do dnia dzisiejszego.

„W roku 1955, był to chyba maj – wspominał Dymny – poznałem, a właściwie ujrzałem na własne oczy Piotra Skrzyneckiego. Oprowadzał jakąś wycieczkę po wystawie malarzy ukraińskich. Nie miał jeszcze brody, za to z dużą pewnością siebie tłumaczył zdumionym wieśniakom, w jaki sposób artysta powinien malować zwózkę zboża czy kopanie ziemniaków, na poparcie zaś swej

nieomyślności miał zawsze jakiś niezbity przykład w postaci olbrzymich obrazów”[³³⁹].

Właściwymi założycielami słynnego kabaretu byli Piotr Skrzynecki i Kika Lelicińska. Poszukiwali oni miejsca, w którym mogliby wraz ze znajomymi dyskutować przy winie o interesujących ich tematach. Marzyło im się coś na kształt klubów paryskich intelektualistów, a więc miejsce, gdzie bez ingerencji z zewnątrz można by porozmawiać o literaturze i filmie.

„Pamiętam ten słynny bal u Plastyków na Łobzowskiej – opowiadała Janina Garycka – na którym Piotr wszedł na estradę, otworzył parasol i powiedział: »Pada na nas deszcz nudy«. A wszyscy się przerazili. Mówił, że musimy stać pod parasolami, bo ta nuda nas zadusi, ta okropna rzeczywistość nas przydusi. Pomyślałam, że gada zbyt otwarcie, zbyt śmiało. Złęklam się o niego. Takie to były czasy. Na szczęście nadchodził już krótki okres gomulłkowskiego oddechu, kiedy to można było mówić, co się zechce”[³⁴⁰].

Skrzynecki i Lelicińska byli uparci, w efekcie kierownictwo Krakowskiego Domu Kultury oddało studentom w użytkowanie piwnice pod dawną siedzibą Potockich, nazywaną Pałacem pod Baranami.

„Wpadła do mnie Kika Lelicińska wysmarowana węglem – wspominał Kazimierz Wiśniak. – Roztrzęsiona opowiadała mi, jak całą noc z zapaloną świecą w ręku chodziła z Piotrem Skrzyneckim po piwnicach krakowskich kamienic i wreszcie znalazła pomieszczenie dla naszych tajnych spotkań”[³⁴¹].

Piwnica była całkowicie zasypana węglem i gruzem, ale młodzi zapaleńcy rażno wzięli się do pracy. W ich gronie przeważali studenci szkół artystycznych, początkowo pojawiał się nawet Krzysztof Penderecki, ale z obawy przed uszkodzeniem rąk (studiował w klasie skrzypiec) musiał zrezygnować z pracy fizycznej. Takich problemów nie miał Dymny, który niebawem stawił się w porządkowanej piwnicy. Jak zawsze pociągało go wszystko, co nowe i oryginalne.

„Wszedłem po wąskich schodach do ciemnego podziemia, skąd kilku kolegów na plecach wynosiło kosze z węglem i gruzem – wspominał. – Na kominku płonął ogień, paliło się kilka świec, dym gryzł w oczy. Sulma [Józef, student ASP – S.K.] rozwałił kilofem ceglany mur dzielący salę na połowy. Skrzynecki biegał podniecony, pan Sztyc doradzał, gdzie i jak ustawić krzesła i ławeczki. Również za poradą pana Sztycy (woźny Domu Kultury) powstała scena zrobiona z kilku postumentów, na których stały do tej pory popiersia wodzów. Kiedy jeszcze wymyło ceglana podłogę, ścianę i ustawiono krzesła, lokal wydał się nam nie gorszy od Teatru imienia Słowackiego”[³⁴²].

Nie do końca było to prawdą, bo przez dłuższy czas klub nie posiadał nawet

własnej toalety i jego użytkownicy zmuszeni byli korzystać z gościnności sąsiadów. Ale pierwszy krok został wykonany, chociaż nikomu nie przychodziło wtedy do głowy, że tworzą legendę, która miała przetrwać swoich założycieli.

Początkowo w Piwnicy działał wyłącznie klub dyskusyjny z wyszynkiem. Podawano tu najtańsze alkohole (wino „patykiem pisane” na zimno lub na gorąco) i ciasteczka kupowane u „Żydów” na Sławkowskiej. Dymny okazał się bardzo przydatnym nabytkiem, bo jako sprawny i silny mężczyzna dbał o zaopatrzenie lokalu.

„Razem z Pusią Pawełek byliśmy pierwszymi Piwnicznymi barmankami – wspominała Dorota Terakowska. – Brudnym wózkiem z dyszlem, jakim kiedyś wożono węgiel, jechało się do Towarzystwa Kulturalno-Społecznego Żydów, na Sławkowską, po wino, bo tam dawano nam je na kredyt. Wybierał się zawsze z nami Wiesio Dymny. W jedną stronę wiozł nas obie na tym wózku. W drugą my pomagałyśmy mu pchać obładowany pojazd. Potem sprzedawałyśmy to wino, oczywiście na kredyt. A kiedy przychodził termin płacenia, robiłyśmy z Pusią straszny wrzask i wszyscy składali się, ale nigdy zebranych pieniędzy nie starczało”^[343].

Szybko okazało się, że dyskusje we własnym gronie nie zadowolają stałych bywalców Piwnicy. Wówczas padł pomysł założenia kabaretu, początkowo jednak ograniczonego wyłącznie do studenckiej widowni. O wszystkim jak zwykle zadecydował przypadek.

„Wydaje mi się dzisiaj, że byłam świadkiem prapoczątku kabaretu – opowiadała Terakowska. – Było takie spotkanie, na które Janina [Garycka – S.K.] przyniosła *Orfeusza* Cocteau i powiedziała, że nie można tak marnotrawić czasu, pić ciągle wina, trzeba od czasu do czasu coś przeczytać, a nawet wystawić. I kazała tym, co akurat się zebrali, czytać na głosy tego *Orfeusza*. Czytaliśmy grzecznie, po kawałku, a kiedy przyszła pora na Piotra – odmówił. Powiedział, że nie może ani mówić, ani czytać, bo gra węża. Runął do stóp Janiny i zaczął się wic jak prawdziwy wąż po podłodze. Wiesiek, Kika Lelicińska zaraz także zaczęli się wygłupiać, jak to oni, a zawsze przecież byli szaleni. I coś tam wtedy zaświtało po raz pierwszy, jakiś stworzył się nastrój drwiny z powagi, solenności, klasyki – właściwy dla przyszłych kabaretów. I Janina wcale nie była obrażona. Także się śmiała”^[344].

SCENY Z ŻYCIA PIWNICY

Pierwszy oficjalny program zaprezentowano w maju 1956 roku, a Piwnica szybko stała się sensacją kulturalną Krakowa. Było to miejsce nobiletujące pod względem towarzyskim, a zapoznanie się z prezentowanym tam programem uważano za obowiązek każdego człowieka posiadającego jakieś aspiracje

intelektualne. W efekcie na sali zwykle panował taki ścisk, że nawet zapraszani tu goście zagraniczni nie zawsze mogli wejść do środka, w związku z czym próbowali dostać się przez niewielkie okienko wprost na scenę...

Trzeba przyznać, że Piwnica istotnie była ewenementem na skalę ogólnopolską, z którym może tylko gdański Bim-Bom mógł rywalizować. W jednym miejscu i w jednym czasie spotkała się grupa niezwykle uzdolnionych twórców, którzy znaleźli swoją niszę. A wspólna praca w kabarecie często okazywała się najlepszym katalizatorem ich rozwoju.

„Pamiętam, jak »Piwnica« występowała pierwszy raz w Warszawie, gdzie już mieszkałam – wspominała Zofia Komedowa. – Pan Sandauer, zachwycony, gdy Ewa Demarczyk śpiewała, po występie podszedł do niej i gratulował jej i Zygmuntowi Koniecznemu muzyki, wykonania, wszystkiego... W pewnej chwili mówi: »Słuchajcie, to genialne! A teksty to Garcia Lorca, prawda?« A oni: »Nie, to Wiesio Dymny!«. Oniemiał, nie mógł tego zrozumieć, że taki wspaniały poeta narodził się w Krakowie... i to w »Piwnicy«”^[345].

Triumfy artystyczne nie szły jednak w parze z sukcesami finansowymi i Piwnica stanęła przed groźbą bankructwa. Jako pierwszy splajtował słynny barek specjalizujący się w dystrybucji taniego wina i żydowskich ciasteczek, a niebawem zagroziło to całemu przedsięwzięciu. I wówczas pojawiła się energiczna szefowa Krakowskiego Jazz Klubu, Zofia Komedowa-Trzcńska. Objęła kierownictwo Piwnicy, żądając jednak w zamian udostępnienia lokalu jazzmanom. W efekcie ich koncerty odbywały się tam w czwartki, a po każdym spektaklu grano do tańca. Nie był to jednak specjalnie udany pomysł.

„Byli to ludzie bardzo utalentowani – twierdziła Janina Garycka – bardzo pięknie grali, ale wyłącznie jazz najwyższego lotu, nie melodyjny, najmniej nadający się do tańca. Naturalnie nie dało się ich namówić do zagrania jakichś melodyjnych, sentymentalnych utworów, które wtedy były modne i przy których tak uroczo się tańczyło. Żadne tam *Płynął strumyk z wolna* czy *Siwy włos* nie wchodziły w rachubę i tak cała noc upływała na oschłym dreptaniu w takt tej ich Sztuki przez duże »S«. Potem dali sobie jakoś radę, zapuścili korzenie. Ale początek był rozpaczliwy”^[346].

Zofia Komedowa miała talent menedżerski połączony z darem przekonywania. Uznała, że Piwnica powinna zaprezentować się poza Krakowem, i nakłoniła zespół do trzymiesięcznych występów w Zakopanem. I chociaż ustaliła bardzo wysokie ceny biletów, zarówno kabaret, jak i jazzmani osiągnęli tam duży sukces.

Niestety, w epoce PRL działalność zespołu artystycznego była uzależniona od kaprysów władz, a Piwnica nie stanowiła pod tym względem żadnego wyjątku. Tym bardziej że w jej programach pojawiały się akcenty polityczne doskonale

rozumiane przez widzów.

„Przez radość życia walczyliśmy z totalną głupotą – wspominała Kika Lelicińska. – Wszystko do wyśmiania, a tematów tysiące. Nikomu nie wybaczyliśmy, ale to było tak skonstruowane, tak wybrane, tak wysmakowane, że nikt właściwie nie mógł się do nas przyczepić. Przez ten purnonsens wszystko było tak zawoalowane, że dla tych tępych partyjniaków nie było zrozumiałe”^[347] I.

„Tępi partyjniacy” dobrze jednak rozumieli kpinę i doskonale wiedzieli, że gdy młodzież z Piwnicy chwali osiągnięcia „Wielkiego Brata”, to w rzeczywistości ma na ten temat zupełnie inne zdanie. A widzowie natychmiast wychwytywali każdą, nawet najdrobniejszą aluzję.

„Jak Łajka wystartowała w kosmos – przyznawała Lelicińska – to ja wykonywałam jakąś piosenkę o niej. W dodatku miałam szarfę czerwoną, to usłyszałam, że robię kpiny ze Związku Radzieckiego”^[348] I.

W efekcie lokal został na pewien czas zamknięty, uczyniono jednak wyjątek, bo gdy do Krakowa przyjechał na gościnne występy francuski aktor Jean-Louis Barrault, koniecznie chciał obejrzeć spektakl zespołu. Władze przychyliły się do jego prośby, doszło jednak do skandalu, gdyż jazzmani nie zamierzali spełniać życzeń Francuza.

„Po występie zaczęły się tańce – opowiadała Janina Garycka. – Grał, jak zwykle, zespół Komedy. I Barrault powiedział, że chce zatańczyć. Prosił tylko, żeby zagrano mu walca. [...] A tu Komedowcy mówią, że nie ponizą się graniem jakichś walczyków [...]. Barrault bardzo się zdumiał, że jakaś orkiestra odmawia mu, kiedy prosi”^[349] I.

Paradoksalnie, niektórzy przedstawiciele elit politycznych kraju szczerze lubili Piwnicę i jej artystów. Należał do nich Józef Cyrankiewicz (był przez wiele lat związany z Krakowem), którego nie bez powodu uważano za najbardziej inteligentnego polityka tamtych lat. Pan premier, odwiedzając Kraków, snobował się na znajomość z „piwnicznymi” artystami, a jego kontakty z Dymnym miały bardzo specyficzny charakter.

„Cyrankiewicz lubił Piwnicę – wspominała Barbara Nawratowicz – ale szczególną, masochistyczną sympatią darzył Wiesia Dymnego. Gdy zajeżdżał do mamusi, to wieczorem do naszych drzwi na [św.] Jana 3 [Dymny mieszkał wówczas razem z Nawratowicz – S.K.] pukało dwóch smutnych agentów, którzy oznajmiali: »Towarzysz premier czeka«... Na to hasło pędziliśmy z Wieskiem do »francuza«, czyli do Hotelu Francuskiego, gdzie w barze, zamkniętym na tę okazję dla szerokich mas, czekał na Wieska Cyrankiewicz. Barmanka, pani Uta, nasza droga przyjaciółka serwowała wódkę, a Wiesiek rysował na papierkach, serwetkach i różnych karteluszkach okropnie sprośne »scenki z życia« dla

premiera, który cieszył się jak dziecko z tej produkowanej na miejscu pornografii. Bawił się też szampańsko, gdy napompowany alkoholem Wiesiek zaczynał straszliwie lżyć państwową głowę. Wymyślał mu od ostatnich komunistycznych skurwysynów i szydził z »łysej pały«, a ja siedziałam z boku struchlała.

I tak już było aż do następnej wizyty Cyrankiewicza w Krakowie...”[350].

Piwnica pod Baranami była zamykana jeszcze kilka razy, a zdarzyło się nawet, że zespół w ogóle pozbawiono siedziby. Mimo to przetrwała, a Wiesław Dymny pozostał z nią związany do końca życia. Był aktorem, scenografem, autorem tekstów i można chyba przyznać, że żadna inna forma aktywności artystycznej nie przykuła jego uwagi na tak długi czas. Nie wyobrażał sobie życia bez tego kabaretu, a zespół Piwnicy nie mógł się obejść bez niego. Nawet jeśli niektórzy członkowie ekipy rzeczywiście czasem się go obawiali...

BARBARA NAWRATOWICZ

W życiu Piwnicy pod Baranami nie mogło oczywiście zabraknąć wątków romansowych. Zespół gromadził młodych ludzi stanu wolnego, a stałymi bywalcami prób i występów byli krakowscy studenci. Kwitło ożywione życie towarzyskie, a Dymny nie był przesadnie odporny na wdzięki otaczających go wielbicielek. Niebawem związał się z występującą w zespole absolwentką prawa, Barbarą Nawratowicz. Dziewczyna była urodziwa i utalentowana, a jej zmysłowe ruchy i głos doprowadzały mężczyzn do ekstazy. Jednak kobiety miały na jej temat zupełnie inne zdanie.

„Była szorstka, nieprzyjemna, apodyktyczna – wspominała Zofia Komédowa. – Oczywiście bardzo utalentowana: grała, śpiewała, reżyserowała, ale jakoś nie przypadłyśmy sobie do gustu, nie lubię bezwzględnych egoistów, niekoleżeńskich”[351].

Ale Dymnemu osobowość Barbary odpowiadała, szybko więc zostali parą. Zresztą właśnie taka kobieta była mu wówczas potrzebna, bo zaspokajała jego potrzeby zarówno jako mężczyzny, jak i artysty.

„Żyło się goło, ale wesoło – mówiła Nawratowicz. – Gdy poznaliśmy się z Wieśkiem, on był młody szczył, miał ledwie dwadzieścia lat. Zatem to ja byłam głową rodziny i musiałam zarabiać. Wiesiek groszem nie śmierdział, a miał duże wymagania – a to farby, a to aparat fotograficzny, a to maszyna do pisania”[352].

I rzeczywiście w czasach ich znajomości to pani Barbara zapewniała im egzystencję. W tym celu przeniosła się nawet do Kielc, gdzie zaoferowano jej etat. Regularny, stały dochód oznaczał pewną stabilizację finansową.

„Żyli w biedzie – opowiadała Zofia Komedowa. – Basia postanowiła regularnie pracować i zaczęła pracę w teatrze w Kielcach. To były takie... warsztaty teatralne Państwa Byrskich. Ogromny reżim tam był. Dryl wojskowy, koszary. Nie wiem, jak się tam odnalazła. Fakt, że była na etacie, nie tak jak ci biedni adepci”[[353](#)].

Zamieszkali razem, początkowo przez kilka tygodni kątem u znajomych, a następnie wprowadzili się do małego pokoiku przy ulicy św. Jana. „Odziedziczyli” to mieszkanie po Wandzie Warskiej i Andrzeju Kurylewiczu, trudno jednak uznać ten lokal za komfortowy. Nie było tam wody i ogrzewania, toaleta mieściła się na korytarzu. Ale wreszcie mieli swój kąpiel.

Barbara bywała w Krakowie tylko raz w tygodniu, co stało się przyczyną rozdźwięków z Dymnym. Wiesiek ciepło spoglądał na swoje adoratorki, a gdy Nawratowicz dowiedziała się o jednej z nich (szczególnie aktywnej), wzięła sprawy we własne ręce.

„[...] zaprosiła nas wszystkich do Piwnicy na wcześniejszą godzinę, obiecując, że zademonstruje przed programem, jak się takie sprawy załatwia na oczach publiczności – relacjonowała Zofia Komedowa. – I rzeczywiście. »Winowajczynie«, niczego się nie spodziewając, przyszła na spektakl, bo też była aktorką »Piwnicy«. I tu się dopiero zaczęło... Zrobił się ring – damski boks. Obie panie wyrywając sobie kudły, tarzały się po podłodze przed barkiem, lżyły i wyklinały. W końcu rozdzieliliśmy je jakoś, a po godzinie poobijane, posiniaczone występowały na scenie. Najśmieszniejsze, że obiekt tych zapasów, Wiesio, stał dumnie wśród nas, obserwatorów, i spokojnie czekał na wynik tej walki”[[354](#)].

Nie był to jedyny problem w ich związku, bo Dymny bywał agresywny, szczególnie po alkoholu. Ale dzięki temu zaczęła się wielka kariera Ewy Demarczyk, która kiedyś musiała zastąpić Nawratowicz. Wiesław wprawdzie napisał dla partnerki piosenkę *Czarne anioły*, ale „upiwszy się straszliwie, rzucił w nią ciężką szklaną popielniczką”. Trafił w krtań i Barbara straciła „górną” głosu. Piosenkę przejęła Demarczyk, która za wykonanie tego utworu otrzymała nagrodę na festiwalu w Opolu.

Barbara wybaczyła mu jednak, a po latach mówiła zrezygnowana, że w przypadku Dymnego kobiety zapomniały o „gorszych rzeczach” Nigdy nie zawarli jednak małżeństwa, chociaż podobno czynili pewne starania w tym kierunku.

„Oficjalnie ślubu nie mieliśmy – przyznawała pani Nawratowicz. – Ale kiedyś byliśmy na wakacjach w Kazimierzu i Wiesiek bez uprzedzenia przywłókł nad Wisłę jakiegoś przerażonego księdza staruszka i kazał mu połączyć nas węzłem małżeńskim, co ten ksiądz uczynił. Mam nadzieję, że Dymny potem już

żadnego ślubu kościelnego nie brał, choć pewnie tamten nie był ważny...”[355].

Ich związek nie miał jednak przyszłości, więc Barbara zdecydowała się na emigrację. Wyjechała do RFN, a po latach tłumaczyła, że jednym z powodów jej decyzji były problemy alkoholowe Wiesława.

„Moje prywatne życie coraz bardziej się komplikowało. Alkohol budził niekontrolowane agresje i już nie widziałam światła w tym tunelu. Postanowiłam zatem, pokonując ogromny ból serca, bo kochałam go bezgranicznie, opuścić Dymnego, zostawiając mu cały ruchomy dorobek i nasz »dom«, czyli pokój przy ulicy św. Jana 3 m. 13A”[356].

O jej pierwszych miesiącach na emigracji dużo pisała Ewa Frykowska w swoich skandalizujących wspomnieniach. Z czasem jednak Nawratowicz dostała pracę w rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa, a z Dymnym zobaczyła się jeszcze, gdy odbierał Nagrodę Fundacji Kościelskich. Spotkali się w Genewie, a potem pojechali do Monachium.

„Z Barbarą wiąże się jeszcze jedna nie do końca wyjaśniona sprawa – opowiadał ojczym Dymnego. – Wiesiek za swój tomik opowiadań otrzymał w Szwajcarii wysoką nagrodę. Musiał ją osobiście odebrać.

Jak to się stało, nie wiem, że tam się spotkał z Barbarą i kiedyś przyznał się, że zostawił jej całą nagrodę. Miała mu kupić samochód. Bardzo się z tego cieszył, zdobył prawo jazdy, a kiedy byliśmy u niego w Krakowie, pokazywał na »garbusy«, dodając, że już wkrótce takim będziemy jeździli. Nigdy się tego nie doczekał, a gdy próbowałem go pytać o tę sprawę, natychmiast zmieniał temat”[357].

I nie jest to jedyna tajemnica związana z osobą Barbary Nawratowicz. W dokumentach IPN znajduje się bowiem jej zobowiązanie do współpracy z SB w charakterze tajnego współpracownika o pseudonimie „Sportowiec”. Napisała je w styczniu 1954 roku, kiedy była jeszcze studentką. „Ja, Nawratowicz Barbara, zobowiązuję się do udzielenia informacji organom Służby Bezpieczeństwa Publicznego o wrogiej działalności, z jaką się spotkam na terenie uczelni oraz poza uczelnią – jak również będę dążyć do wykrywania wrogów Polski Ludowej oraz prowadzonej przez nich działalności skierowanej przeciwko obecnej rzeczywistości. Jako zetempówka świadoma jestem tego, że jest moim obowiązkiem walczyć z wrogami naszego ustroju oraz pomagać władzom w zwalczaniu ich”[358].

FILM

Ważną rolę w zainteresowaniach Dymnego odgrywał film, który stał się jedną z najważniejszych dziedzin jego aktywności zawodowej. Jako aktor

zadebiutował w *Rancho Teksas* (1958), a w sumie pojawił się w aż 18 obrazach. W większości były to jednak role epizodyczne, których często nie uwzględniano nawet w czołówkach filmów. Inna sprawa, że Wiesław nie miał zbyt wysokiego mniemania o swoich umiejętnościach aktorskich.

„Nienawidzę być aktorem – zwierzał się – wydaje mi się to ubliżające, fatalnie się czuję. Grywam czasem; zawsze z myślą, że coś z tego wyjdzie, i stale wypada obok tego”^[359].

Zdecydowanie większe znaczenie miała jego aktywność w roli scenarzysty. Zapoczątkował ją ekranizacją jednego z własnych opowiadań, czyli filmem *Chudy i inni* w reżyserii Henryka Kluby. W 1966 roku obraz zdobył prestiżową Nagrodę imienia Andrzeja Munka.

„Ten film był wydarzeniem – oceniał krytyk Stanisław Morawski – [...] burzył peerelowski schemat opowieści o wielkiej budowie. Ukazana w filmie brygada budowniczych mostu to zbieranina indywiduów, w których życiorysy lepiej nie zaglądać”^[360].

Film wzbudził jednak poważne kontrowersje wśród decydentów życia kulturalnego, co negatywnie odbiło się na następnym wspólnym projekcie Kluby i Dymnego. Obraz *Słońce wschodzi raz na dzień*, czyli kolejna ekranizacja opowiadania Wiesława, trafił na półkę, a jego premiera odbyła się dopiero kilka lat później.

Jeszcze gorszy los spotkał trzecią realizację tego tandemu, czyli *Pięć i pół bladego Józka*. Dzieło Dymnego i Kluby zostało tak pocięte przez cenzurę, że w niczym nie przypominało już oryginału.

„Ledwie zakończyłem zdjęcia – wspominał reżyser – [...] wezwano mnie z filmem do Warszawy, na taką, co tu dużo mówić, dintojrę. Zakwestionowano mi więcej niż połowę filmu. Miałem do wyboru, uprzeć się – dziś żałuję, że tego nie zrobiłem – i pozostawić film w takiej formie, w jakiej go nakręciliśmy, w jakiej chcieliśmy, aby był – lub też mogłem się zgodzić na zmiany w nadziei, że utworzą one filmowi drogę na ekrany. Niestety, zmiany zepsuły film zupełnie i tak zakończyła się przygoda z filmem *Pięć i pół bladego Józka*”^[361].

Praca nad tym tytułem miała jednak dla Dymnego szczególne znaczenie. Poznał wówczas bliżej młodziutką aktorkę wcielającą się w rolę Katarzyny. Była nią 20-letnia Anna Dziadyk.

Niepowodzenia kolejnych produkcji nie zniechęciły Dymnego do kinematografii. Zajął się przygotowaniem scenariusza do 30-odcinkowego serialu o losach rodziny Pokornych na Ziemiach Odzyskanych (*Droga na Dziki Zachód*). Napisał pierwsze siedem odcinków, jednak serial ten nigdy nie został skierowany do realizacji.

„To był naprawdę bardzo piękny scenariusz – wspominała Anna Dymna –

pełen bólu i cierpienia. Komisja jednak musiała go odrzucić. Temat nie był »po drodze«. Jedni oceniali go jako fantastyczny, a drudzy uznali tekst za skandal i pouczali, że w komunizmie tak pisać nie można”[³⁶²].

Niezrażony Dymny planował kolejne filmy i znowu miał pracować z Henrykiem Klubą. Niewiele też brakowało, by doszło do jego współpracy z Andrzejem Wajdą, który zainteresował się prozą Dymnego.

„Chciałem się spotkać z nim jako scenarzystą – przyznawał Wajda. – Najbardziej podobała mi się jego opowieść o nieprawdopodobnych przygodach dwóch Ślązaków [...] podczas drugiej wojny światowej. To opowiadanie – gotowy scenariusz filmowy – jest polską odpowiedzią na Haszkowe *Przygody dobrego wojaka Szwejka*. Niestety, bohaterowie Dymnego początkowo, zanim zdezerterowali, zostali wcieleni do Wehrmachtu, co dla władz naszej kinematografii było trudne do przełknięcia”[³⁶³].

Aktywność filmowa Dymnego trwała praktycznie do końca jego życia i nie ograniczała się wyłącznie do pisania scenariuszy czy odtwarzania epizodów. Projektował kostiumy filmowe, pisał dialogi (serial *Doktor Ewa*), pracował jako scenograf. A chociaż nie lubił występować jako aktor, to do historii polskiego filmu przeszedł dzięki udziałowi w epizodzie we *Wszystko na sprzedaż*. To właśnie Wiesław był człowiekiem, który biegał wokół kamery z przypiętymi skrzydłami husarskimi, imitując przejeżdżających w pobliżu jeźdźców...

ANIA

„Mieszka przy ulicy św. Jana w Krakowie w lokalu na pierwszym piętrze w oficynach – charakteryzował sytuację Dymnego TW »Relax«. – Obecnie buduje mieszkanie w Krakowie przy ulicy Bitwy pod Lenino 5, klatka schodowa 9, V piętro. Posiada tam wielopokojowy apartament, przerobiony własnym kosztem na strychu. [...] Żyje od 5 lat z dziewczyną Teresą, jego poprzednia dziewczyna wyjechała za granicę i obecnie pracuje w Radio Wolna Europa. [...] Nigdzie stale nie zatrudniony, żyje z dorywczych prac. Ostatnio jego scenariuszem filmowym zainteresował się Henryk Kluba, nakręcił nawet film. Stąd też możliwość wybudowania własnego mieszkania”[³⁶⁴].

Miejsce Barbary Nawratowicz zajęła w życiu Dymnego Teresa Hryniewicz, piękna barmanka z klubu Pod Jaszczurami. To właśnie z jej powodu Wiesław regularnie odwiedzał Jaszczury, skutecznie odstrasżając jej kolejnych wielbicieli. Znajomość ta zakończyła się małżeństwem. Zamieszkali na strychu urządzonym przez Dymnego, jednak ich związek nie przetrwał próby czasu. Wprawdzie Teresa „wszędzie za nim jeździła” i „była przywiązana do niego jak pies”, to jednak nie dochowała mu wierności, czego Wiesław nie potrafił jej wybaczyć.

Niebawem też w jego życiu pojawiła się Anna Dziadyk.

Była od niego młodsza o 15 lat, a pierwsze ich bliższe kontakty nie zapowiadały wielkiego uczucia. Podczas realizacji filmu *Pięć i pół bladego Józka* aktorka starała się schodzić z drogi groźnemu scenarzyście, ale przypadek zdecydował, że poznali się bliżej. Pewnego wieczoru Dymny grał w ping-ponga z Jerzym Cnotą pod drzwiami jej pokoju – obaj panowie hałasowali niemiłosiernie, ostro przy tym przeklinając. Anna poprosiła o ciszę, a gdy w odpowiedzi została w chamski sposób zwymyślana, uderzyła Wiesława. Ten zaś oddał, podbijając dziewczynie oko.

Wyjechała wówczas do domu, kiedy jednak wracała na plan, Dymny czekał na nią na dworcu.

„Była zima, mróz i mgła – wspominała aktorka. – Kiedy po całonocnej podróży wysiadłam w Kutnie, nieprzytomna ze zmęczenia, zobaczyłam na peronie bladego, drżącego z zimna tego potwora, ukrywał coś za plecami. Podeszedł, wyciągnął ogromny bukiet goździków. – Bo wiesz, nie było niczego innego – zamamrotał. Nie wiem, czemu pocałowałam go w policzek”^[365]].

Ich związek stał się przyczyną wielu plotek, bo wprawdzie Dymny był w separacji z Teresą, to jednak wciąż mieszkał z nią pod jednym dachem. Wiesława i Annę dzieliła duża różnica wieku, a do tego on miał wyjątkowo złą opinię „na mieście”. Ale na przekór wszystkiemu postanowili być razem, chociaż nie było to łatwe.

„[...] chodził z Anią pod pachę – wspominała Maria Zającówna-Radwanowa – on, który nie uznawał żadnych mieszczańskich zachowań! Wówczas było to wbrew przyjętym zwyczajom, gdyż najczęściej kobiety szły kilka kroków za wstawionym panem, ten zaś, w rozwianym płaszczu, omawiał z kolegami ważne sprawy, gnając pierwszy. A tu odmieńcy. Wiesiek elegancko ubrany, trzymający pod rękę śliczną, wiotką, wpatrzoną w niego Anię, na spacerze w środku Krakowa! Było to liryczne i przyznam szczerze, wzbudzało w nas pokłady zazdrości...”^[366]].

Po rozwodzie Wiesława pobrali się i Ania sprowadziła się na jego strych. Ale problemów nie brakowało – Wiesiek był przecież człowiekiem uzależnionym od alkoholu, a ponadto okazywał chorobliwą zazdrość o partnerkę. Ania grała wówczas w wielu filmach, zdarzały się tam sceny erotyczne, a to podnosiło poziom irytacji Dymnego. Podobno gdy szli gdzieś razem, to widząc spojrzenia innych mężczyzn, „trząsł się ze zdenerwowania” i „gotowy był natychmiast zabić takiego faceta”.

„[...] stał się psem Ani – potwierdzał Kazimierz Kutz – która nie dość, że zjawiskowo piękna, to była też i jest obdarzona zjawiskowo pięknym charakterem: dobra, wierna, troskliwa, wyrozumiała, czuła. Natura wyposażyła

ją we wszystkie boskie cechy kobiece, o których mężczyzna może tylko marzyć. Toteż jego skłonność do zazdrości miała swój żer”[³⁶⁷].

Na co dzień byli jednak zgodnym małżeństwem, a Ani nie przeszkadzało nawet to, że po niepowodzeniach Wiesław „pił przez miesiąc”. Bo kiedy nie pił, to wspólnie czytali na głos, całe noce poświęcali na jej akty fotograficzne, a on starał się realizować wszystkie jej marzenia.

„Godziną trzeźwości potrafił wynagrodzić mi tydzień picia – wspominała Anna. – Był subtelny, mądry, wrażliwy i czuł tylko poprzykrywany maskami. [...] Nieprawdopodobnie utalentowany żył w czasach uświadamiających, że te liczne zdolności wydawały się bezużyteczne. Potrafił w niezwykle sposób przekształcać rzeczywistość wokół siebie, z obserwowania ludzi zawsze miał, jeśli nie tekst, to choćby dowcip. Brał do ręki kawałek drewna i po chwili stawał się on rzeźbą albo śmiesznym przedmiotem. Z niczego robił broszkę, szył torbę albo buty. Im większy czuł opór materii, tym większą radość sprawiało mu jej pokonanie”[³⁶⁸].

Faktycznie, gdy „Ania nie miała butów, szył jej buty, jak nie miała kozucha, szył jej kozuch”. Zawsze fascynowało go to, czego jeszcze nie robił, dlatego na poważnie zajął się stolarką, aby do ich mieszkania własnoręcznie wykonać meble. I bardzo niechętnie wówczas przyjmował gości, bo stolarstwo stało się na pewien czas najważniejszą pasją w jego życiu. Inna sprawa, że fascynacje Dymnego czasami okazywały się bardzo praktyczne.

„Żyliśmy często na granicy nędzy – przyznawała Anna Dymna – głównie z mojej pensji i z tego, co zarobiłam w filmie. Przykładowo na początku miesiąca za 100 złotych kupowaliśmy ryby dla kota, a później niejednokrotnie podjadaliśmy mu te ryby. W mieszkaniu mieliśmy przede wszystkim stół stolarski i kiedy dostawaliśmy jakieś pieniądze z filmu, to kupowaliśmy ileś kubików najtańszych desek, potem je heblowaliśmy, kupowaliśmy gwoździe i robiliśmy sobie meble. Chodziłam pięknie ubrana, bo z podszewki, zakupionej za dziesięć złotych, szyliśmy różne fajne rzeczy. Murowaliśmy ściany bez pomocy rzemieślników”[³⁶⁹].

W 1977 roku doszło do tragedii – ich ukochany strych został zniszczony przez pożar spowodowany wybuchem kineskopu telewizora. Dymni ledwo uszli z życiem, spłonęło wówczas wiele prac Wiesława.

Ale po pierwszym okresie załamania artysta powrócił do równowagi i z ogromną energią przystąpił do remontu strychu. Stało się to celem jego życia, niestety nie dożył już jego ukończenia. Zmarł nagle w swoim mieszkaniu 11 lutego 1978 roku, w wieku zaledwie 42 lat. Przy jego śmierci nie było nikogo – z żoną miał się zobaczyć następnego dnia, przed jej odjazdem na plan zdjęciowy filmu *Do krwi ostatniej*.

„[...] nie było żywej duszy, panowała cisza – wspominała przyjaciółka Dymnej, Elżbieta Karkoszka. – Na piątym piętrze dopadł mnie szloch Ani. Wiesiek leżał w kuchni... Nie mogli go wynieść, bo miał szeroko rozłożone ręce, jakby się bronił przed takim wyjściem z domu... ten głuchy dźwięk rozkrzyżowanych sztywnych ramion uderzających o futrynę drzwi!”^[370]].

Nigdy nie wyjaśniono okoliczności jego śmierci, chociaż na życzenie wdowy dwukrotnie wznawiano śledztwo w tej sprawie. Pani Anna jednak do dzisiaj jest przekonana, że nie był to zgon naturalny i że za przedwczesną śmierć jej męża odpowiada Służba Bezpieczeństwa. Podejrzeń tych nie podzielali jednak współpracownicy Dymnego z Piwnicy pod Baranami. Uznano tam, że Wiesław zmarł na atak serca, a długoletnie nadużywanie alkoholu przyspieszyło jego odejście.

Problemy pojawiły się w związku z pogrzebem artysty, bo cmentarz Rakowicki był wówczas zamknięty dla nowych pochówków i ostatecznie Dymny spoczął na Salwatorze.

„Na nabożeństwo przyszli przyjaciele, ale też i ciekawscy, i snobujący się na Piwnicę – wspominał historyk sztuki Michał Rożek. – Halina Wyrodek czytała lekcje. W kościele unosyły się opary nie tylko kadzidła”^[371]].

Z dużą dozą sympatii potraktował zmarłego prowadzący uroczystość żałobną ksiądz Maliński, który stwierdził, że „artyści są ulubieńcami aniołów, a ten, kto pije wino, jest blisko Boga, gdyż wino jest symbolem krwi Chrystusowej i Chrystus też pił wino”. Nic zatem dziwnego, że miejscowe dewotki były zgorszone, bo to „skandal obiecywać pijakom Niebo”^[372]].

„[...] gdyby mu jakiś anioł powiedział, że ma pisać tylko po kilka godzin dziennie, zostałby znakomitym, uznanym pisarzem – mówił o Dymnym Piotr Skrzynecki – gdyby się poświęcił malarstwu – byłby wielkim malarzem, albo na przykład wielkim stolarzem, gdyby się temu oddał bez reszty”^[373]].

Natomiast jego najbliżsi przyjaciele oddali mu hołd tak, jak zrobiliby to bohaterowie jego prozy. I to chyba sprawiłoby Wieśkowi największą radość.

„Spotkaliśmy się wszyscy jeszcze raz na grobie Wieśka w rocznicę śmierci – wspominał Marek Pacuła – ja, Wrona, Żarow i Warchał. Edek Wrona namówił po drodze kilku muzyków, żeby poszli z nami na cmentarz. Była okropna pogoda. Piliśmy wódkę z Wieśkiem, a muzycy grali. Tyle że potem zażądali zapłaty, a nikt z nas nie miał pieniędzy. Sytuacja była taka jak cały Dymny”^[374]].



Zakończenie

Zbyszek Cybulski i Ryszard Milczewski-Bruno w chwili śmierci mieli po 39 lat, a Stachura, Dymny i Grochowiak po 42. Andrzej Brycht przeżył wprawdzie 21 lat więcej, ale przez ostatnie dwie dekady życia nie napisał praktycznie nic wartego uwagi. Teresa Tuszyńska ostatnią rolę filmową zagrała w wieku 28 lat.

Jak potoczyłyby się ich losy, gdyby żyli w innej epoce? Czy wtedy alkohol również tak drastycznie ingerowałby w ich życie i kariery? Tego nigdy się nie dowiemy, ale pewne jest, że odchodząc młodo, pozostawili po sobie legendę. A chociaż niektórzy z bohaterów tej książki zostali już nieco zapomniani, to jednak mam nadzieję, że publikacja przywróci Czytelnikom ich postacie.

Mam zresztą wrażenie, że podstawowym zadaniem kronikarza epoki PRL jest przypominanie o tych, którzy zasłużyli się dla naszej kultury, a potem z różnych powodów przestali funkcjonować w społecznej świadomości. Wielu jest ludzi, którzy niegdyś wzbudzali duże emocje, a obecnie znani są niemal wyłącznie specjalistom. Całkiem niesłusznie, albowiem nawet jeśli ich dzieła nie przetrwały próby czasu, to jednak warto wiedzieć, czyimi biografiami pasjonowali się czytelnicy, widzowie czy melomani tamtej epoki. I wyłącznie takim, już zapomnianym osobom zamierzam poświęcić jedną z kolejnych książek cyklu o elitach PRL. Będzie to swoisty suplement do *Straconego pokolenia*, ale równocześnie rozwinięcie tematów w nim poruszanych. Mam nadzieję, że problematyka ta zaciekawi Czytelników, a ja ponownie będę mógł się zająć tym, co najbardziej mnie pasjonuje. Bo na koniec muszę przyznać, że z każdą kolejną książką staję się coraz większym fanem kultury tamtych lat – kultury, którą – jak mi się dawniej wydawało – bardzo dobrze znałem, a dzisiaj z radością odkrywam na nowo.



Ważniejsza bibliografia

- Afanasjew J., *Okno Zbyszka Cybulskiego*, Warszawa 2008
- Aktorki polskiego filmu*, red. A. Jasztal, Warszawa 2010
- Anderman J., *Fotografie*, Kraków 2002
- Anderman J., *Stachura. Najlepszy poeta świata*,
http://in.wyborcza.pl/wyborcza/1,132749,16379748,Najlepszy_poeta_swiate.html
- Andrzej Brycht: *Wracam do literatury*, „Dziennik Łódzki”, 23.09.1987
- Baniewicz E., *Anna Dymna. Ona to ja*, Warszawa 2011
- Baniewicz E., *Dymna*, Warszawa 2014
- Batura E., *Księżycowy chłopiec*, Warszawa 2001
- Bereś W., Skoczylas J., *Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko*, Warszawa 1991
- Biały niedźwiedź*, „Przekrój”, 47/1958
- Bielas J., *Kobiety Edwarda Stachury*,
http://www.ikmag.pl/miesiecznik/rozmaitosci/kobiety_edwarda_stachury_wedrowczlowieka.html
- Brycht A., „...pragnę napisać piekielnie ostrą powieść polityczną...n”, „Żołnierz Wolności”, 14.07.1967
- Bryll E., *Przy okazji...*, „Panorama”, 49/1979
- Buchowski M., *Edward Stachura. Biografia i legenda*, Opole 1993
- Celmer-Zajączkowski A., *Taniec na ostrzu brzytwy*, „Teatr”, 7/1991
- Cybulski W., *Dymny, Dymny*, „Film”, 25/1983
- Czarnecki S., *Tarpany*, „Ekran”, 32/1961
- Cześć, starenia! Wspomnienia o Zbyszku Cybulskim, red. M. Pryzwan, Warszawa 2007
- Dasko H., *Andrzej Brycht-finał*, http://niniwa22.cba.pl/brycht_final.htm
- Dasko H., Jeszcze pokażę wszystkim skurnolom, „Gazeta Wyborcza”, 26.08.1999
- Dasko H., Nie ma miłości szczęśliwej. Andrzej Brycht, „Gazeta Wyborcza”, 19.08.1999
- Dasko H., *Odlot malowanego ptaka*, Warszawa 2009
- Derecki M., *Lubelskie lata Edwarda Stachury*, Lublin 2009
- Dominik T., Karewicz M., *Złota młodzież, niebieskie ptaki. Warszawka lat 60.*, Warszawa 2003
- Drużyńska J., Jankowski S.M., *Kolacja z konfidentem. Piwnica pod Baranami w dokumentach Służby Bezpieczeństwa*, Kraków 2006
- Dusza czyścowa: wspomnienia o Stanisławie Grochowiaku, red. A. Romaniuk, Warszawa 2010
- Dworniczak A., *Stanisław Grochowiak*, Poznań 2000

- Dymna A., Szczawiński W., *Warto mimo wszystko*, Kraków 2006 *Dymny*, „Przekrój”, 13/1988
- ...*Dymny... Dymny...* reż. Jolanta Słobodzian, TVP 1982 *Edward Stachura*, TVP 1992
- Edward Stachura. Niedokończona opowieść*, scenariusz i realizacja E. Wanat, TVP SA, Poznań 1996
- Errata do biografii. Andrzej Brycht*, <http://vod.tvp.pl/dokumenty/historia/errata-do-biografii/wideo/andrzej-brycht/4285315>
- Fac B., „*Czerwona Róża*” dla Gdańska, „*Litery*”, 1/1969
- „*Film*”, 2/1992
- Gruza J., *Telewizyjny alfabet wspomnień*, „*Gazeta Telewizyjna*”, 51/2000
- Hańbowski J., O „*Ostatnim strzale*”... *bez strzału*, „*Panorama Północy*”, 35/1958
- IPN BU 001043/95
- IPN BU 0236/171/1
- IPN BU 1317/68
- IPN Kr 009/3209
- Iwaszkiewicz J., *A może tak coś fabularnego?*, „*Życie Warszawy*”, 304/1963
- Jakubowski J., *Dwa życia Bruna*, „*Pobocza*”, 1/2009
- Jerzy Urban. Rozmawia Marta Stremecka*, Warszawa 2013
- Jerzyna Z., *Wspomnienie o Stanisławie Grochowiaku*, „*Tygodnik Kulturalny*”, 3/1982
- Jerzyna Z., *Z epizodów zapamiętanych*, „*Poezja*”, 10-11/1986
- Jończyk S., *Debiut Andrzeja Brychta*, „*Kierunki*”, 17/1961
- „*Kamena*”, 23/1986
- Karaszkiwicz J., *Słodkie lata*, „*Gazeta Wyborcza*”, 15.05.1998
- Kępiński P., Sikorski A., *Któż to opisze, któż to uciszy. Rozmowy z Wincentym Różańskim*, b.m.w. 1997
- Klim A., *Seks, sztuka i alkohol. Życie towarzyskie lat 60.*, Warszawa 2013
- Komeda-Trzcińska Z., *Zośka, Komeda i inni*, Warszawa 1996
- Konwicki T., *Wschody i zachody księżycy*, Warszawa 1990
- Kowalski J., *Teresa Tuszyńska znika*, „*Wysokie Obcasy*”, 6/2011
- Kraśński J., *Stanisław Grochowiak – uległy czy kolczasty*, „*Tygodnik Powszechny*”, 45/1995
- Krupiński W., *Głowy piwniczne*, Kraków 2007
- Kryśka S., *Grochowiak we „Współczesności”*, „*Poezja*”, 10-11/1976
- Księstwo Warszawskie*, „*Gazeta Wyborcza*”, 06.11.2003
- Kucharska M., *Kamera gotowa*, „*Poezja*”, 8/1981
- Kunczewicz P., *Stanisław Grochowiak*, „*Kierunki*”, 36/1977

- Łuszczyna M., *Liryka, epika, kastet*, „Bluszcz”, 7/2010
- Machcewicz P., „Służbowy” raport z Monachium, „Plus, Minus”, 30/2007
- Marx J., *Legendarni i tragiczni*, Warszawa 2000
- Marx J., *Sztuczne raje Grochowiaka*, „Odrodzenie”, 38/1986
- Mętrak K., *Mowa wygłoszona z okazji Zaduszek 1979 roku*, „Literatura”, 30/1981
- Milczewski S., *Pamięci Bruna*, „Kalendarz Grudziądzki”, 2009
- Milczewski S., *Wspomnienie o ojcu*, „Kalendarz Grudziądzki”, 2004
- Milczewski-Bruno R., *Listy*, Warszawa 1989
- Młodość, uroda, wielka nadzieja*, „Wiadomości Filmowe”, 1/1960
- Morawski S., *Powrót do źródeł*, „Film”, 12/1967
- Nawratowicz B., *Piwnica pod Baranami. Początki i rozwój*, Kraków 2010
- Nowakowski M., *Pióro. Autobiografia literacka*, Warszawa 2012
- Nowicki K., *Milczewska okolica* [w:] R. Milczewski-Bruno, *Poezja*, Warszawa 1989
- Nowik M.J., *Tetetka. Wspomnienia o Teresie Tuszyńskiej*, Warszawa 2013
- O Zbigniewie Cybulskim. Zebrane wspomnienia z życia aktora, red. W. Bielicki, Warszawa 1969
- O Zbyszku Cybulskim w 42. rocznicę śmierci*, „Gazeta Wyborcza”, 08.01.2009
- Olczak-Ronikier J., *Piwnica pod Baranami, czyli koncert ambitnych samouków*, Warszawa 1997
- Osiecka A., *Rozmowy w tańcu*, Warszawa 1992
- Osiecka A., *Szpetni czterdziestoletni*, Warszawa 1985
- Pacuła M., *Początek*, „Przekrój”, 7/1998
- „Panorama Północy”, 32/1961
- „Panorama Północy”, 40/1958
- Peltz J., *Młodzi kręcą film o miłości*, „Film”, 37/1959
- Pełka A., *Wolność noszenia*,
<http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/historia/224140,1,wolnosc-noszenia.read#ixzzlCsiOmsnS>
- „Poezja”, 10-11/1976
- Przychodzimy, odchodzimy. Wiesław Dymny
<http://www.polskieradio.pl/8/2384/Artykul/782736,Dymny-byl-genialnym-tworca-po-ktorym-niewiele-mozna-wylozyc-na-stol>
- „Radar”, 9/1983
- Raport z Monachium w TV*, „Tygodnik Kulturalny”, 46/1968
- Roman A., *Czterdziestu wspaniałych*, Warszawa 2003
- Rozmowa z Agnieszką Pyzio, córką Czesławy Kulikowskiej z dnia 20.08.2014
- „Rzeczpospolita”, 14-15.03.1998
- Sarzyński P., Wolny M., *Kronika śmierci przedwczesnych*, Warszawa 2000
- Siedlecka J., *Wypominków ciąg dalszy*, Warszawa 1999

- Stachura E., *Listy do pisarzy*, Warszawa 2006
- Stachura E., *Pogodzić się ze światem*, „*Twórczość*”, 1/1980
- Stachura E., *Wszystko jest poezją*, Warszawa 1982
- Staniszkis: *Życie umysłowe i uczuciowe*. Rozmawia Cezary Michalski, Warszawa 2010
- Szaszkiewiczowa K., *Podwójne życie Szaszkiewiczowej*, Kraków 2011
- Szatkowski J., *Postowie* [w:] R. Milczewski-Bruno, *Listy*, Warszawa 1989
- Szostak V., *Jadwiga Grabowska. Warszawska Grabolka podbija świat mody*, http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,100958,12275304,Jadwiga_Grabowska_Warszawska_Grabolka_podbija_swiat.html „*Sztandar Młodych*”, 24-26.05.1985
- Szyngwelski W., *Sted. Kalendarium życia i twórczości Edwarda Stachury*, Warszawa 2003
- Śliwonik R., *Portrety chwil albo uładnianie*, Toruń 2004
- Śliwonik R., *Portrety z bufetem w tle*, Warszawa 2001
- Teresa Tuszyńska: *Młoda, wspaniała, śliczna*, <http://film.interia.pl/wiadomosci/film/news/teresa-tuszyńska-młoda-wspaniała-śliczna,1838991,38>
- Tkaczuk W., *Biała magia*, „*Filipinka*”, 10/1982
- Tochman W., *Schodów się nie pali*, Kraków 2000
- Toeplitz K.T., *Dowidzenia, do jutra*, „*Świat*”, 19/1960
- Tyrmand L., *Życie towarzyskie i uczuciowe*, Warszawa 2009
- Urban J., *Kryminał z trupem autora*, „*Polityka*”, 35/1971
- Wajda A., *Powtórka z całości*, Warszawa 1989
- Wąs M., *Wiesław Dymny*, Kraków 2013
- Wieczorkowski A.J., *Mój PRL*, Warszawa 2007
- Wieczorkowski A.J., *Obsypany liryką i popiołem smutku*, „*Gazeta Wyborcza*”, 10.04.1999
- Wieczorkowski A.J., *Zły świadek*, „*Radar*”, 44/1986
- Wielki talent i szalony język. Ryszard Milczewski-Bruno i jego poezja, <http://www.polskieradio.pl/9/396/Artykul/1160799,Wielki-talent-i-szalony-jezyk-Ryszard-MilczewskiBruno-i-jego-poezja>
- Wiśniak K., *Z życia scenografa*, Kraków 1998
- Wróblewski J., *Zakochany Cybulski*, <http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/kultura/film/221153,1,.read>
- Wspomnienia, listy Edwarda Stachury do Danuty Pawłowskiej cz. I <http://sted-tworczosc.blog.onet.pl/2012/01/17/wspomnienia-listy-edwarda-stachury-do-danuty-pawłowskiej-cz-i/>
- Zbigniew Cybulski. *Aktor XX wieku*, [red. J. Ciechowicz, T. Szczepański] Gdańsk 1977

Zbigniew Cybulski. *Jak być kochanym*, <http://www.gala.pl/wywiady-i-sylwetki/zbigniew-cybulski-jak-byc-kochanym-7098>

Zbigniew Irzyk *mówi o grupie Współczesność*. Rozmawia Danuta Błaszak, [http://www.google.pl/url?](http://www.google.pl/url?sa=t&rct=j&q=&esrc=s&source=web&cd=3&ved=0CDQQFjAC&url=http%3A%2F%2Fwww.miastoliteratow.com%2Fdocs%2Firzykowspolczesnosci.doc&ei=W237U8Sqf)

www.miastoliteratow.com%2Fdocs%2Firzykowspolczesnosci.doc&ei=W237U8Sqf
http://ipn.gov.pl/_data/assets/pdf_file/0003/54057/l-13835.pdf

Zyta Orszyn: *Chciałam wytłumaczyć, o czym napisałam swoją ostatnią książkę - „Ocalenie Atlantydy”*, rozmawia Karolina Sulej.

http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/l,53662,13882678,Zyta_Orszyn_Chcialam_wytlumaczyc_o_czym_napisal
[as=2](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/l,53662,13882678,Zyta_Orszyn_Chcialam_wytlumaczyc_o_czym_napisal)

Żernicki J., *Tren dla Bruna*, „Poezja”, 8/1979

Żernicki J., *Bruno i Sted*, „Poezja”, 9/1981



[← 1]

Cześć, starenia! Wspomnienia o Zbyszku Cybulskim, red. M. Pryzwan, Warszawa 2007, s. 157.

[← 2]

Za: J. Afanasjew, *Okno Zbyszka Cybulskiego*, Warszawa 2008, s. 127.

[← 3]

Cześć, starenia!..., s. 61.

[← 4]

Ibidem, s. 32.

[← 5]

J. Gruza, *Telewizyjny alfabet wspomnień*, „Gazeta Telewizyjna”, 51/2000.

[← 6]

Za: *Zbigniew Cybulski. Aktor XX wieku*, red. J. Ciechowicz, T. Szczepański, Gdańsk 1977, s. 94.

[← 7]

Cześć, starenia!..., s. 160.

[← 8]

Za: *Zbigniew Cybulski. Aktor...*, s. 95.

[← 9]

A. Wajda, *Powtórka z całości*, Warszawa 1989, s. 46.

[← 10]

Za: *Zbigniew Cybulski. Aktor...*, s. 101.

[← 11]

Cześć, starenia!..., s. 96-97.

[← 12]

Za: *Zbigniew Cybulski. Aktor...*, s. 122.

[← 13]

Cześć, starenia!..., s. 62.

[← 14]

Ibidem, s. 127.

[← 15]

Ibidem, s. 194.

[← 16]

Ibidem, s. 80.

[← 17]

Za: *Zbigniew Cybulski. Jak być kochanym*, <http://www.gala.pl/wywiady-i-sylwetki/zbigniew-cybulski-jak-byc-kochanym-7098>.

[← 18]

Cześć, starenia!..., s. 82.

[← 19]

Za: Zbigniew Cybulski. *Jak być kochanym*.

[← 20]

Cześć, starenia!..., s. 135.

[← 21]

Za: Zbigniew Cybulski. *Jak być kochanym*.

[← 22]

Jerzy Urban. *Rozmawia Marta Stremecka*, Warszawa 2013, s.141.

[← 23]

Cześć, starenia!..., s. 67.

[← 24]

Ibidem, s. 158.

[← 25]

Ibidem.

[← 26]

Ibidem, s. 136.

[← 27]

Za: O Zbyszku Cybulskim w 42. rocznicę śmierci, „Gazeta Wyborcza”, 08.01.2009.

[← 28]

Księstwo warszawskie, „Gazeta Wyborcza”, 06.11.2003.

[← 29]

T. Konwicky, *Wschody i zachody księżycy*, Warszawa. 1990, s. 60.

[← 30]

Ibidem, s. 65.

[← 31]

Cześć, starenia!..., s. 134.

[← 32]

Ibidem, s. 162.

[← 33]

Ibidem, s. 205.

[← 34]

Za: Zbigniew Cybulski. *Aktor...*, s. 168.

[← 35]

Cześć, starenia!..., s. 121.

[← 36]

Za: O Zbigniewie Cybulskim. Zebrane wspomnienia z życia aktora, red. W. Bielicki, Warszawa 1969, s. 114.

[← 37]

Za: Zbigniew Cybulski. Aktor..., s. 177-178.

[← 38]

Za: „Film”, 2/1992.

[← 39]

Cześć, starzenia!..., s. 137.

[← 40]

Ibidem, s. 199.

[← 41]

A. Osiecka, *Rozmowy w tańcu*, Warszawa 1992, s. 161.

[← 42]

Cześć, starzenia!..., s. 203.

[← 43]

Ibidem, s. 105-106.

[← 44]

Errata do biografii. Andrzej Brycht,
<http://vod.tvp.pl/dokumenty/historia/errata-do-biografii/wideo/andrzej-brycht/4285315>.

[← 45]

Zbigniew Irzyk mówi o grupie Współczesność. Rozmawia Danuta Błaszak,
<http://www.google.pl/url?sa=t&rct=j&q=&esrc=s&source=web&cd=3&ved=0CDOQQFjAC&url=http%3A%2F>

[← 46]

Errata...

[← 47]

Ibidem.

[← 48]

M. Nowakowski, *Pióro. Autobiografia literacka*, Warszawa 2012, s. 20.

[← 49]

A. Wieczorkowski, *Mój PRL*, Warszawa 2007, s. 85.

[← 50]

L. Tyrmand, *Życie towarzyskie i uczuciowe*, Warszawa 2009, s. 343.

[← 51]

Za: M. Łuszczyna, *Liryka, epika, kastet*, „Bluszcz”, 7/2010.

[← 52]

M. Nowakowski, *op. cit.*, s. 53.

[← 53]

Errata...

[← 54]

S. Jończyk, *Debiut Andrzeja Brychta*, „Kierunki”, 17/1961.

[← 55]

H. Dasko, *Odlot malowanego ptaka*, Warszawa 2009, s. 28.

[← 56]

Errata...

[← 57]

M. Nowakowski, *op. cit.*, s. 100.

[← 58]

Errata...

[← 59]

M. Nowakowski, *op. cit.*, s. 292.

[← 60]

Errata...

[← 61]

Za: J. Siedlecka, *Wypominków ciąg dalszy*, Warszawa 1999, s. 249.

[← 62]

H. Dasko, *Nie ma miłości szczęśliwej. Andrzej Brycht*, „Gazeta Wyborcza”, 19.08.1999.

[← 63]

„...pragnę napisać piekielnie ostrą powieść polityczną...”, „Żołnierz Wolności”, 14.07.1967.

[← 64]

Ibidem.

[← 65]

M. Nowakowski, *op. cit.*, s. 356.

[← 66]

Errata...

[← 67]

Ibidem.

[← 68]

Raport z Monachium w TV, „Tygodnik Kulturalny”, 46/1968.

[← 69]

Ibidem.

[← 70]

M. Nowakowski, *op. cit.*, s. 147-148.

[← 71]

Ibidem, s. 372.

[← 72]

W. Bereś, J. Skoczylas, *Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko*, Warszawa 1991, s. 83.

[← 73]

Ibidem, s. 84.

[← 74]

Ibidem, s. 84.

[← 75]

M. Nowakowski, *op. cit.*, s. 372.

[← 76]

Za: IPN BU 001043/95.

[← 77]

Za: *ibidem*.

[← 78]

Związani, http://ipn.gov.pl/_data/assets/pdf_file/0003/54057/1-13835.pdf.

[← 79]

Errata...

[← 80]

Ibidem.

[← 81]

J. Siedlecka, *op. cit.*, s. 247.

[← 82]

H. Dasko, *Odlot...*, s. 53-54.

[← 83]

Za: J. Siedlecka, *op. cit.*, s. 249-250.

[← 84]

Staniszkis: Życie umysłowe i uczuciowe. Rozmawia Cezary Michalski, Warszawa 2010, s. 117-118.

[← 85]

J. Urban, *Kryminał z trupem autora*, „Polityka”, 35/1971.

[← 86]

H. Dasko, *Jeszcze pokażę wszystkim skurnolom*, „Gazeta Wyborcza”, 26.08.1999.

[← 87]

Za: *ibidem*.

[← 88]

Za: H. Dasko, *Odlot...*, s. 76.

[← 89]

Za: *ibidem*, s. 78.

[← 90]

Za: *ibidem*, s. 80.

[← 91]

Za: H. Dasko, *Jeszcze pokażę...*

[← 92]

Za: H. Dasko, *Odlot...*, s. 86.

[← 93]

Andrzej Brycht: Wracam do literatury, „Dziennik Łódzki”, 23.09.1987.

[← 94]

Za: J. Siedlecka, *op. cit.*, s. 253.

[← 95]

H. Dasko, *Andrzej Brycht-final*, http://niniwa22.cba.pl/brycht_final.htm.

[← 96]

Za: H. Dasko, *Odlot...*, s. 99-100.

[← 97]

Za: *ibidem*, s. 100.

[← 98]

Ibidem, s. 102.

[← 99]

„Rzeczpospolita”, 14/15.03.1998.

[← 100]

Za: *Edward Stachura*, TVP 1992.

[← 101]

Za: W. Szyngwelski, *Sted. Kalendarium życia i twórczości Edwarda Stachury*, Warszawa 2003, s. 25.

[← 102]

Za: *ibidem*, s. 26.

[← 103]

Rozmowa z Agnieszką Pyzio, córką Cz. Kulikowskiej z dnia 20.08.2014.

[← 104]

Za: M. Buchowski, *Edward Stachura. Biografia i legenda*, Opole 1993, s. 28.

[← 105]

Za: M. Derecki, *Lubelskie lata Edwarda Stachury*, Lublin 2009, s. 8.

[← 106]

Za: M. Buchowski, *op. cit.*, s. 35-36.

[← 107]

Za: M. Derecki, *Lubelskie lata Edwarda Stachury*, Kamena 23/1986.

[← 108]

Ibidem.

[← 109]

Ibidem.

[← 110]

Ibidem.

[← 111]

Za: M. Buchowski, *op. cit.*, s. 44.

[← 112]

Za: *ibidem*, s. 45.

[← 113]

Za: *Edward Stachura*, TVP 1992.

[← 114]

R. Śliwonik, *Portrety z bufetem w de*, Warszawa 2001, s. 202.

[← 115]

J. Iwaszkiewicz, *A może tak coś fabularnego?*, „Życie Warszawy”, 304/1963.

[← 116]

M. Nowakowski, *Pióro. Autobiografia literacka*, Warszawa 2012, s. 91.

[← 117]

Ibidem, s. 91.

[← 118]

„Radar”, 9/1983.

[← 119]

Ibidem, s. 232.

[← 120]

R. Śliwonik, *Portrety z bufetem w tle*, http://niniwa22.cba.pl/portrety_z_bufetem_w_tle.htm.

[← 121]

Ibidem.

[← 122]

Ibidem.

[← 123]

„Sztandar Młodych”, 24-26.05.1985.

[← 124]

Za: J. Bielas, *Kobiety Edwarda Stachury*,
http://www.wikmag.pl/miesiecznik/rozmaitosci/kobiety_edwarda_stachury_wedrow

[← 125]

„Sztandar Młodych”, 24-26.05.1985.

[← 126]

Za: W. Szyngwelski, *op. cit.*, s. 71.

[← 127]

W. Tkaczuk, *Biała magia*, „Filipinka”, 10/1982.

[← 128]

E. Stachura, *Listy do pisarzy*, Warszawa 2006, s. 30.

[← 129]

Zyta Oryszyn: *Chciałam wytłumaczyć, o czym napisałam swoją ostatnią książkę – „Ocalenie Atlantydy”*, rozmawia Karolina Sulej,
http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53662,13882678,Zyta_Oryszyn__Chciałam__wytlumaczyc__o_czym_napias=2.

[← 130]

Za: J. Bielas, *op. cit.*

[← 131]

Za: M. Buchowski, *op. cit.*, s. 88.

[← 132]

Za: W. Szyngwelski, *op. cit.*, s. 97.

[← 133]

J. Żernicki, *Bruno i Sted*, „Poezja”, 9/1981.

[← 134]

Za: J. Marx, *Legendarni i tragiczni*, Warszawa 2000,1.1, s. 425.

[← 135]

Za: *Edward Stachura*, TVP 1992.

[← 136]

Za: M. Buchowski, *op. cit.*, s. 84.

[← 137]

Za: *Edward Stachura. Niedokończona opowieść*, scenariusz realizacja E. Wanat, TVP SA, Poznań 1996.

[← 138]

Za: *Ibidem*.

[← 139]

P. Kępiński, A. Sikorski, *Któż to opisze, któż to uciszy. Rozmowy z Wincentym Różańskim*, b.m.w. 1997, s. 12.

[← 140]

IPN BU 1317/68.

[← 141]

M. Nowakowski, *op. cit.*, s. 91.

[← 142]

R. Milczewski-Bruno, *Listy*, Warszawa 1989, s. 229.

[← 143]

J. Ander man, *Stachura. Najlepszy poeta świata*, http://m.wyborcza.pl/wyborcza/1,132749,16379748,Najlepszy_poeta_swiate.html.

[← 144]

Za: W. Szyngwelski, *op. cit.*, s. 68.

[← 145]

Za: *Edward Stachura. Niedokończona...*

[← 146]

Za: M. Buchowski, *op. cit.*, s. 118.

[← 147]

K. Mętrak, *Mowa wygłoszona z okazji Zaduszek 1979 roku*, „Literatura”, 30/1981.

[← 148]

E. Stachura, *Wszystko jest poezją*, Warszawa 1982, s. 167.

[← 149]

Za: W. Szyngwelski, *op. cit.*, s. 156.

[← 150]

Za: *Wspomnienia, listy Edwarda Stachury do Danuty Pawłowskiej cz. I*, <http://sted-tworczosc.blog.onet.pl/2012/01/17/wspomnienia-listy-edwarda-stachury-do-danuty-pawlowskiej-cz-i/>.

[← 151]

Za: J. Bielas, *op. cit.*

[← 152]

Za: *ibidem*.

[← 153]

Za: M. Buchowski, *op. cit.*, s. 133.

[← 154]

Za: *ibidem*, s. 186.

[← 155]

Za: W. Szyngwelski, *op. cit.*, s. 107.

[← 156]

P. Kępiński, A. Sikorski, *op. cit.*, s. 18.

[← 157]

Za: W. Tochman, *Schodów się nie pali*, Kraków 2000, s. 119.

[← 158]

Za: *ibidem*, s. 120.

[← 159]

Za: J. Bielas, *op. cit.*

[← 160]

Za: M. Buchowski, *op. cit.*, s. 186.

[← 161]

Za: M. Kucharska, *Kamera gotowa*, „Poezja”, 8/1981.

[← 162]

Za: W. Szyngwelski, *op. cit.*, s. 197.

[← 163]

Za: J. Marx, *op. cit.*, s. 450.

[← 164]

E. Stachura, *Pogodzić się ze światem*, „Twórczość”, 1/1980.

[← 165]

Za: W. Szyngwelski, *op. cit.*, s. 76.

[← 166]

Za: *ibidem*.

[← 167]

W. Tochman, *op. cit.*, s. 129.

[← 168]

Ibidem, s. 131.

[← 169]

Ibidem, s. 116.

[← 170]

Za: M.J. Nowik, *Tetetka. Wspomnienia o Teresie Tuszyńskiej*, Warszawa 2013, s. 28.

[← 171]

Za: J. Kowalski, *Teresa Tuszyńska znika*, „Wysokie Obcasy”, 6/2011.

[← 172]

Za: M.J. Nowik, *op. cit.*, s. 30.

[← 173]

Za: J. Kowalski, *op. cit.*

[← 174]

Za: M.J. Nowik. *op. cit.*, s. 32.

[← 175]

J. Hańbowski, O „Ostatnim strzale”... bez strzału, „Panorama Północy”, 35/1958.

[← 176]

„Panorama Północy”, 40/1958.

[← 177]

Ibidem.

[← 178]

Za: J. Kowalski, *op. cit.*

[← 179]

Młodość, uroda, wielka nadzieja, „Wiadomości Filmowe”, 1/1960.

[← 180]

Ibidem.

[← 181]

Biały niedźwiedź, „Przekrój”, 47/1958.

[← 182]

J. Kowalski, *op. cit.*

[← 183]

Za: V. Szostak, Jadwiga Grabowska. Warszawska Grabolka *podbija świat mody*, http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,100958,12275304,Jadwiga_Grabowska__Warszawska_Grabolka_podbija_swiat.html.

[← 184]

Za: A. Pełka, *Wolność noszenia*, <http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/historia/224140,1,wolnosc-noszenia.read#ixzzlSiOmsnS>.

[← 185]

Za: V. Szostak, *op. cit.*

[← 186]

M. J. Nowik, *op. cit.*, s. 41.

[← 187]

Za: *ibidem*, s. 45-46.

[← 188]

Za: *ibidem*, s. 46.

[← 189]

Młodość, uroda, wielka nadzieja...

[← 190]

Za: Teresa Tuszyńska: Młoda, wspaniała, śliczna,
<http://film.interia.pl/wiadomosci/film/news/teresa-tuszynska-mloda-wspaniala-sliczna,1838991,38>.

[← 191]

J. Wróblewski, *Zakochany* Cybulski,
<http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/kultura/film/221153,1,.read>.

[← 192]

J. Peltz, *Młodzi kręcą film o miłości*, „Film”, 37/1959.

[← 193]

Za: Teresa Tuszyńska: Młoda, wspaniała, śliczna...

[← 194]

Za: Cześć, starzenia! Wspomnienia o Zbyszku Cybulskim, red. M. Pryzwan, Warszawa 2007, s. 161-162.

[← 195]

K.T. Toeplitz, *Do widzenia, do jutra*, „Świat”, 19/1960.

[← 196]

Za: M.J. Nowik, *op. cit.*, s. 121.

[← 197]

Za: *ibidem*, s. 122-123.

[← 198]

A. Osiecka, *Szpetni czterdziestoletni*, Warszawa 1985, s. 73.

[← 199]

A. Roman, *Czterdziestu wspaniałych*, Warszawa 2003, s. 108.

[← 200]

T. Dominik, M. Karewicz, *Złota młodzież, niebieskie ptaki. Warszawka lat 60.*, Warszawa 2003, s. 88.

[← 201]

Za: M.J. Nowik, *op. cit.*, s. 128.

[← 202]

Za: *ibidem*, s. 134-135.

[← 203]

Za: *ibidem*, s. 95.

[← 204]

„Panorama Północy”, 32/1961.

[← 205]

S. Czarniecki, *Tarpany*, „Ekran”, 32/1961.

[← 206]

Za: M.J. Nowik, *op. cit.*, s. 130.

[← 207]

Aktorki polskiego filmu, red. A. Jasztal, Warszawa 2010, s. 21-211.

[← 208]

„Panorama Północy”, 32/1961.

[← 209]

Za: M.J. Nowik, *op. cit.*, s. 138.

[← 210]

Za: *ibidem*, s. 149-150.

[← 211]

Za: *ibidem*, s. 101.

[← 212]

Za: *ibidem*, s. 103.

[← 213]

J. Karaszkiewicz, *Słodkie lata*, „Gazeta Wyborcza”, 15.05.1998.

[← 214]

Za: M.J. Nowik, *op. cit.*, s. 140.

[← 215]

Za: *Ibidem*, s. 142.

[← 216]

Ibidem, s. 176.

[← 217]

Za: *ibidem*, s. 170.

[← 218]

J. Marx, *Legendarni i tragiczni*, Warszawa 2002, s. 453.

[← 219]

Za: *ibidem*, s. 456.

[← 220]

Za: *ibidem*, s. 457.

[← 221]

R. Śliwonik, *Portrety z bufetem w tle*, Warszawa 2001, s. 106.

[← 222]

Za: J. Szatkowski, *Posłowie* [w:] R. Milczewski-Bruno, *Listy*, Warszawa 1989, s. 422.

[← 223]

Za: *ibidem*, s. 411.

[← 224]

R. Milczewski-Bruno, *Listy*, Warszawa 1989, s. 31.

[← 225]

Za: J. Szatkowski, *op. cit.*, s. 417.

[← 226]

Za: *ibidem*, s. 418.

[← 227]

Za: *ibidem*, s. 421.

[← 228]

R. Milczewski-Bruno, *op. cit.*, s. 159.

[← 229]

Za: J. Szatkowski, *op. cit.*, s. 424.

[← 230]

S. Milczewski, *Wspomnienie o ojcu*, „Kalendarz Grudziądzki”, 2004.

[← 231]

K. Nowicki, *Milczewska okolica* [w:] R. Milczewski-Bruno, *Poezja*, Warszawa 1989, s. 8-9.

[← 232]

Ibidem, s. 9.

[← 233]

J. Żernicki, *Bruno i Sted*, „Poezja”, 9/1981.

[← 234]

B. Fac, „Czerwona Róża” dla Gdańska, „Litera”, 1/1969.

[← 235]

Za: *Wielki talent i szalony język. Ryszard Milczewski-Bruno i jego poezja*, <http://www.polskieradio.p1/9/396/> Artykuł/1160799,Wielki-talent-i-szalony-jezyk-Ryszard-MilczewskiBruno-i-jego-poezja.

[← 236]

S. Milczewski, *Pamięci Bruna*, „Kalendarz Grudziądzki”, 2009.

[← 237]

R. Milczewski-Bruno, *op. cit.*, s. 185.

[← 238]

S. Milczewski, *Wspomnienie...*

[← 239]

Za: R. Milczewski-Bruno, *op. cit.*, s. 264.

[← 240]

Za: P. Sarzyński, M. Wolny, *Kronika śmierci przedwczesnych*, Warszawa 2000, s. 262.

[← 241]

J. Żernicki, *op. cit.*

[← 242]

Ibidem.

[← 243]

Ibidem.

[← 244]

R. Milczewski-Bruno, *op. cit.*, s. 307.

[← 245]

J. Żernicki, *op. cit.*

[← 246]

R. Milczewski-Bruno, *op. cit.*, s. 313.

[← 247]

Ibidem, s. 334.

[← 248]

S. Milczewski, *Pamięci Bruna...*

[← 249]

R. Milczewski-Bruno, *op. cit.*, s. 357.

[← 250]

Za: *Wielki talent i szalony język...*

[← 251]

J. Szatkowski, *op. cit.*, s. 440.

[← 252]

R. Milczewski-Bruno, *op. cit.*, s. 408.

[← 253]

Za: J. Jakubowski, *Dwa życia Bruna*, „Pobocza”, 1/2009.

[← 254]

Za: J. Szatkowski, *op. cit.*, s. 445.

[← 255]

J. Żernicki, *Tren dla Bruna*, „Poezja”, 8/1979.

[← 256]

„Poezja”, 10-11/1976.

[← 257]

Za: *Dusza czyścowa: wspomnienia o Stanisławie Grochowiaku*, red. A. Romaniuk, Warszawa 2010, s. 47.

[← 258]

Za: *ibidem*, s. 49.

[← 259]

Za: *ibidem*.

[← 260]

Za: *ibidem*, s. 5.

[← 261]

Za: *ibidem*, s. 306.

[← 262]

Za: *ibidem*, s. 56.

[← 263]

Za: *ibidem*, s. 58.

[← 264]

Za: *ibidem*, s. 458-460.

[← 265]

Za: *ibidem*, s. 346.

[← 266]

S. Kryska, *Grochowiak we »Współczesności«*, „Poezja”, 10-11/1976.

[← 267]

A.J. Wiczorkowski, *Zły świadek*, „Radar”, 44/1986.

[← 268]

Za: *Dusza czyścowa...*, s. 299.

[← 269]

A.J. Wiczorkowski, *op. cit.*

[← 270]

Za: *Dusza czyścowa...*, s. 65.

[← 271]

Z. Jerzyna, *Wspomnienie o Stanisławie Grochowiaku*, „Tygodnik Kulturalny” 3/1982.

[← 272]

Za: P. Sarzyński, M. Wolny, *Kronika śmierci przedwczesnych*, Warszawa 200, s. 242-243.

[← 273]

Z. Jerzyna, *op. cit.*

[← 274]

Za: *Dusza czyścowa...*, s. 333.

[← 275]

Za: *ibidem*, s. 299.

[← 276]

R. Śliwonik, *Portrety z bufetem w tle*, Warszawa 2001, s. 58.

[← 277]

Za: *Dusza czyścowa...*, s. 354.

[← 278]

J. Krasieński, *Stanisław Grochowiak – uległy czy kolczaty*, „Tygodnik Powszechny”, 45/1995.

[← 279]

R. Śliwonik, *op. cit.*, s. 60.

[← 280]

Za: *Dusza czyścowa...*, s. 306.

[← 281]

R. Śliwonik, *op. cit.*, s. 54.

[← 282]

Za: *Dusza czyścowa...*, s. 353.

[← 283]

M. Nowakowski, *Pióro. Autobiografia literacka*, Warszawa 2012, s. 99-100.

[← 284]

Za: *Dusza czyścowa...*, s. 362.

[← 285]

A.J. Wieczorkowski, *Obsypany liryką i popiołem smutku*, „Gazeta Wyborcza”, 10.04.1999.

[← 286]

Za: *Dusza czyścowa...*, s. 93.

[← 287]

E. Bryll, *Przy okazji...*, „Panorama”, 49/1979.

[← 288]

Za: *Dusza czyścowa...*, s. 353.

[← 289]

P. Kuncewicz, *Stanisław Grochowiak*, „Kierunki”, 36/1977.

[← 290]

IPN BU 0236/171/1.

[← 291]

J. Marx, *Sztuczne raje Grochowiaka*, „Odrodzenie”, 38/1986.

[← 292]

R. Śliwonik, *op. cit.*, s. 65.

[← 293]

Za: J. Anderman, *Fotografie*, Kraków 2002, s. 11.

[← 294]

J. Krasieński, *op. cit.*

[← 295]

Z. Jerzyna, *Z epizodów zapamiętanych*, „Poezja”, 10-11/1986.

[← 296]

Za: *Dusza czyścowa...*, s. 460.

[← 297]

Za: *ibidem*, s. 348.

[← 298]

Za: *Dusza czyścowa...*, s. 222.

[← 299]

Za: *ibidem*, s. 225.

[← 300]

Za: *ibidem*, s. 226.

[← 301]

Za: *ibidem*, s. 105.

[← 302]

Za: *ibidem*, s. 227-228.

[← 303]

Za: *ibidem*, s. 228.

[← 304]

Za: *ibidem*, s. 230.

[← 305]

Za: *ibidem*, s. 232.

[← 306]

Za: *ibidem*, s. 236.

[← 307]

Za: *ibidem*, s. 238-239.

[← 308]

R. Śliwonik, *Portrety chwil albo układanie*, Toruń 2004, s. 81.

[← 309]

Ibidem, s. 82.

[← 310]

Za: *Dusza czyścowa...*, s. 246.

[← 311]

Za: *ibidem*, s. 246-247.

[← 312]

- Za: A. Dworniczak, *Stanisław Grochowiak*, Poznań 2000, s. 11.
- [← 313]
J. Marx, *op. Cit.*
- [← 314]
Za: *Dusza czyścowa...*, s. 478.
- [← 315]
R. Śliwonik, *Portrety z bufetem w tle*, s. 62.
- [← 316]
Za: J. Siedlecka, *Wypominków ciąg dalszy*, Warszawa 1999, s. 268.
- [← 317]
Za: *Dusza czyścowa...*, s. 256.
- [← 318]
Za: *ibidem*, s. 457.
- [← 319]
A.J. Wiczorkowski, *Obsypany...*
- [← 320]
Za: *Dusza czyścowa...*, s. 260.
- [← 321]
Za: *...Dymny...Dymny...* reż. Jolanta Słobodzian, TVP 1982.
- [← 322]
Za: *Dymny*, „Przekrój”, 13/1988.
- [← 323]
K. Wiśniak, *Z życia scenografa*, Kraków 1998, s. 43.
- [← 324]
Ibidem, s. 43.
- [← 325]
M. Pacuła, *Początek*, „Przekrój”, 7/1998.
- [← 326]
Za: M. Wąs, *Wiesław Dymny*, Kraków 2013, s. 49.
- [← 327]
Za: *ibidem*.
- [← 328]
Za: *ibidem*, s. 46.
- [← 329]
K. Szaszkiewiczowa, *Podwójne życie Szaszkiewiczowej*, Kraków 2011, s. 248.
- [← 330]
A. Celmer-Zajączkowski, *Taniec na ostrzu brzytwy*, „Teatr”, 7/1991.

[← 331]

Za: E. Baniewicz, *Anna Dymna. Ona to ja*, Warszawa 2011, s. 65.

[← 332]

Za: M. Wąs, *op. cit.*, s. 37.

[← 333]

Za: A. Celmer-Zajączkowski, *op. cit.*

[← 334]

Za: E. Baniewicz, *op. cit.*, s. 78.

[← 335]

Za: Przychodzimy, odchodzimy. Wiesław Dymny
<http://www.polskieradio.pl/8/2384/Artykul/782736,Dymny-byl-genialnym-tworca-po-ktorym-niewiele-mozna-wylozyc-na-stol>.

[← 336]

Za: M. Wąs, *op. cit.*, s. 58.

[← 337]

Za: A. Celmer-Zajączkowski, *op. cit.*

[← 338]

Za: *ibidem*.

[← 339]

Za: J. Olczak-Ronikier, *Piwnica pod Baranami, czyli koncert ambitnych samouków*, Warszawa 1997, s. 16.

[← 340]

Za: *ibidem*, s. 13.

[← 341]

Za: *ibidem*, s. 9.

[← 342]

Za: *ibidem*, s. 22.

[← 343]

Za: *ibidem*, s. 32-33.

[← 344]

Za: *ibidem*, s. 34.

[← 345]

Z. Komeda-Trzcińska, *Zośka, Komeda i inni*, Warszawa 1996, s. 42.

[← 346]

Za: E. Batura, *Księżycowy chłopiec*, Warszawa 2001, s. 79.

[← 347]

Za: A. Klim, *Seks, sztuka i alkohol. Życie towarzyskie lat 60.*, Warszawa 2013, s. 107.

[← 348]

Za: *ibidem*.

[← 349]

Za: J. Olczak-Ronikier, *op. cit.*, s. 108.

[← 350]

B. Nawratowicz, *Piwnica pod Baranami. Początki i rozwój*, Kraków 2010, s. 138-139.

[← 351]

Z. Komeda-Trzcińska, *op. cit.*, s. 46.

[← 352]

Za: W. Krupiński, *Głowy piwniczne*, Kraków 2007, s. 32.

[← 353]

Z. Komeda-Trzcińska, *op. cit.*, s. 45.

[← 354]

Ibidem, s. 46.

[← 355]

Za: W. Krupiński, *op. cit.*, s. 32-33.

[← 356]

B. Nawratowicz, *op. cit.*, s. 181.

[← 357]

Za: A. Celmer-Zajączkowski, *op. cit.*

[← 358]

IPN Kr 009/3209.

[← 359]

Za: W. Cybulski, *Dymny, Dymny*, „Film”, 25/1983.

[← 360]

S. Morawski, *Powrót do źródeł*, „Film”, 12/1967.

[← 361]

Za: J. Drużyńska, S.M. Jankowski, *Kolacja z konfidentem. Piwnica pod Baranami w dokumentach Służby Bezpieczeństwa*, Kraków 2006, s. 61-62.

[← 362]

Za: *ibidem*, s. 59.

[← 363]

Za: M. Wąs, *op. cit.*, s. 99-100.

[← 364]

Za: J. Drużyńska, S.M. Jankowski, *op. cit.*, s. 57-58.

[← 365]

Za: E. Baniewicz, *op. cit.*, s. 67.

[← 366]

Za: *ibidem*, s. 69.

[← 367]

Za: *ibidem*, s. 70.

[← 368]

Za: *ibidem*, s. 73.

[← 369]

Za: J. Drużyńska, S.M. Jankowski, *op. cit.*, s. 65-67.

[← 370]

Za: M. Wąs, *op. cit.*, s. 8.

[← 371]

Za: *ibidem*, s. 11.

[← 372]

Za: J. Olczak-Ronikier, *op. cit.*, s. 262.

[← 373]

Za: M. Wąs, *op. cit.*, s. 160.

[← 374]

Za: *ibidem*, s. 35-36.